

**STANISŁAW  
IGNACY  
WITKIEWICZ**

POŻEGNANIE JESIENI

Stanisław Witkiewicz

**Pożegnanie jesieni**

«Public Domain»

## Witkiewicz S.

Pożegnanie jesieni / S. Witkiewicz — «Public Domain»,

Głównym tematem powieści są, według słów autora, „przeżycia bandy zdegenerowanych byłych ludzi na tle mechanizującego się życia”. W męczącej atmosferze zmierzchu religii, filozofii i sztuki, w obliczu nadciągającej rewolucji „niwelistów”, w której nie będzie już miejsca na indywidualizm, bohaterowie rozpaczliwie łakną metafizycznych przeżyć i szukają sensu istnienia. Pożegnanie jesieni to powieść intelektualna, filozoficzna, a jednocześnie psychologizująca, w której najważniejszą rolę odgrywają analizy stanów psychicznych, przemyślenia i dyskursy metafizyczne, egzystencjalne i historiozoficzne. Część odbiorców odczytywała ją podobnie jak wystawiane wcześniej utwory dramatyczne Witkacego: na poły groteskowa proza skłoniła ich do traktowania utworu jako autorskiej zabawy, szyderstwa i żartu. Inni przeciwnie, zauważyli, że jest to utwór pisany serio, ale krytykowali powieść za to, że jest to „osobista spowiedź autora” i dlatego jest tylko „pseudopowieścią”. Nieprzychylnie przyjęcie Pożegnania jesieni nie zniechęciło Witkacego do napisania następnej powieści podobnego typu, Nienasyceńca.

© Witkiewicz S.

© Public Domain

## Содержание

Przedmowa	6
Rozdział I. Hela Bertz	8
Rozdział II. Nawrócenie i pojedynek	36
Rozdział III. Rozmowy istotne	54
Конец ознакомительного фрагмента.	66

# Stanisław Ignacy Witkiewicz

## Pożegnanie jesieni

*Motto:*

*Czymże jest, o naturo, twych pocieszeń mowa*

*Wobec żądz, które budzisz twym mrocznym obszarem.*

*Antoni Słonimski*

*Poświęcone*

*Pani Zofii i Tadeuszowi Żeleńskim*

## Przedmowa

Wobec niespełnienia obietnic zawartych w przedmowie pierwszej<sup>1</sup>, to jest napisania tego, co nazywam „powieścią metafizyczną”, piszę drugą – tylko parę słów.

1) Z góry odpieram zarzut, że powieść ta jest pornograficzna. Uważam, że opisanie pewnych rzeczy, o ile one dają pretekst do wypowiedzenia innych, istotniejszych, musi być dozwolone. Stefan Żeromski<sup>2</sup> umieścił odnośnik w *Przedwiośniu*, w którym pisze, że wstrzymuje się w danym miejscu od opisu pewnych scen, dlatego że polska publiczność tego nie lubi. Nie uważam tego za słuszne. Wobec tego, co piszą Francuzi (przychodzi mi na razie na myśl: Mirbeau, Paul Adam, Margueritte<sup>3</sup>), nie uważam, żeby rzeczy zawarte w tej książce były zbyt przepotwornione. Czasem lepsza jest kropka nad „i” i ogonek przy „ę” niż dyskretne kropeczki i myślunki. Od czasu jak Berent<sup>4</sup> wydrukował słowo „skurwysyn” (*Ozimina*), a Boy<sup>5</sup> zdanie, w którym było wyrażenie: „rzną się jak dzikie osły” (Przedmowa do *Panny de Maupin*<sup>6</sup>), uważam, że można się czasem nie krępować, o ile to opłaca się w innym wymiarze. Oczywiście zawsze można powiedzieć: „Co wolno księciu, nie wolno prosięciu” – trudno: trzeba zaryzykować.

2) Również odpieram z góry możliwy zarzut niepoważnego stosunku do kwestii religijnych. Tyle jest u nas zakutych łbów, że i to jest możliwe. Stanowczo przeciw temu protestuję.

3) Kwestie społeczne są traktowane naiwnie, bez fachowej znajomości, bo jej nie posiadam. Chodzi o tło. Nie robię też żadnych aluzji do rzeczy aktualnych: żadnych wypadków majowych z roku 1926 czy marcowych z roku 1927<sup>7</sup>. Mógłbym równie dobrze umieścić całą tę historię w Wenezueli czy Paragwaju i zaopatrzyć „bohaterów” w hiszpańskie czy portugalskie nawet nazwiska. Nic to by nie zmieniło istoty rzeczy.

4) Ponieważ nie mam pojęcia o tym, co to jest życie zbytckowne, traktuję tę kwestię trochę humorystycznie i fantastycznie, à la<sup>8</sup> Madzia Samozwaniec<sup>9</sup>. Pomysł wprowadzania fantastycznych nazw dla nieistniejących na przykład potraw wzięłem ze zniszczonej niestety w roku 1917 powieści Leona Chwistka<sup>10</sup> pod tytułem *Kardynał Poniflet*, pisanej w roku 1906, w której „występowały” nieistniejące rośliny. Zamiast kopiować jakieś „menu” zjedzone w Hôtel „Australia” w Sydney, czy też z uczyty u majora<sup>11</sup> miasta Bendigo koło Melbourne, albo po prostu od Rydza<sup>12</sup> w Warszawie, wolałem podać nazwy potraw nieistniejących. W ten sposób nawet dla klubu smakoszy w Paryżu mogłyby te potrawy posiadać pewien urok. To samo stosuje się do purpurowych koni, mebli, obrazów itp.

---

<sup>1</sup> w przedmowie pierwszej – nie odnaleziono żadnych śladów tej pierwszej przedmowy. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> Żeromski, Stefan (1864–1925) – polski prozaik, publicysta, dramaturg. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> Mirbeau, Paul Adam, Margueritte – Octave Mirbeau (1848–1917), Paul Adam (1862–1920), Paul Margueritte (1860–1918), pisarze francuscy. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> Berent, Wacław (1873–1940) – polski powieściopisarz i tłumacz okresu modernizmu, jeden z gł. przedstawicieli realizmu w literaturze Młodej Polski. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> Boy – pseudonim Tadeusza Żeleńskiego (1874–1941), krytyka literackiego i teatralnego, tłumacza literatury francuskiej, przyjaciela S. I. Witkiewicza. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *Panna de Maupin* – powieść fr. powieściopisarza Théophile'a Gautier, wyd. w 1836. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *wypadków majowych z roku 1926 czy marcowych z roku 1927* – mowa o zamachu stanu w Polsce dokonanym w dniach 12–15 maja 1926 w Warszawie przez marsz. Józefa Piłsudskiego oraz zapewne o ogłoszonej 11 marca 1927 delegalizacji Niezależnej Partii Chłopskiej, radykalnie lewicowej partii ludowej. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> à la (fr.) – na wzór, na sposób przypominający coś innego. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *Samozwaniec, Magdalena*, właśc. *Magdalena Niewidowska*, primo voto *Starzewska*, z domu *Kossak* (1894–1972) – polska pisarka satyryczna. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *Chwistek, Leon* (1884–1944) – polski malarz, filozof, matematyk, teoretyk sztuki; przyjaciel S. I. Witkiewicza. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *major* (ang.) – burmistrz. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *Rydz* – przedwojenna znana restauracja z dancinżem w Warszawie, przy ul. Nowosenaorskiej 1. [przypis edytorski]

5) Indii nie znam poza kilkogodzinnym pobytom w Bombaju. Za to byłem dwa tygodnie na Cejlonie w przejeździe do Australii, w roku 1914. (Musiałem się z tym pochwalić, bo jeśli mam snobizm, to tylko australijski). Jednak nie wiem, czemu przeniósłem pewne wypadki do Indii, opierając się na rzeczach widzianych na Cejlonie. Nie trzymałem się również ściśle geografii krajowej.

6) Umieszczam jako motto urywek z wiersza jednego z najprzykrzejszych moich „wrogów”, Antoniego Słonimskiego<sup>13</sup>, nie dlatego żeby pozować na fałszywy obiektywizm, tylko po prostu dlatego, że mi się ten wiersz bardzo podoba i jest jako motto odpowiedni. Jednak muszę zaznaczyć że w sądach moich o sztuce nie kieruję się ani osobistymi względami, ani polityką, ani niczym innym oprócz tego, czy uważam daną rzecz za artystycznie dobrą czy złą. Niestety, muszę stwierdzić, że ten stosunek do dzieł sztuki jest u nas rzadkością.

7) To, co pisze drugi mój bardzo przykry „wróg”, Karol Irzykowski<sup>14</sup>, o stosunku krytyki do dzieł sztuki poprzez autora jest bardzo słuszne. Babranie się w autorze à propos<sup>15</sup> jego utworu jest niedyskretne, niestosowne, niedżentelmeńskie. Niestety, każdy może być narażony na tego rodzaju świństwa. Jest to bardzo nieprzyjemne.

PS Za „przykrego wroga” uważam takiego, z którym nie można walczyć wskutek braku u niego określonego jednoznacznego systemu pojęć, i takiego, który nie jest szczery w stosunku do samego siebie – nie analizuje siebie dość starannie, przystępując do krytyki czy polemiki, no i nie rozumie idei przeciwnika.

8) Zaznaczę jeszcze, że powieść ta jest drugą, którą napisałem. Pierwszą, *622 upadki Bunga, czyli demoniczna kobieta*, napisałem w latach 1910–1911. Z powodów niezależnych ode mnie nie może być wydana.

9) Powieści nie uważam za dzieło sztuki według mojej definicji sztuki w ogóle. Poglądy na powieść wyraziłem w krytyce *Wniebowstąpienia* J. M. Rytarda<sup>16</sup> w styczniowym „Skamandrze”<sup>17</sup> z roku 1925.

10) Nikt nie zmusi mnie, abym pięknie brzmiące słowo dwusylabowe „tryumf” drukował „triumf”<sup>18</sup>. Zamienia się ono w ten sposób na jednosylabowe, niezgodne zupełnie z duchem polskiego języka. Nie można dla jakichś wymagań pisowni zmieniać przyjętego od wieków brzmienia słów, tym bardziej jeśli obiektywnie w poprzedniej pisowni brzmią one lepiej. Zdaje się, że to wszystko.

30 X 1926

S.I.W.

---

<sup>13</sup> Słonimski, Antoni (1895–1976) – polski poeta, dramaturg, prozaik, felietonista. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> Irzykowski, Karol (1873–1944) – polski krytyk literacki, poeta, prozaik, dramaturg. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> à propos (fr.) – co się tyczy, w związku z; wyrażenie wprowadzające nowy temat w nawiązaniu do czegoś. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> Rytard, Jerzy Mieczysław, właśc. Mieczysław Antoni Kozłowski (1899–1970) – pisarz polski, autor utworów o tematyce podhalańskiej; jego powieść *Wniebowstąpienie* (1923) to rodzaj prozy poetyckiej ze słabo zarysowaną fabułą. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> Skamander – polskie czasopismo literackie, wydawane w latach 1920–1928, a następnie 1935–1939. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> Nikt nie zmusi mnie, abym pięknie brzmiące słowo dwusylabowe „tryumf” drukował „triumf” – odniesienie do jednej ze zmian ujednoczających i porządkujących pisownię polską uchwalonych w roku 1918; obecnie poprawna jest zarówno forma zmodernizowana: „triumf”, jak i dawniejsza: „tryumf”. [przypis edytorski]

## Rozdział I. Hela Bertz

Było jesienne popołudnie. Atanazy Bazakbal, bardzo niezamożny, dwudziestokilkuletni, świetnie zbudowany i niezwykle przystojny brunet, ubierał się pośpiesznie, a jednak starannie. Jego jasnozielone oczy, nos prosty i dość dumne, łukowate usta koloru surowej wątroby stanowiły względnie sympatyczną grupę widzialnych organów jego ciała. Zapach czarnego z niebieskim krawatu przypominał mu przedostatnią jego kochankę, blondynę o długich, wysmukłych nogach i wadliwie osadzonym nosie. Wspomnienie słów bez sensu, które wyrzekła w chwili ostatecznego rozstania, wybuchnęło jak daleki pocisk i zgasło następnie razem z rozwianiem się słabych perfum.

Pół godziny temu Atanazy definitywnie postanowił pójść do Heli Bertz. Był tam już parę razy zresztą, ale nigdy dlatego... W każdym razie nie programowo. Cel tej wizyty przerażał go, a jednocześnie wszystko było takie małe i marne jak tych kilka muszek wirujących wkoło niezapalanej lampy u sufitu, w żółtym odbłasku odbitego od przeciwległej kamienicy słońca. Niewspółmierność stanów wewnętrznych i materiału faktycznego dławiała niby mątwą wpita od środka w najistotniejszy, życiodajny bebecz – może było to serce.

Atanazy zdecydował się na ten krok, bo nie mógł już dłużej wytrzymać. Nie bez Heli Bertz, choć ta podobała mu się kiedyś zupełnie niebezpiecznie – nie; po prostu nie mógł więcej znieść ogromu swojej miłości do narzeczonej, którą właśnie w tym czasie zanadto zaczął kochać. Czy można kochać z wzajemnością zanadto? Nonsens – a jednak sytuacja Atanazego była fatalna: miłość tego nałogowego analityka potęgowała się w sposób fantastyczny, bez żadnych widocznych dlań przyczyn. Hela Bertz była oczywiście Żydówką i wcieleniem wszystkiego tego, co Atanazemu w kobiecie jako takiej podobać się mogło. Prócz tego była, aż do pewnych nieprzekraczalnych granic, kobietą notorycznie łatwą. O tym przekonał się Atanazy na pewnym wieczorku, zakończonym „popojką”<sup>19</sup> *à la manière russe*<sup>20</sup>. Ale czy ta łatwość za pierwszym razem nie kryła jakichś niebezpiecznych zasadzek na dalszy dystans?

„O jakże dziwne formy może przybrać szaleństwo ludzi zdrowych” – tak rzekła mu, ściskając ostatni raz jego rękę, pani Gina z Osłabędzkich Beer, żona bogatego Żyda i kuzynka jego obecnej narzeczonej. Po raz pierwszy zastanowił się nad tym pozornie bezsensownym zdaniem. Przez sekundę stał nad przepaścią, która otworzyła się w jego wnętrzu, niespodziana jak krater zionący ogniem wśród nudnych pól mazowieckiej równiny: *gurgito nel campo vasto*<sup>21</sup> – zdanie przybłąkane nie wiedzieć skąd. Gdyby chciał, mógłby się w tej chwili dowiedzieć wielu rzeczy ważnych: należało tylko pytać, a tajemny głos odpowiadałby na wszystko z matematyczną precyzją, odkrywając istotę najcięższych przeznaczeń. Ale Atanazy był w przekroju tym we władzy drobnych spraw życia i to z „płciowego zakresu”. Wstrętne! Ileż chwil takich zmarnował już przez zwykłe lenistwo i podstawianie nieodpowiednich liczb za ikсы i ygreki w równaniach czystego losu, które stawiał mu przed wewnętrznym wzrokiem przypadek niezasażonych objawień. Dziś parametrami były: narzeczonej i Hela Bertz, a zmienną, raczej ich systemem, jak zwykle on sam rozszczępiony na kilkunastu swych sobowtórów. „Czemu właśnie Hela Bertz, a nie choćby ta biedna Gina (wcale nie była znowu taka biedna) czy jaka inna z byłych czy możliwych kochanek? Z inną nie byłoby to zdradą, a ja muszę zdradzić ją naprawdę. Hela jest najpiękniejszą i najinteligentniejszą (i najbogatszą – coś szepnęło), kobietą jaką znam. Ona jedna odpowiada temu najwyższemu »standardowi« zdrady, jaki jest potrzebny. – Po co ten »standard«? Wystarczy pocałować ją, a z innymi...? Tak, to jest

---

<sup>19</sup> *popojka* (reg., z ros.) – pijatyka. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *à la manière russe* (fr.) – na sposób rosyjski. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *gurgito nel campo vasto* (daw. wł.) – gardziel w rozległym polu (słowo *gurgito* nie występuje we współczesnym jęz. wł.); wyrażenie przywodzące na myśl użyte przez Wergiliusza w *Eneidzie* (I, w.118): *rari nantes in gurgito vasto* (nieliczni pływający po bezkresnej głębinie). [przypis edytorski]

szaleństwo ludzi zdrowych! A może ja naprawdę jestem wariat?” – Przeraził się, ale na krótko: ujrzał znów przed sobą zielone oczy Zosi. „Ta uratuje mnie nawet od obłądu” – pomyślał z bezmierną, druzgocącą wszystkie inne uczucia miłością. Uczuł się małym, podłym stworem i z szaloną siłą zapragnął jakiego bądź wywyższenia ponad samego siebie. Na razie jednak nie zmienił swych postanowień. Taki był jego fatalny los. Ale co to kogo obchodzić mogło? A jednak...

Swój ohydny plan postanowił Atanazy wykonać *à coup sur*<sup>22</sup>. „Czy ja tylko nie jestem przypadkiem zupełnie zwykła, mała, pospolita, smutna świnia, *un cochon triste*<sup>23</sup>?” – pomyślał, chwytając słuchawkę telefonu.

– Czy panna Hela?

– Tak, kto mówi?

– Mówi Bazakbal. Czy pani jest sama?

– Tak. To jest... właściwie...

– Chciałbym przyjść pomówić z panią o Prouście<sup>24</sup>, Valérym<sup>25</sup> i tak dalej...

– Proszę, tylko zaraz. O piątej jedziemy z Kubą na wystawę potworności. Nikt jak on nie umie...

Atanazy odłożył nagle słuchawkę. Zaleciała go znana atmosfera tak zwanego prawdziwego „demonizmu”, tego „kobiecego świata”, tego świństwa, w którym ciała, dusze i suknie są tylko wabikowym dopełnieniem samoistnie żyjących organów płciowych, jak płatki kwiatów wokół słupków i pręcików. Tylko, że tam jest to piękne... Szalony wstręt do płci w ogóle wstrząsnął nim od samych podstaw. „O, gdyby to hermafrodytycznie, jak ślimaki, bez tego rozdziału osobowości! Ach, kto wymyślił całą tę dziką fantasmagorię. No tak: my się z tym zżywamy tak, że przestaje to być dla nas dziwnym. Ale jeśli zastanowić się, że ktoś to w tamto i przy tym...” Metafizyczna potworność erotyzmu stała się dlań jasna jak nigdy. A jednak narzeczona Zosia była jakby poza tym. „Miłość jest czymś innym, musi być – i jeśli tak samo przez się nie będzie, stworzę to świadomie. Tylko te dodatki... Kochać jedną kobietę jak przyjaciela (i to jest wstrętne) i mieć poza tym dowolną ilość kochanek (cóż jest wstrętniejszego?) – to byłby ideał. A ona też tak samo? Nie, symetryczność jest tu wykluczona. Zdrada kobiety jest zupełnie czymś innym niż zdrada mężczyzny. „My wkładamy tylko to w tamto, one wkładają w to (w co?) uczucie” – przypomniało mu się przykre zdanie dawnego przyjaciela, bolszewizującego poety, Sajetana Tempe. „Dowodzi również zasadniczej różnicy tych zdrad bajka o eksperymencie z białą króliczycą: dama ta, raz tylko zdradziwszy swego białego męża z czarnym kochankiem, do końca życia rodziła od czasu do czasu łaciate dzieci”.

Transcendentalna bezwyjściowość sytuacji i nierozwiązalność związanych z nią problemów stała się jasna jak słońce, jak  $2 \times 2$ . A jednak trzeba było brnąć dalej w ten kłęb sprzeczności, jakim jest życie, to, o którym się mówi w wymiarach psychologiczno-społecznych, to zwykle nawet w swoich niezwykłościach, i co gorzej, brnąć w całe istnienie, już na drugim piętze zagadnień, tam gdzie trwają niezmiennie konieczne pojęcia i ich konieczne związki, w sferze Ogólnej Ontologii<sup>26</sup>. Niezgodność tych dwóch światów stawała się coraz bardziej męcząca i bezsensowna. Jak emulsja oliwy z wodą – choćby najdokładniej zbita – wykaże zawsze w dostatecznym powiększeniu odrębne kuleczki tłuszczu. „Jednak na dnie istnienia, u samych jego podstaw, tkwi jakiś piekielny nonsens i to nonsens nudny. Ale ta nuda jest wynikiem dzisiejszych czasów. Dawniej było to wielkie i piękne. Dziś tajemnica zesłała na psy i coraz mniej jest ludzi, którzy o tym właśnie wiedzą. Aż w końcu szarość jednolita pokryje wszystko na wiele, wiele lat jeszcze przed zgaśnięciem słońca”. Przypomniała się

<sup>22</sup> *à coup sur* (fr.) – z całą pewnością, na pewno. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> *un cochon triste* (fr.) – smutna świnia. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> Proust, Marcel (1871–1922) – francuski pisarz, autor cyklu *W poszukiwaniu straconego czasu*, arcydzieła powieści psychologicznej. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> Valéry, Paul (1871–1945) – francuski poeta i eseista, uprawiający poezję refleksyjną, intelektualną. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> *ontologia* (filoz.) – nauka o bycie. [przypis edytorski]

Atanazemu książka Arrheniusa<sup>27</sup> *Losy Planet* – zniechęcenie, nie metafizyczne już, ale geologiczno-astronomiczne, złamało go na chwilę zupełnie. A więc kompletny „aprenudelelużyzm”<sup>28</sup>? A ludzkość, a ideały ogólne, a szczęście powszechne? „Od społeczeństwa nie wywiniesz się, bratku, z niego wyszedłeś i nic ci tu nie pomogą żadne abstrakcje” – rzekł kiedyś ten przeklęty Tempe. Krąg sprzeczności zamknął się nad myślą jak woda ponad rzuconym w nią kamieniem. Dosyć. Nagle Atanazy stęzał w poczuciu nieodwołalności wyników swoich postanowień. (Poprzedni świat zapadł się bezgłośnie w jakąś niewidzialną z widowni świadomości zapadnię). Gdyby nawet był obecnie na utrzymaniu (o co go posądzano w związku z romansem z panią Beer), nie zmieniłoby to ani na włoskę jego doskonałej w tym momencie proporcji psychicznych danych. Jak kula działowa wystrzelona z tajemniczej otchłani bytu pędził, by uderzyć i roztrzaskać się o kres swego życia, z tym samym bezsensu, z którym wszystko inne też śpieszyło ku swemu końcowi. A pieniędzy trochę miał, zarabiając je jako aplikant<sup>29</sup> adwokacki.

„O, gdybym mógł ujmować wszystko, co się dzieje, w związki funkcjonalne, a nie przyczynowe” – pomyślał z zazdrością w stosunku do jakiegoś nieznanego i niewyobrażalnego nawet pana, który przypuszczałnie tak właśnie wszystko ujmował. „Nie rozdzielać niczego na ordynarne kompleksy przyczyn i skutków, nie widzieć małych celowostek – czuć płynącą falę rozkoszy i cierpienia w splecionych pokłębieniach całości Istnienia, w nieskończonym zazębieniu wszystkiego ze wszystkim, graniczącym z Niebytem, z Absolutną Nicością. Psychologia ameby jednym słowem...” Małe sprawy połączone z wyjściem z domu przecięły na szczęście te myśli, raczej niedomyślenia. „Tak przeżywa Wszechświat Bóg” – „domyślił” jeszcze z trudem, zupełnie już nieszczerze. Przebrzmiała przed chwilą telefoniczna rozmowa przeleciała jakby obok niego w postaci uderzających o siebie metalowych blaszek, o cierpkim smaku nieodwołalnej zbieżności zdarzeń. „Muszę ją zdradzić dziś właśnie, inaczej ona też nie będzie szczęśliwa – ostatni dzień – jutro już nie potrafię tego uczynić”. Nakleił te słowa na obecną chwilę, jak markę<sup>30</sup> na list kłamiwy. Nic nie miał już do pomyślenia i straszne uczucie wielkiej, bezprzyczynowej miłości do narzeczonej, Zosi Osłabędzkiej, zważyło się nań znowu ciężarem nie do zniesienia. Czuł, że nie ma sił na spełnienie swego zamiaru, a niedający się zanalizować, groźny zwał potężniejszego uczucia wypiętrzał się przed nim do niebotycznych rozmiarów. Jak inaczej przeskoczyć tę nieprzewidywalną przeszkodę? Jak można tak bez powodu, bez zastrzeżeń, bez wiary nawet w tę miłość, **tak kochać – tak właśnie?** Tego by sam Strug<sup>31</sup> nie opisał.

Wiedział, że powrót do jednej z dawnych kochanek będzie tu niczym: jakimś pyłkiem w stosunku do potwornych żelaznych hantli, którymi z ostatnim wysiłkiem zonglował jeszcze, uśmiechając się do swego obserwatora zastępującego mu w chwilach takich szerszą publiczność. Bezmierny smutek związany z koniecznością tej programowej zdrady zaciągał jak nadchodząca długa niepogoda cały psychiczny horyzont A bez tego... dławiąca męka nieznośnego uczucia zjadającego wszystko jak złośliwy nowotwór. Pomyślał to tymi właśnie słowami: „Nie ma właściwie nic do zjedzenia – przecież jestem niczym. A jednak... życie jest jedno”. Pierwszy raz uświadomił sobie naprawdę ten przykry truizm i postanowił nieodwołalnie bronić się. Mało brakowało, aby się rozplakał. Zacisnął zęby i połknął z wysiłkiem duży pakiet skroplonego żalu.

<sup>27</sup> Arrhenius, Svante (1859–1927) – fizykochemik i astrofizyk szwedzki, laureat Nagrody Nobla (1903). Twórca teorii panspermii, według której życie rozprzestrzenia się wśród ciał niebieskich dzięki przenoszeniu jego zarodków przez ciśnienie promieniowania świetlnego. Autor wielu książek popularnonaukowych, m.in. *Das Schicksal de Planeten* (1911; wyd. polskie *Losy planet*, 1914). [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *aprenudelelużyzm* (neol.) – ponaschočbytopotizm, z fr. *apres nous le deluge*: po nas choćby potop. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *aplikant* – absolwent prawa odbywający praktykę przygotowującą do wykonywania któregoś zawodu prawniczego. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *marka* (daw.) – znaczek. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> Strug, Andrzej, właśc. *Tadeusz Gałeczki* (1871–1937) – pisarz i publicysta, działacz ruchu socjalistycznego i niepodległościowego. [przypis edytorski]

– Urojone problemy – zamruczał z wściekłością w kierunku kogoś nieistniejącego, który robił mu najwyraźniej ten zarzut. Kto to był? Daleka perspektywa różnorodnych obłądów ukazała się jak pejzaż nocny w blasku nagłej błyskawicy i połknięta przez ciemność zmaląła znowu do niezrozumiałej jak zwykle chwili obecnej.

Właśnie wchodził w ulicę Dolnych Młynów, na której mieszkała Hela Bertz. Słońce zachodziło, wypełniając powietrze żółtym pyłem. Widok ten spotęgował w nim żal do rozpiekających wnętrza rozmiarów. Przypomniawszy sobie teorię mikro- i megalosplanchizmu, według której ludzkość dzieli się na dwa zasadnicze typy: bardziej kobiecy i bardziej męski, w zależności od przewagi nerwu błędnego lub sympatycznego. Zrozumiał całą swoją bezsilność i beznadziejność wszelkiej walki: mikrosplanchici nie są zdolni do Wielkiej Miłości: był to aksjomat. A jednak to, co czuł w stosunku do Zosi, było chyba czymś choćby w „tym rodzaju”? Czyżby szedł teraz, by zdradzić ją, jedyną ukochaną, z niesympatyczną mu w gruncie rzeczy, przeinteligentnią Semitką<sup>32</sup> o rudych włosach, gdyby to uczucie nie było czymś przerastającym jego normalną skalę przeżyć istotnych, których miał już tyle? Sprzeczność tych stanów i niewiara w osiągnięcie szczęścia przybiły go zupełnie. Włókł się krokiem zgrzybiałego starca, a na skroniach i pod dolnymi powiekami wystąpił mu zimnawy pot przerażenia.

Zębata, górsko-fantastyczna linia sylwet domów uciekających w daleką perspektywę ulicy przypomniawszy mu jesienny wieczór górski, który tam trwał bez niego. Cóż mogły go obchodzić spojrzenia innych mord, twarzy i masek na te jedyne dla niego „kompleksy elementów”, jak mówił Tempe, psychologista<sup>33</sup>. Czuł jednoczesność odległych zjawisk bezpośrednio daną, jakby dotykalaną. „Czemu fizycy uważają definicję jednoczesności za trudną?” – pomyślał. – „Gdybym był dostatecznie wielki, widziałbym jednocześnie ten zrab kamienic i skałę w Dolinie Złomisk<sup>34</sup>, tak jak jednocześnie widzę dwa odbicia przeglądającego się w oknach słońca. Definicja jednoczesności implikuje przyjęcie pojęcia Istnienia Poszczególnego: w obrębie samego poglądu fizycznego jest niemożliwa”.

Zabłysło mu w oczy pomarańczowe słońce, oddając ostatnią falę promienistego ciepła prosto w twarz. Zapadł sino-szary mrok i jednocześnie Atanazy wszedł do pałacu Bertzów. Olbrzymie schody z czerwonego marmuru i ściany klatki schodowej, pokryte mosiężnymi, złożonymi płytami o zawitych deseniach wschodnich i ten ciepły zapaszek najwyższego dobrobytu: świeżości i czystości, dobrej skóry i dobrych perfum, i czegoś jeszcze zupełnie nieuchwytnego, podziały nań rozdrażniająco. Potęga tej niewidzialnej w danej chwili kobiety, skondensowana w jej bogactwie, pozwalająca jej w każdej sekundzie na dokonanie jakiegoś dzikiego, fantastycznego czynu; swoboda, którą zostawiał jej sterroryzowany obietnicą samobójstwa ojciec; mania samobójcza, która czyniła z niej jednak mimo wielu niesmaczności coś wzniosłego i nieuchwytnego – wszystko to razem podniecało go do niej w tej chwili w sposób wstrętny i upokarzający. Zastąpił mu drogę lokaj w czerwonej liberii, smutny, piękny, ordynarny chłopiec. „Na pewno kocha się w niej też, a może...” Odsunął go delikatnie na bok i minawszy trzy prawie puste, ponure, ciemnoczerwone saloniki, wszedł bez pukania do małego „dziewiczego” („raczej półdziewiczego<sup>35</sup>” – pomyślał) pokoiku Heli, graniczącego ze wspianą sypialnią. Postanowił być brutalnym. Czerwone kolory mebli, obić i dywanów działały nań jak na byka.

---

<sup>32</sup> *Semici* – grupa ludów mówiących jęz. semickimi, zamieszkująca od starożytności Bliski Wschód (Mezopotamię, Syrię, Palestynę, Płw. Arabski), współcz. gł. Arabowie i Żydzi; termin wprowadzony w XVIII w., daw. używany w znaczeniu etnicznym i rasowym, ob. niestosowany w nauce poza użyciem nieformalnym w odniesieniu do grupy ludów staroż.; pot. często: Żydzi. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *psychologista* – zwolennik psychologizmu, poglądu zakładającego, że czynniki psychologiczne mają determinujący i najważniejszy charakter, albo wręcz stanowią ośnowę zjawisk. [przypis edytorski]

<sup>34</sup> *Dolina Złomisk* – dolina tatrzańska, odgałęzienie Doliny Mięszowickiej. [przypis edytorski]

<sup>35</sup> *półdziewica* – kobieta mająca kontakty seksualne z mężczyznami, ale zachowująca dziewictwo. [przypis edytorski]

Mimo półmroku zdążył zauważyć „Kubę” (księcia Prepudrech) i Helę, rozrywających się z szalonego pocałunku. Prepudrech zerwał się, a Hela wybuchnęła samicotawym śmiechem, który zdawał się pochodzić jakby z niższych części jej podobno wspaniale sklepionego brzucha. (Mówił o tym Atanazemu kiedyś sam Prepudrech w przystępie nienormalnej u niego szczerości).

Książę – Jakub, Cefardi, Azalin – był to młodzieniec lat dwudziestu paru, niesłychanie szykowny i piękny. Między paniami i podlotkami z grubej plutokracji<sup>36</sup> uchodził za szczyt dystynkcji. Prawdziwa arystokracja nie przyjmowała go wcale, uważając jego perski tytuł za podejrzany – mogli u niej być zadeklarowani pariasi<sup>37</sup>, ale nie taki niewyraźny jakiś Prepudrech.

Atanazy witał się zimno, pośpiesznie. Banalność sytuacji stawała się dlań wprost nieznośną. Mignęła mu w pamięci akwaforta<sup>38</sup> Klingera<sup>39</sup> *Die Rivalen*: dwóch zaciekle dźgających się nożami drabów i „ona” z wachlarzykiem w ręku, obserwująca uważnie, który z nich zwycięży, aby mu się oddać, zaraz, na ciepło, zbromozonemu krwią tamtego. Na tym tle wielkość i czystość uczucia do Zosi wyolbrzymiała do niemożliwych już zupełnie rozmiarów. Zduślił go za gardło szalony gniew na siebie i na wszystko, co miało i musiało nieodwołalnie nastąpić. Cofnąć się było niepodobieństwem: brnięcia dalej wymagała przewrócona do góry nogami ambicja – chęć wykonania pozornie trudnych postanowień. W gruncie rzeczy postanowienia te były trudnymi na powierzchni tylko: był to raczej wstręt do złamania cienkiej warstewki szlachetniejszych materiałów, pod którą rozgaszczowało się łatwe do przyjemnego zabrnięcia bagno pseudointerесującej komplikacji i tak zwanej „psychicznej perwersji”.

– Panie Prepudrech – rzekł z wymuszoną niegrzecznością Atanazy – mam mieć z panną Helą bardzo ważną rozmowę. Czy nie mógłby pan skrócić swojej wizyty? Razem państwo nie pojedą, o tym nie ma mowy – dokończył z niebywałą siłą i stanowczością.

W oczach Heli Bertz błysnął jakiś złowrogi płomień, a nozdrza rozdziły się jej niespokojnie. Zanosilo się na lekką chociażby walkę mężczyzn i nie wiadomo co kryło się za jej rozstrzygnięciem. Mała popołudniowa niespodzianka.

– Właśnie, że pojedziemy. Rozmowę możemy mieć kiedy bądź, choćby dziś po kolacji. Pojedzie pan z nami, potem pod lada pozorem pozbedziemy się Kubę i cała noc będzie jeszcze przed nami – wycedziła Hela tonem obojętnym, jakby chodziło tu o najzwyczajniejsze rzeczy.

Wesoły dotąd książę nagle stężał i zaponurzył się. Uderzony znieacka zapadł się niespodzianie w nieczystą otchłań płciowych cierpień. Ten wieczór miał być jego własnością. Kochał się w Heli już od paru miesięcy i wściekał się, nie mogąc doprowadzić jej do tego, aby zaczęła traktować go na serio. Całowała się z nim do utraty zmysłów w wolnych od innych rozrywek chwilach, a potem odpłacała mu swój upadek pełnym lekceważeniem. Upokorzony, zazdrosny i coraz więcej rozjadawiony wracał do niej, jak gdyby był przywiązany na gumce. Nie mógł nawet użyć jako antydotu<sup>40</sup> innych kobiet – miał do nich wstręt nieprzezwyciężony.

– Nie, panno Helu. Wieczór dzisiejszy mam zajęty, muszę rozmówić się z panią natychmiast – wybełkotał prawie Atanazy.

Przez twarz panny Bertz przeleciał bury cień i błękitne jej oczy zabłysły w mroku czystym, zimnym blaskiem zdumienia.

– To coś nowego! Nie widzieliśmy się tak dawno, a pan ma wieczór zajęty. I czymże to? Czy może znowu Łohoyski?...

– Łohoyski nie ma z tym nic wspólnego; wytłumaczę to pani później.

---

<sup>36</sup> *plutokracja* – warstwa społeczna ludzi bogatych i wpływowych. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *parias* – członek najniższej kasty w Indiach. [przypis edytorski]

<sup>38</sup> *akwaforta* – rodzaj techniki graficznej, polegającej na odbijaniu kopii z płytki wytrawionej kwasem. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> *Klinger, Max* (1857–1920) – niemiecki symbolista, malarz, grafik i rzeźbiarz. Jego grafika *Die Rivalen* (Rywale) należy do cyklu *Życie*, wystawianego w Warszawie w 1901. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *antydot* (z łac.) – antydotum, odtrutka. [przypis edytorski]

– Później, później! Nie lubię tych warunków i zastawek, całej tej pseudokomplikacji, w której się pan babrze z taką lubieżnością. Jest pan w gruncie rzeczy dziecko. Ale mimo to lubię pana.

Prepudrech, który zdążył się już trochę opanować, zachichotał z nieszczerym tryumfem.

– A więc jedziemy – rzekł, zbliżając się do Heli posuwistym krokiem notorycznego dancin**g**bubka<sup>41</sup>.

Przechodząc, potracił Atanazego, który napięty jak struna stał z zaciśniętymi pięściami, podobny jakiemuś śmiesznemu zwierzęciu, gotującemu się do skoku. Tego było zanadto.

– Panie Prepudrech – rzekł wibrującym głosem Atanazy, głosem, w którym czaiła się maskowana żądza – jeśli pan w tej chwili nie opuści tego pokoju, nie ręczę za to, co nastąpi.

Prepudrech odwrócił się. Był bladawy, a na jego czole widać było między fałdami podłóści kropelki potu.

– Jestem zdumiony pańską bezczelnością – zaczął dłuższe przemówienie.

Nie dokończył. Atanazy ujął go za ramiona, szybko obrócił i metodą *tit-for-tat*<sup>42</sup> doprowadził do drzwi. W lustrze zobaczył jego twarz pełną bezradności i zdumienia i nagle zrobiło mu się go żal. Ale wszystko szło dalej automatycznie: puścił prawą rękę księcia, otworzył drzwi i wypchnął go lewą do saloniku obok. Przekręcił klucz i krokiem dzikiego zwierza podszedł do Heli. Dyszała ciężko, patrząc nań rozszerzonymi oczami. Wydały mu się bezdenne. Zakołysał się podcięty straszny, ślepym pożądaniem, które ścisnęło go za gardło jak ohydny polip. Zrozumiał teraz czemu kochał Zosię, a nie tę... Ale tylko rozumiał w jakimś oddzielnym, jakby nienależącym do niego *everything-tight*<sup>43</sup> kompartmentcie<sup>44</sup> swojej istoty. Jedna tylko żądza wypełniała go po brzegi. W całym ciele poczuł tę dziwną mieszaninę rozluźniającej słabości i prężącej się siły: zapowiedź dzikiej, niesamowitej rozkoszy, której tak długo już nie doznawał. Coś szepnęło w nim imię „Zosia”, ale słowo to było martwe, bez znaczenia. „Właśnie dlatego, programowe świństwo” – pomyślał.

– To bydlę podśluhuje... Niech pan poczeka – szepnęła Hela drażniącym skrzekiem, w którym było oczekiwanie czegoś brutalnego, miażdżącego.

Była jakby rozplaszczona w tym oczekiwaniu, miękka i bezwładna. Mimo że myśl o narzeczonej zaledwie musnęła świadomość Atanazego, całe pożądanie zniknęło momentalnie bez śladu. Przeciwnie elementy zniosły się jak dwie liczby o odwrotnych znakach: wynik był równy zero. „Po co ja żyję?” – pomyślał z bezmiernym umęczeniem.

Pokój zalewał szybko szaro-fioletowy zmrok. Chwila obecna, niezmienna, przeciągała się niepomierne. Atanazemu zdawało się, że stoi tak wieki całe. Omdlałość i prężność ustępowała powoli z mięśni, gromadząc się w sercu, gęstniejąc w kłębek tępego bólu. „Cierpienie istnienia samego w sobie” – przemknęły słowa bez sensu. Dałby wiele, aby w tej chwili leżeć mógł sam na sofie w swoim pokoju. Z utęsknieniem pomyślał o „tamtych” mroku, o „tamtych” muchach dookoła lampy i o „tamtych” myślach, które go nawiedzały jedynie tam, u niego, o szarej godzinie. Były to chwile, w których współczesne życie, ale dalekie jakby i obce samo sobie, jaśniało tym tajemniczym blaskiem, który normalnie miały dlań tylko pewne najlepsze okresy przeszłości. „Zasnąć i zapomnieć – albo nie: wyrwać się z tego miasta i gdzieś na uboczu stworzyć choćby kawałek życia takiego, jak te najlepsze, bezpowrotnie minione dni, jak te wizje terażniejszości, wolne od przypadku i nudy, piękne jak dzieła sztuki w swej koniecznej harmonii, a jednocześnie lotne w dowolności i fantazji jak puszki kwiatów pędzone wiatrem nad łąkami”. Ale nieubłagane spojrzenie z boku odkryło śmieszność formy tej myśli i własne jego słowa ukazały mu obraz jego samego, przykucniętego ze spuszczonej spodniami, przy jakiejś piaszczystej drodze wiejskiej. Gorzko się roześmiał. Niedostępność, dalekość wszystkiego męczyła coraz okropniej.

---

<sup>41</sup> *dancin**g**bubek* (neol.) – mężczyzna z dancingu mający wygórowane mniemanie o sobie. [przypis edytorski]

<sup>42</sup> *tit-for-tat* (ang.) – wet za wet; tu zapewne raczej: przepychając stopniowo. [przypis edytorski]

<sup>43</sup> *everything-tight* (ang. neol.) – taki, w którym wszystko jest ściśnięte, silnie przylegające do siebie. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *kompartment* (daw.) – wydzielona, zamknięta część czegoś, np. przedział w wagonie. [przypis edytorski]

– Czego pan tak nagle zbaraniał, panie Taziu? – zabrzmiał w zupełnej pustce głos Heli, jak pierwszy wystrzał jedenastocalowej haubicy o letnim, cichym świecie. – *Opupieł, chto li?*<sup>45</sup> – powtórzyła łagodniej.

Atanazy zbudził się jakby ze snu. Z szaloną, niezmierną szybkością przywiał go jakiś wicher z nieznanych krajów i postawił tu, w pokoju tej znużonej bogactwem Żydóweczki.

– Nie mogę czytać Prousta – rzekł nagle, siadając obok niej na kanapie. W odległym pokoju zatrzasnęły się drzwi.

– Azalin dekampuje<sup>46</sup> nareszcie – rzekła Hela i przekreśliła niecierpliwie kontakt lampy. Białe, mleczno-pomarańczowe światło zalało pokój, urządzone z przesadną, nieprzyjemną prostotą.

– Czyż na to – mówił dalej jak automat Atanazy – aby co dwadzieścia stron przeczytać jakiś aforyzm lub w ogóle takie powiedzonko o życiu, które bym przyparty do muru i sam mógł wykombinować, czyż na to muszę przestawać z tą całą bandą snobistycznych durniów i słuchać nadmiernie detalicznych opisów ich nieciekawych stanów i myśli, podanych w formie równie nieciekawej? Te zdania na pół strony, to wałkowanie i różniczkowanie<sup>47</sup> pospolitości i głupoty, aż do obrzydzenia. Arystokracja była kiedyś czymś – z tym się zgadzam – ale dziś poza pewnymi fizycznymi czysto własnościami nie różni się zasadniczo od jakiegokolwiek innej kasty. A może nawet więcej znaleźć można w niej puszących się półgłówków niż gdzie indziej – pomaga im w tym tradycja, a dane mają na to te same, co wszyscy. Procent ludzi wyjątkowych rozmieścił się teraz równomierniej. Ten cały Proust dobry jest dla snobów, niemogących się wcisnąć na pańskie pokoje, a nade wszystko dla ludzi, mających nadmiar czasu. Ja czasu nie mam...

– Nie widzę tego – szepnęła Hela przez zaciśnięte zęby. – Czy w tym celu wyrzucił pan Kubę, aby mi to właśnie powiedzieć? Sam jest pan podświadomym snobem...

– Poszaleli wszyscy z tym przeklętym Proustem. Irytuje mnie to do najwyższego stopnia. Odniosłem pani książki. Zapomniałem na dole. I co najdziwniejsze, że ludzie skądinąd inteligentni i niepozbawieni smaku... Albo ten Valéry! Choć co do Prousta zgadzamy się przypadkowo. Nie przeczę, że Valéry jest to człowiek inteligentny i wykształcony – szczególnie obkuty jest fizyką – ale nie widzę w nim poza poezją, rzeczywiście niezwykłą i bardzo intelektualną, nic tak bardzo nadzwyczajnego. Swoją prywatną metodę tworzenia, przy wybitnej pomocy intelektu, chce rozdać do rozmiarów absolutnej prawdy, lekceważąc artystyczną intuicję i twórców bardziej wizjonerskich, apokaliptycznych. Wszystko zależy od proporcji danych: od poczucia jedności konstrukcji pierwotnej, od bogactwa świata wyobrażeń i myśli, intelektu i talentu – to jest czysto zmysłowych zdolności. A przy tym nie lubię tych, co dopiero po wojnie przekonali się, że z ludzkością i kulturą w ogóle jest niedobrze. Ja wiedziałem o tym dawniej. Demokratyzacja...

– Megaloman! Dosyć!!! Nie zniosę dłużej tych rozmówek. Czy powie pan nareszcie, o co panu chodzi? Po co pan dziś właśnie przyszedł? Dzisiejszy dzień jest dla mnie zasadniczy. A zresztą co mnie to obchodzi. Kuba na pewno przyśle panu świadków. Sprawa z panem da mu możliwość zatarcia tamtej historii z Chwazdrygielem, która, mimo że się skończyła honorowo, rzuca pewien cień z przeszłości. Przyśle, aby mnie zaimponować...

– Teraz ja powiem: dosyć – albo zacznę znów mówić o Prouście.

– Więc co właściwie? Jestem bardzo zdenerwowana. Popsuł mi pan moją decyzję. Czuję, że ukrywa pan przede mną coś ważnego. Przecież jesteśmy przyjaciółmi?

– Właśnie to jest najgorsze, że nie jesteśmy. Ale cały urok sytuacji polega tylko na tym.

– Proszę bez pozy, panie Atanazy, ja się na tym znam.

– To nie jest poza. Jestem zaręczony.

---

<sup>45</sup> *Opupieł, chto li?* (ros.) – Oślupiał, czy co? [przypis edytorski]

<sup>46</sup> *dekampować* (neol., z ang.) – zwiijać obóz, czmychać. [przypis edytorski]

<sup>47</sup> *różniczkowanie* – dziś poza znaczeniem matematycznym: różnicowanie. [przypis edytorski]

– Pan chyba oszalał – rzekła po dłuższej pauzie Hela. – I z jakich to powodów? – spytała po chwili, a w głosie jej zadrgał poprzednio maskowany żal.

– Kocham – odpowiedział twardo Atanazy, pochylając się nad jej niezwykle wąskim, a jednak nie spiczastym kolanem, wystającym spod zbyt krótkiej sukni. – Nienawidzę tego słowa, ale tak jest.

– Kocha, biedactwo! Kiedyż pan zdołał popełnić to szalone głupstwo?

– Dziesięć dni temu. Ale wisiało to nade mną od pół roku.

– I nic mi o tym nie powiedzieć! Kto jest ona?

– Zosia Osłabędzka.

– To znaczy, że się pan przynajmniej trochę obłowi.

– Przysięgam pani...

– Wiem, bezinteresowność. Ale niech się pan strzeże, ma pan dwadzieścia osiem lat i jest pan niczym, dość interesującym niczym: przekrojem pewnego typowego stanu pewnej warstwy społeczeństwa.

– Chce mnie pani przewyciężyć w dość tani sposób...

– Ani myślę. Ale wskutek ogólnej wzrastającej gorączki życia w naszych czasach, a specjalnie po wojnie, wiek szaleństwa dla mężczyzn, dotychczasowa czterdziestka, został przesunięty na kilka lat wcześniej. To jest szaleństwo z pana wewnętrzną strukturą niedoszonego artysty wpakowywać się teraz w małżeństwo. A przy tym resztki sumienia, raczej sumieńka, które ma pan jeszcze. Zwariuje pan na pewno.

– Co kogo to obchodzi, choćbym nawet kark skręcił. Jestem sam. Tak, ma pani rację, jestem niczym i dlatego właśnie mogę sobie pozwolić na eksperyment, na który jakiś ktoś pozwolić by sobie nie mógł. A jednak mimo wszystko boję się, boję się samego siebie. Nie wiedziałem dotąd, kim jestem. Coś się odsłoniło, ale jeszcze nie wiem wszystkiego. Ach, nie o to chodzi, a może o coś, co jest z tym związane: metafizyczny sens życia bez religii.

– Bez tych tajemniczości. Nie lubię sztucznej komplikacji. Pan nie ma prawa mówić o religii. Zaczynam żałować, że nie ośmieliłam pana do tego stopnia, aby się pan mnie właśnie oświadczył.

– Wiedziałem, że tak będzie. Co zaś do ośmielenia, to przecież zdaje się dosyć...

– Głupi pan jest, ośmieliłam pana do pocałunków, ale nie do oświadczeń. Chyba pan jeszcze nie wie, kto jestem...

– Wiem. Wiem też, kim jest ojciec pani. Słyszałem o wszystkich pani konkurentach, tutejszych i zagranicznych: hrabia de La Tréfouille, księżę Zawratyński...

– Nie odbiegajmy od tematu. Co dalej?

– Otóż względna zamożność mojej narzeczonej jest dla mnie raczej przeszkodą do małżeństwa. Ale pokonałem ten problem na tle rzeczywistości uczuć. Na małżeństwo dla pieniędzy jestem za ambitny. A do tego nie wiedziałbym nawet, jak ich użyć.

– Jeszcze. Ja bym odzwyczaiała pana od wszelkich ambicji. Sam stręczyłby mi pan kochanków za pieniądze.

– Dosyć, to jest wstrętne.

– Ach, co za niewinność! Skromny narzeczony nie może słuchać takich zdrożności. Zgłupiał pan do reszty w tym narzeczeństwie. No, niech pan się obraża i mówi dalej.

Atanazy przewyciężył obrzydzenie i brnął w wymuszoną sytuację.

– Otóż, zanadto kocham się, na tym polega moja tragedia.

Hela obróciła się ku niemu całym ciałem.

– A ona?

– Nic, kocha mnie tak, jak zwykle panny w tym wieku kochają swoich narzeczonych. Ale nie o to chodzi, ja już nie mogę wytrzymać.

– A kiedy ślub?

– Ach, pani jest cyniczna. Nie mogę wytrzymać samego faktu zakochania się w tym stopniu, a nie jakichś głupich pożądań. Pani podoba mi się tyśiąc, nieskończenie razy więcej niż ona.

– Więc czemu nie mnie...? – rzekła prawie ze łzami; Atanazy zaczynał nabierać dla niej uroku czegoś utraconego.

– Sama pani powiedziała: dla dokonania tego nie byłem jeszcze dość ośmielony. A zresztą nie kocham pani i kochać bym nie mógł. Przeraza mnie pani rasa, a jednocześnie pociąga ze straszliwą potęgą...

– Ach, co za osioł, stracić taką sposobność! – zupełnie szczerze powiedziała Hela. – Ten żebrak idący na małe utrzymanie do tak zwanej cnotliwej panienki z dobrego domu mnie śmie mówić o rasie! Ja panu zabraniam się żenić, rozumie pan?! Nienawidzę tej pańskiej...

Atanazy zakrył jej twarz prawą ręką, przeginając ją jednocześnie lewą w tył, chwyciwszy jej lewe ramię od tyłu. Gniótł brutalnie coś niewidzialnego, nie czując już prawie nic ludzkiego w sobie. „Takie muszą być w takich chwilach zwierzęta” – pomyślał w jakimś ułamku sekundy. Nagła złość zmieniła się znowu w nieznośne, rozwlekłe pożądanie i to nieznanego gatunku. „A jednak czy to nie jest właśnie najistotniejsze?” Puścił jej twarz i wgrzył się w jej mięsiste, chłodnawe jeszcze wargi, łakomie, bezprytomnie, a jednak z całą świadomością bestialskiej rozkoszy. Wyrwała mu się, uderzywszy go pięścią od dołu w kość mostkową.

– Czy pan już zwariował? Więc na to się pan zarecza z inną, aby potem przychodzić mnie obcałowywać? To już nie jest perwersja – to zwykłe, ordynarne świństwo.

Atanazy przez dłuższą chwilę nie mógł złapać tchu.

– Nie, pani mnie nie rozumie. Mimo wszystko pani jedna może mnie uratować. Gdyby pani inaczej postępowała, może bym właśnie z panią... – mówił, dysząc ciężko.

– Nigdy bym nie była pańską żoną. Za mało dobrze jest pan urodzony i wychowany. Pan jest nędzarz. Koło pana jest ta atmosfera biedoty, która na nic sobie pozwolić nie może. Mógłby pan być co najwyżej jednym z moich kochanków i to koniecznie jednocześnie z którymś z pana przyjaciół.

– Potem mi to pani wszystko opowie, teraz niech pani słucha: ja ją tak kocham, że jeżeli to dłużej potrwa, nie wiem, co się ze mną stanie. To jest ta piekielna wielka miłość, która zdarza się raz na tysiące lat na jednej planecie.

– Nigdy więcej nie chcę od pana o tym słyszeć...

– Podoba mi się pani jak nikt dotąd i wiem, że nikt tak podobać mi się nie będzie. Właśnie taka, jaka pani jest: bogata, ordynarna, żydowska chamka. Pani jest wcieleniem tajemnicy Wschodu na blond z niebieskim, jest pani jedyną istotą, z którą chciałbym mieć syna, ten nie byłby degeneratem.

– Ach, czemu nie jest pan francuskim hrabią. Tak nie udali mi się ci zagraniczni konkurenci. Po panu jeden Kuba podoba mi się naprawdę, ale nim pogardzam trochę.

– Musi pani być moją, mimo że nie mam tytułu. Gdybym zdradził ją z kimś innym, to spotęgowałoby tylko wszystko. Pani jedna przez tę swoją diabelską, hetycką<sup>48</sup> urodę, doprowadzoną do ostatecznego wykończenia, może być dla mnie antydotem.

– Jestem dziewczicą, panie Atanazy – rzekła nagle zupełnie innym tonem Hela.

Było w tym coś dalekiego, jakby jakaś fala zamierzchłych wieków rozbiła się tu, w tym pokoju jako słaby refleks szalejącej kiedyś gdzieś w oddali burzy.

– Wie pani, że nigdy o tym nie pomyślałem. Pieniądze pani stawiają panią ponad tym problemem.

---

<sup>48</sup> *hetycka uroda* – taka jak u kobiet z ludu Hetytów. Hetyci to staroż. lud indoeuropejski, który przywędrował do Anatolii (dziś Turcja) i założył tam państwo, które w XIV–XIII w. p.n.e. osiągnęło szczyt potęgi i rywalizowało z Egiptem o dominację w Syrii. Ok. 1190 p.n.e. najazdy tzw. Ludów Morza spowodowały nagły upadek imperium hetyckiego. Do poł. XIX w. Hetyci byli znani tylko z nielicznych wzmianek w Biblii, jako lud żyjący w pobliżu Kanaanu. Odkrycie ruin ich stolicy, archiwów państwowych oraz odszyfrowanie języka i pisma hetyckiego (1915) przyczyniły się do spopularyzowania informacji o Hetytach oraz pojawienia się hetytologii jako osobnej dziedziny historycznej. Żadna z zachowanych płaskorzeźb hetyckich nie wślawiła się ukazaniem szczególnej urody postaci kobiecych, autor wydaje się jej domniemywać na podstawie biblijnej historii o Batszebie, żonie „Uriasza Hetyty”, uwiedzionej pod nieobecność męża przez króla Dawida, który potem wysłał Uriasza na pewną śmierć (2Sm 11,2–27). [przypis edytorski]

– A więc tylko ze mną będzie to zdradą? Z inną nie, na pewno? Ja pana rozumiem dobrze. Niech pan nie myśli, że ja jestem takie brutalne bydlę, na jakie pozuję, muszę pozować, bo inaczej...

– Więc pani się zgadza? – spytał bezmyślnie Atanazy i cała ochota zgwałcenia Heli rozwiązała się jak poranna mgiełka.

Znowu uczuł chęć samotności. Nagle błysnęła w nim zła myśl: „To ona, Zosia, zmusza mnie do tego. Nienawidzę jej za to, że muszę ją aż tak kochać”. W tej chwili z przyjemnością zbiłby ją batem do krwi. „Anielskie bydlątko, czysty duszek. Boże, za co ja kocham tak okropnie ten kawałek anemicznego mięsa z zielonymi oczkami” – jęknął prawie i w tej samej chwili ujrzał tuż przed sobą błękitne, ukośne oczy Heli i krwawe, nagle napęczniałe, szerokie jej usta. Uczuł zawrót głowy i dzika żądza, straszniejsza od wszystkiego, co czuł dotąd kiedykolwiek, włącznie z wrażeniami od huraganowego ognia ciężkiej artylerii, szarpnęła całym jego jestestwem („jelitstwem” = miękkie, krwawe aryjskie<sup>49</sup> flaki stanęły dęba jak spiętrzona fala nad otchłanią czarno-czerwonego, żydowskiego, duszącego, złowrogiego czegoś – czego, nie wiedział). Sytuacja była zaiste złowroga. „*Verhängnisvoll*<sup>50</sup> – Friedrich Nietzsche<sup>51</sup> – *Jenseits von Gut und Böse*<sup>52</sup> – *Schicksal*<sup>53</sup> – Sasza Schneider<sup>54</sup> – męski, belzebubi demonizm, brodaty, w ogóle obrośnięty – tylko to jest coś warte – bezpośrednie przeżywanie”. Szereg tych asocjacji przerwał mu jej dawno znany, z tamtej „popojki”, pocałunek.

– Czy chcesz zupełnie, czy mogę cię tylko całować? – wybełkotał na przekór tym myślom.

– Rób, co chcesz! Nie pytaj! Kanalia! Idiota! Niedołęga...! – posypały się wyzwiska.

Najwyraźniej Hela starała się podniecić do wyższych napięć szału. Chwycił ją za bezwładne, bekształtne jakby ramiona i gniotąc ją z całej siły w bydlęcej wściekłości, wpił się bezświadomym rozkoszy pocałunkiem w jej wargi. A już za chwilę rozpoczęły się tak dobrze znane, a jednak zależnie od nowego obiektu wiecznie nowe świadome erotyczne przyjemności. „Czyż nie byłoby prawdziwym szczęściem trwać ciągle w tym stanie bydlęcej bezświadomości: być bykiem, wężem, a nawet owadem czy też dzielącą się amebą, ale nie myśleć, nie zdawać sobie sprawy z niczego...” – zdążył jeszcze pomyśleć Atanazy, a zaraz potem: „A każda bestyjka inna” – szepnął w nim jakiś głos słowa Kazia Norskiego z *Emancypantek* Prusa. „Przereklamowana przyjemność” – przypomniało mu się zdanie Chwazdrygiela, biologa ze szkoły Loeba<sup>55</sup>. „Nie, nie przereklamowana, tylko zbyt długie pożycie z jedną kobietą pociąga wzrastanie przewagi elementów onanistycznych erotyzmu na niekorzyść prawdziwej dwuosobowej płciowości: to wspólne babranie się w wysublimowanym świństwie, ten urok dwoistej nieprzyzwoitości – wszystko to zatraca się powoli we wzajemnym do siebie przyzwyczajeniu. Samotne, mimo obecności drugiej strony, dopingowanie się myślowe, zastępujące rzeczywiste podniecenie, wybitnie przypomina samogwałtowe przeżycia, znane tak dobrze z dzieciństwa, a nawet niestety i z czasów późniejszych”.

Wsysał się coraz gwałtowniej w usta, które dopiero teraz naprawdę ustępowały powoli naciskowi jego warg, zębów i języka. Rozłaziły się całe, zamieniając się w mokre, gorące bagno nieprawdopodobnej lubieży, powiększały się do niemożliwych rozmiarów, były czymś jedynie

<sup>49</sup> *aryjski* – tu daw.: związany z Aryjczykami (Indoeuropejczykami), w XX-wiecznej teorii rasowej najwyższą, najszlachetniejszą z ras, przeciwstawianą rasie semickiej (Żydom). [przypis edytorski]

<sup>50</sup> *Verhängnisvoll* (niem.) – fatalny, zgubny. [przypis edytorski]

<sup>51</sup> *Nietzsche, Friedrich* (1844–1900) – filozof niemiecki, reprezentant irracjonalizmu i immoralizmu; sformułował koncepcje „woli mocy” i „nadczołowieka”. [przypis edytorski]

<sup>52</sup> *Jenseits von Gut und Böse* (niem.) – *Poza dobrem i złem*, książka F. Nietzschego, w której kwestionuje dotychczasowe, altruistyczne ideały moralne i hierarchię wartości, w której wysoko ceni się dobro moralne. [przypis edytorski]

<sup>53</sup> *Schicksal* (niem.) – przeznaczenie. [przypis edytorski]

<sup>54</sup> *Schneider, Sascha*, właśc. *Rudolph Karl Alexander Schneider* (1870–1927) – niemiecki malarz i rzeźbiarz, autor niepokojących, mrocznych prac, nierzadko z demonicznymi postaciami. [przypis edytorski]

<sup>55</sup> *Loeb, Jacques* (1859–1924) – amerykański biolog pochodzenia niemieckiego; twórca teorii tropizmów u zwierząt, autor prac dotyczących regeneracji oraz fizjologii zapłodnienia; wielokrotnie nominowany do nagrody Nobla, nigdy jej nie otrzymał. [przypis edytorski]

rzeczywiście istniejącym. Język Heli wysunął się z tej śliskiej, mięczakowatej masy jak płomień, dotknął jego warg i języka i zaczął się poruszać, drażniąc do obłędu jego usta... Rozkosz rozlewająca się po całym ciele zdawała się dochodzić już do szczytu, a mimo to nasilała się coraz bardziej, do nieznośnej, z bólem graniczącej potęgi. Dotknięcia tego świadomego jakby swego działania języka czuł wszędzie: w grzbiecie, w łędźwiach i tam, gdzie miliardy istot z niego poczętych rwały się do życia, nie zwracając uwagi ani na jego wielką miłość, ani sens jego istnienia, ani na całą metafizykę. W ciemnościach ciała, w obrzmiałych gruczołach, na stacjach węzłowych skomplikowanych dróg nerwowych – wszystko parło z żywiołową siłą ku jednemu tylko celowi: jedyną zapłatą okłamywanego ducha była tylko nieludzka rozkosz, która go niszczyła, dając mu bezświadomość chwili.

Sam brak semickiego, mdłego, jakby trochę stęchliznowatego zapachu, który tyle razy zniechęcał go do różnych mniej czystych Żydóweczek, doprowadzał go już do szału. Ślina była pachnąca jak świeżo połamane gałązki młodej brzozy przygrzane majowym słońcem. Usta jej zdawały się coraz bardziej nieznanne, niepodobne do tych, które kiedyś po pijanemu całował. Spojrzenie lubieżnie zamglonych, a jednak zimno obserwujących go ukośnych niebieskich oczu Heli podniecało go aż do niesamowitej złości, bijąc mięsistą, stwardniałą żądzę jakby cienkim, drucianym batem. Czuł się w jej władzy zupełnie. „Nic mnie z tego nie wyrwie. Zginąłem” – myślał z przewrotną przyjemnością okrucieństwa wobec samego siebie. „Rozkosz zatracenia – czyż jest coś piekielniejszego”. Nawet nie chciał w tej chwili zgwałcić jej – istotniejszym było to ponure poddanie się męczarni nienasycenia. Nagle drgnął od rozkoszy, przechodzącej jego pojęcie o rozkoszy w ogóle. Na tle jej spojrzenia tamto dotknięcie było czymś nie do zniesienia: złość, nienawiść, rozpacz, żal czegoś utraconego na zawsze, nieuleczalna choroba, zapomniana cudownie piękna muzyka, dzieciństwo i czarna, dysząca bezrękimi i beznogimi kadłubami czegoś – żywych okropnych rzeczy, nie stworów – przyszłość, i drgawka rozpaczliwego wydzierania się w jakiś odmienny byt, w którym ból nieznośnego rozdrażnienia nasycił się dzikim wytryskiem nieziemskiej, już niezmysłowej rozkoszy. Jeszcze jedno drgnięcie i ujrzał wszystko, dosłownie wszystko, jakby w straszliwie jasne sztuczne południe oglądał całość bytu, jaśniejącego w promieniach jakiegoś bezlitosnego diabelskiego reflektora na tle czarnej nicości.

„Zmarnował wszystko” – pomyślała Hela i poczuła nagły wstręt do Atanazego i jego uścisków.

– Nie myślałam, że za pierwszym zaraz razem zblamuje się pan tak fatalnie – posłyszał Atanazy jej głos, jakby z przeraźliwej dali, wśród kręgów rozedrganych zamierającej przyjemności, już nie rozkoszy.

– Och, pani nie wie, czym to było dla mnie. Ja nie żałuję, że stało się tak właśnie.

– Zosia widać nie zamęcza pana miłością – szepnęła Hela ze smutnym cynizmem, gładząc go z litością po rozpalonej, pękającej głowie.

Atanazy był piękny, ale miał głupi wyraz. Wypowiedzenie tego imienia w tej chwili wydało mu się wielkim świętokradztwem, ale milczał, przygnieciony potworny wprost miłością do narzeczonej. Zwała się nań ona jak lawina, jednocześnie prawie z zakończeniem tamtych rzeczy.

– Pomyślałam przez chwilę, że pan ją uwiódł i do małżeństwa jest pan zmuszony. Ale teraz widzę, że nie – zaśmiała się smutnie.

– Co panią obchodzi Zosia? Jest pani kobietą nie z tego psychicznego wymiaru, nie zrozumie jej pani nigdy; ani mnie nawet – dodał po chwili.

– Mówi pan tak, bo jestem Żydówką. I mówi pan to dopiero teraz, dlatego że chwilowo nasycił pan swoje głupie fantazje na temat zdrady i miłości i nasycił się pan mną. Jeszcze przed chwilą byłam dla pana Żydówką ze znakiem plus, dlatego podobałam się panu...

– I podoba mi się pani dalej. Nie wiem, czy potrafię bez pani żyć. Nic pani nie rozumie. Jestem w stanie katastrofy.

– Katastrofa pańska jest sztuczna. A jednak zmienił pan front. Jacy wy podli jesteście, goje<sup>56</sup> – dodała ze wstrętem i pogardą. – Naprawdę, dziwię się, że człowiek tak mądry jak pan nie rozumie właściwie nic a nic całego uroku naszej rasy: tego posmaku tajemniczości wschodniej poprzez całe ghetto<sup>57</sup> i to, co jest teraz. Ja sama dla siebie jestem niezrozumiała – kocham się w sobie, w tym czymś, co we mnie dla mnie samej jest tajemnicą.

Pierwszy raz, mówiąc te bezmyślne dziwności, „te dla bubków”, powiedziała mimo woli coś, co ją zastanowiło. Tajemnica jej samej dla siebie mignęła przed jej wewnętrznym widzeniem, w postaci deseni wybitnie seksualnie nieprzyzwoitego, na tle jej codziennej, rodzinnej, domowej osobowości. Ale rozmowa, tak zwana „istotna”, nie dała się już nawiązać. Na krótko zaspokoił Atanazy swoją żądzą tamtym muśnięciem. Znowu rzucił się do jej ust jako jedyne ratunku przed narastającą komplikacją, bełkocąc jakieś niesmaczne zaprzeczenia. Upajał się znowu programowym świństwem jak ohydny narkotykiem. Hela poddawała mu się obojętnie, obserwując jego szaf z zimnym tryumfem. Ale tym, czym był dla niej dawniej: nierozwiązanym problemem zagradzającym jej dalszą drogę, być przestał. Nie rozumiała teraz, jak mogła się nim na serio zajmować. Całował ją Atanazy wszędzie i tam... O mało nie zemdlał od subtelnego, a jednak potwornego, niesamowitego zapachu jej ciała i jeszcze raz doznał najwyższej rozkoszy, nawet bez jej czynnego udziału. Ale na gwałt nie mógł się już zdobyć. Aż wreszcie zerwał się kolan i bez słowa zostawił ją samą.

„Histeryk” – pomyślała z niesmakiem Hela i nagle Atanazy znikł po prostu z jej świadomości. Zagłębiła się w siebie. Cały świat zakręcił się jakby w jakimś wybuchu świętego dymu; rozpoczęło się zwykle nabożeństwo do niby nieznanego bóstwa, którym właściwie była ona sama.

„Jestem sama w sobie jedna i jedyna” – „Jak wszystko inne i ten wąż czerwony, którego masz w sypialni, i to pudełeczko z pastylkami, wiesz...” – szepnął głos tajemny, zwany jeszcze w dzieciństwie Azababrol, ale Hela nie słuchała go. Myślała dalej: „...mogę zrobić, co chcę: mogę się zabić – nie mam sumienia; to jest już szczęście, a jednak... Mogę nie istnieć, nie przestając żyć, jeśli zażyję tego... Nie żyję naprawdę w tym świecie, jestem jak księżniczka syryjska oddająca się w świątyni Asztaroth<sup>58</sup> za parę miedziaków obcym przechodniom, aby zdobyć sobie prawo do posiadania jedyne go męża”. Upłynęła chwila bezmyślna, a z rzeczywistości spadła pierwsza maska. „Jestem zwykła, nudząca się bogata panna, cierpiąca nad swoim żydostwem. Ambicja nie pozwala mi wybrać żadnego z tych zagranicznych durniów. Chodzi w tym tylko o przesuwanie mas pieniężnych na inne pozycje. Nie chcę o tym nic wiedzieć. Nikt mnie nie kocha, prócz ojca i Kuby – obaj nie odpowiadają moim wymaganiom. W ogóle taki człowiek jest niemożliwy do wyobrażenia. Chyba ten Tazio...” Pogarda połączona z pewną lubieżnością, a nawet tkliwością, przemknęła w jej uśmiechu. „A jednak on umiałby, gdyby chciał...” Na sekundę zahamowane pragnienie zdławiło ją za gardło aż do łez.

„Chciałabym być księżniczką krwi; albo nie: tylko biedną hrabianką – oddałabym za to wszystkie pieniądze i ze skromnej pensyjki żyłabym w klasztorze dla dobrze urodzonych pańienek”. Szalony żal, że tak nie jest i nigdy nie będzie, trwał przez chwilę, w postaci ciężkiej, rozżarzonej kuli, w górnej części jej brzucha. „Jestem nieszczęsnym, śmiertelnie znudzonym, żydowskim niczym. Czekam byle zewnętrznej sposobności, aby móc się zabić z samej nędzy duchowej. Chce mi się sankcji wyższych potęg nad moim życiem. Ach, zdobyć siebie na nowo, aż od samego dzieciństwa”. Przypomniała się jej rodzinna tragedia: cudownie piękna matka, ze starego

<sup>56</sup> *goj* (hebr. dosł.: naród) – termin pojawiający się wielokrotnie w *Torze* na określenie rozmaitych nieżydowskich narodów; nie-Żyd. [przypis edytorski]

<sup>57</sup> *ghetto* (wł.) – dziś popr.: getto, dzielnica żydowska. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *Asztaroth* (hebr. Im), właśc. *Aszarte* (mit.) – zachodniosemicka (fenicka, kananejska i syryjska) bogini płodności, miłości, seksu i wojny, odpowiednik mezopotamskiej Isztar. Wg Herodota (*Dzieje* I, 199) w Babilonie istniał zwyczaj, że każda kobieta raz w życiu musiała się przez świątynię bogini i oddać się za symboliczną, dowolną kwotę pierwszemu obcemu mężczyźnie, który jej to zaproponuje. Świadek Herodota bywa kwestionowane, ponadto taki zwyczaj nie musiał występować w Syrii. [przypis edytorski]

chasydzkiego<sup>59</sup> domu (Hela była do niej podobna z domieszką belzebubicznej **gęstości** charakteru ojca), dzika, nieświadoma swojej choroby nimfomanka<sup>60</sup> i potworna miłość starego Bertza, granicząca z obłądkiem. Śmierć matki i rozpacz ojca, i poszukiwanie podobnej zupełnie kobiety. Teraz miał... jakież to wszystko wstrętne. „I ten analityczny, onanistyczny Atanazy, który mógłby już być takim, jakim był byleby okazał choć trochę więcej duchowej siły. Czemu jej nie wziął po prostu, jak samiec samice, czemu nie nakazał jej tego, aby była szczęśliwą, czemu **nie kochał jej** – ta wieczna maskarada ciał i dusz, pozamienianych przez jakiegoś złośliwego, zazdrosnego, starzejącego się złego ducha.

„Jestem nędzarką uczuć, żebraczką miłości, muszę uwierzyć w coś innego niż moja żydowska wiara, muszę odpokutować wszystko, co było: oto jest właśnie to, czego szukam. Odpokutować i wyjść za mąż za tego biednego Prepudrecha. On jeden będzie moim absolutnym poddanym, kiedy już nie mogę znaleźć absolutnego władcy, Tak: pokuta, zdobycie zasług, dobroć – być dobrą bez żadnych do tego danych to sztuczka godna mojej ambicji. Poświęcenie się dla jakiegoś wysokiego celu? Boże Jedyny! Skąd go znaleźć?” – „Zostać komunistką” – szepnął znowu głos, ale inny. „Tak, ale nie zostając komunistką, można to znaleźć jedynie tam, gdzie króluje ten niezwykły ksiądz Wyprztyk. I od jakich głupstw zależy czasem wszystko! Gdyby wtedy poddał mi się, zostałabym pewno Żydówką do śmierci”. Zadzwoiła na służącą. „Coś musi się zmienić – inaczej znowu przyjdzie to straszliwe w swej mocy pożądanie śmierci i ja nie wytrzymam – a ja żyć chcę – chcę zobaczyć, co będzie dalej, jak w następnym felietonie<sup>61</sup> powieści...” Łzy zabłyły w jej rozszerzonych, wpatrzonych w nieskończoność oczach. Czują ponurość tak straszną, jak gdyby była już nędzną żebraczką w łachmanach, bez możliwości noclegu w zimie, jak gdyby już skazana była na dożywotnie więzienie i nigdy nie miała ujrzeć słońca na swobodzie. Patrzyła w życie i świat jak przez brudną szybę, zza kraty okienka jakiegoś ohydneho klozetu. „Czemu? Przecież mam wszystko, czego bym tylko zapragnąć mogła? A gdybym w tej chwili była nawet królową wszystkich Żydów świata, czułabym identycznie to samo”.

Weszła służąca Józia Figoń (była nauczycielka z pensji) z minką przypłaszczoną aryjskiej myszki, przemykającej się po nieobjętych obszarach wrogiego, żydowskiego bogactwa; przysunęła się do „jaśnie panienki”. Hela poczuła wstręt i złość i zazdrość. „Chwilami wołałabym być nawet tą...” Nagle cała życiowość wszystkich tych problemów spadła z nich jak brzydka, ropuchowata skorupa: ułożyły się w innych wymiarach jako wcale interesująca łamigłówka pojęć. Zostało tylko absolutne, metafizyczne prawie nienasycenie, na którego zaspokojenie nie wystarczyłoby nawet wszystkich gwiazd i mgławic Mlecznej Drogi. „Świat jest jednym wielkim więzieniem” – pomyślała Hela i gwałtownie zapragnęła katolickiego pogrzebu, ale wspaniałego, takiego, jaki miała niedawno księżna Mazowiecka. To przekonało ją ostatecznie o konieczności chrztu.

– Jutro przechodzę na katolicyzm – rzekła głośno, tak jak gdyby mówiła o jakiejś przejażdżce autem.

– Nie może być! Czemu, jaśnie panienko? – spytała Józia głosem poufnym. Hela zwierzała się jej czasami ze swoich najtajniejszych myśli.

– A tak, pora pomyśleć już raz o zbawieniu tej nikomu niepotrzebnej mojej duszy. Przecież tylko u was można być wybawionym z tej piekielnej matni sprzeczności – odpowiedziała Hela nagle zamyślona.

Józia ubrana była w ciemnobordo sukienkę i cynobrowy fartuszek z taką koronką. W ogóle czerwoność przeważała w całym pałacu Bertzów: obicia ścian i mebli, dywany, a nawet specjalnie dobrane obrazy miały jako zasadniczy kolor czerwień we wszystkich możliwych odcieniach. W sali

<sup>59</sup> *chasyd* – pobożny Żyd, członek ruchu mistyczno-religijnego utworzonego w połowie XVIII wieku przez Izraela Baal Szemtowa. [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *nimfomanka* – kobieta cierpiąca na *nimfomanię*, czyli na nadmierne pobudzenie seksualne u kobiet, mająca chorobliwą, ciągłą i uporczywą potrzebę uprawiania stosunków płciowych, przesłaniającą inne potrzeby. [przypis edytorski]

<sup>61</sup> *felieton powieści* (z fr. *feuilleton*) – dziś popr.: odcinek powieści. [przypis edytorski]

jadalnej, oprócz paru obowiązkowych martwych natur o czerwonych częściach składowych, wisiało trzydzieści kilka kopii portretów samych kardynałów i arcybiskupów.

Była to jedyna oficjalna perwersja starego Bertza. Hela wychowana w czerwoności tej od dzieciństwa podzielała w zupełności gust papy.

– Ja jednak mam większy szacunek dla Żydów, którzy nie zmieniają religii... – zaczęła Figoniówna.

– Józia nic nie rozumie. Tu nie ma na dzień żadnego interesu. Co innego, że papie może dogadza to w tej chwili ze względu na jego afery z Włochami, ale ja jestem ponad tym. Chcę raz przestać kłamać i doprowadzić do końca to, co jest już we mnie rozpoczęte, a nawet w większej części zrobione: z całej mojej kultury jestem Aryjką<sup>62</sup>, mimo pewnych żydowskich narowów. Kłamstwo tej waszej wstrętnej, umiarkowanej demokracji rozlane jest w mojej krwi na równi z żydowszczyzną – nic go ze mnie nie wyrwie. A demokratyczna ideologia to dzieło czystych Ariów<sup>63</sup>. My chcielibyśmy królować, ale jako silny naród, nieprzeżarty społecznictwem. Królować naprawdę, nad sobą i nad innymi, bez żadnych zabawek w rodzaju parlamentaryzmu, a jeśli nie, to staniemy się współczynnikami przewrotu socjalnego – dwie są tylko dla nas drogi.

– A cóż proletariat żydowski.... – wtrąciła Józia.

– Zobaczylibyście ten proletariat nie w waszej niewoli, a pod panowaniem naszych królów: żadnego cienia bolszewizmu nikt by się w nim nie doszukał. Nasz faszyzm to byłoby coś dopiero wspaniałego. Żydzi są jedynym narodem, który ma jeszcze w sobie zdrowy nacjonalizm – tylko położenie nasze czyni z nas, mimo naszej woli, wybuchowy materiał: transformuje, raczej deformuje, naszą siłę w przestrzeni innej struktury.

– Jaśnie panienska zaczyna zaraz dywagować, jak tylko wchodzi w nie swoją sferę kwestii społecznych. Niestety, eksperyment pokazujący, jak by było, gdyby było całkiem inaczej, jest niemożliwy, wobec tego...

– Wobec tego niech mnie Józia rozbierze i poda ten najczerwieńszy szlafrok. Ta mania czerwoności doprowadza mnie samą czasem do furii. A jutro proszę mi tu sprowadzić księdza Wyprztyka na dziewiątą rano. Do południa cała rodzina musi być ochrzczone – inaczej strzelam się. Obiad zjem w łóżku – dokończyła tonem złym.

Po chwili siedziała już w czarnej wannie, wyglądającej na ponury sarkofag wśród jaskrawoczerwonych, błyszczących ścian łazienki. Ciało jej w tym otoczeniu miało lekko niebieskawy kolor; mokre, po zimnym prysznicu włosy, oblepiając ściśle wydłużoną jajowatą głowę, połyskiwały zielonkawo. Nowa fala pogardy dla Atanazego zalała jej smutne, złe i zmęczone serce. Na tle tym Prepudrech zarysowywać się zaczął jako coś oczywiście nieudanego i niedociągniętego, ale w pewnym znaczeniu identycznego przynajmniej ze samym sobą. „Jest takim, jakim jest – nie udaje niczego ponad siebie. Wiem, że jeśli uderzę go w brzuch, nie ocieknie do swojej hiperkonstrukcji, w której to uderzenie w brzuch przetransponowane<sup>64</sup> będzie na uderzenie w tak zwany »metafizyczny pępek« – wstrętne pojęcie! – Widmo chowające się za materac jest ten cały Bazakbal. I czemu to takie nic jest właśnie czymś dla mnie?» – piekliła się coraz więcej, uderzając rękami w powierzchnię wody. W ciszy przerywanej pluskiem zadźwięczał dzwonek u drzwi ostatniego saloniku.

– Jeśli to książe pan, proszę poprosić do buduaru<sup>65</sup>. Będę dziś spała z nim na złość wam wszystkim. Rozumie Józia? – krzyknęła do Figoniówny stojącej nieruchomo przy piecu.

<sup>62</sup> *Aryjczycy* – nazwa ludów mówiących jęz. aryjskimi, czyli indoirañskimi; w teoriach rasistowskich termin odnoszący się do rasy: przez Aryjczyków, „rasę aryjską” rozumiano indoeuropejską „rasę panów”, twórców cywilizacji, zwykle przeciwstawianą narodowi żydowskiemu. [przypis edytorski]

<sup>63</sup> *Ariowie* (z sanskr. *arya*: szlachetny) – odłam ludów indoeuropejskich, który w III i II tysiącleciu p.n.e. przemieścił się do Iranu i płn. części Płw. Indyjskiego. W XIX w. uważano, że Ariami nazywali sami siebie przodkowie wszystkich Indoeuropejczyków i często utożsamiano te dwa terminy; tu: Aryjczycy w znaczeniu rasowym. [przypis edytorski]

<sup>64</sup> *transponować* – przenosić z jednej dziedziny do innej, dostosowując do niej. [przypis edytorski]

<sup>65</sup> *buduar* (z fr.) – pokój kobiety, służący głównie do odpoczynku. [przypis edytorski]

– Słucham jaśnie panienkę – zabrzmiał jak amen głos Józki i jak zapadający wyrok trzasnęły zamykające się drzwi.

Po paru sekundach bez pukania wszedł do łazienki Prepudrech. Oczy miał rozszerzone, twarz bladą i z trudem chwycił powietrze wyschniętymi ustami.

– Dlaczego włazisz tu nieproszony? – krzyknęła ostro Hela, jednak bez cienia zażenowania.

– Bo tak mi się podoba – odpowiedział księżę sztucznie tytanicznym<sup>66</sup> głosem.

– Kuba, nie udawaj Bazakbala, bo ci się to nie uda, ośmieszasz się tylko – to mówiąc, opryskała go wodą, przypomniawszy sobie, że tak postąpił Napoleon z Neyem<sup>67</sup>, kiedy ten odwiedził go w łazience po powrocie z Waterloo.

– Przede wszystkim proszę raz na zawsze o nienazywanie mnie Kubą – odpowiedział, ocierając się, Prepudrech. – Już posłałem mu świadków: Łohoyski i Miecio Baehreklotz. Wiem, że jestem urodzonym tchórzem i że za takiego mnie pani słusznie uważa. Ale odwaga – mówił dalej, obejmując dzikim, beznadziejnym spojrzeniem ciało Heli zdeformowane przez załamanie się w wodzie – nie polega na tym, żeby się nie bać wcale, tylko na opanowaniu strachu.

– Jednym słowem, im większy strach, tym większa odwaga...

– Wie pani dobrze, o czym mówię. Jest pani za inteligentna na to, aby tego nie rozumieć. Te dziewczynkowate dokuczania są nie na miejscu.

– No dobrze, Aziau, uspokój się. Nie jest jeszcze tak źle, jak myślisz.

Prepudrech zmiękł od razu. Nie miał jednak siły, aby uwierzyć w to, co mu w przedpokoju powiedziała Józka o oczekującej go nocy. Przekupienie służącej w domu Bertzów nie należało do rzeczy łatwych, a jednak czynił to od dłuższego czasu, poświęcając na ten cel jedną trzecią swoich dochodów.

– Chodziłem tu pod oknami, oczekując jego wyjścia. Nie robię pani żadnej sceny, ale jednak to jest potworne. Proszę o odpowiedź: tak lub nie.

– Nie – odpowiedziała Hela tak po prostu, że musiał uwierzyć.

– A tamto czy prawda? – spytał, drżąc cały z niepewności i oczekiwania.

– Już ci powiedziała ta plotkarka, Józka?

– Tak – jęknął prawie. – Nie żartuj: może to ostatnia, jedyna istotna chwila w moim życiu...

– Prawda. Jestem straszliwie samotna i nieszczęśliwa. Oddam ci się dziś. Wierzysz chyba, że jestem dziewicą?

– Ach, Helu, zaklinam cię... Jestem szczęśliwy... Ale nie rób tego, nie tak programowo... To odbiera mi całą moją siłę...

– Boisz się skompromitować z nadmiaru szczęścia? Nie bój się, ja ci na to nie pozwolę. Jutro przyjmuję chrzest. Pierwsza i ostatnia noc grzechu, a potem pokuta narzeczeństwa.

– Czy naprawdę zechcesz wyjść za mnie, jeśli nie zginę?

– To będzie zależeć od dzisiejszej nocy. – Zaśmiała się bezwstydnie...

Rzucił się na nią i wyciągnął ją z wody mokrą, gorącą, oblepiającą mu twarz wilgotnymi, chłodnymi włosami, które już zaczynały skręcać się w naturalne loki. Zawłókł ją, odurzona tym gwałtem, do purpurowej sypialni. Tam czekał już na nich obiad. Ale nie mieli czasu na jedzenie. Księcia Prepudrech ogarnął jakiś złowrogi szal. Miał bezwzględne przeczucie, że zginie, i używał ostatnich chwil życia z ponurym zapamiętaniem. Cykanie zegara, wprawionego w brzuch hebanowego papuaskiego bożka, biczowało z okrucieństwem równomiernością pędzący coraz szybciej jego osobisty czas. Koło dziewiątej leżeli zupełnie już wyczerpani, przygotowując się wewnętrznie do drugiej części nocy. Ktoś zapukał do drzwi sypialni w chwili, kiedy Hela Bertz własnoręcznie

---

<sup>66</sup> *tytaniczny* – olbrzymi, potężny, nadludzki; przym. od Tytanów, pierwszego pokolenia bogów, starszych od bogów olimpijskich. [przypis edytorski]

<sup>67</sup> *Ney, Michel* (1769–1815) – francuski żołnierz i dowódca, zrobił błyskotliwą karierę wojskową, walcząc w obronie rewolucji francuskiej oraz w wojnach napoleońskich; marszałek Francji, diuk d'Elchingen, książę Moskwy; wspierał cesarza Napoleona w czasie studniowej kampanii w 1815 r., walczył pod Waterloo. [przypis edytorski]

odgrzewała na elektrycznej maszynie wyziębły dawno obiad, a raczej jego część pierwszą: zupę z czerwonych marmontijów i pasztet à la Trémouille z wątróbek gandyjskich trywutów, zaprawionych sosem wynalazku samego Waterbrooka. W zamroczonym umyśle Prepudrecha przyszłość skłębiała się w mroczną piramidę niesłychanych bogactw, których nigdy już nie miał nawet oglądać. Piramida ta malała chwilami, zamieniała się w czarne, skręcone kófeczko, jakiś przypalony, bolesny skwarek pod wpływem uczucia kłującego strachu. Męczyło go, że strach ten był małym wobec pozornie nieskończonych obszarów niespełnionego życia. Brnął przez jakieś pustynie absolutnego bezsensu, krwawiąc nieznośnym umęczeniem: śmierć z torturami (psychicznymi na razie) zaczynała się już powoli, wbrew niemożności jej pojęcia stawała się codzienną rzeczywistością. „Och, czemuż wymigałem się od wojny – pomyślał. – Strach byłby wtedy wielkim, gdyby...”. Ale w tej chwili poczuł, że jest to kłamstwem: małość strachu i proporcjonalna do niej małość odwagi była w nim samym, Azalinie Belial-Prepudrechu, a nie w wypadkach, które ten jego strach wywoływały.

Krząjąca się (tak jest: krząjąca się) koło stołu Hela, której niebieskawe ciało – to, które posiadał po raz pierwszy przed chwilą (nie mógł w to jeszcze uwierzyć) wydała mu się kapłanką odprawiającą jakieś nieznanne żałobne nabożeństwo nad jego trupem. Czuł się już martwym mimo wzbierającej w nim na nowo żądy. Sprzeczność ta dawała w rezultacie tępy, prawie wyłącznie moralny (!!) ból w dołku. Ten przeklęty ktoś zapukał po raz drugi.

– Włóż prędko moją piżamę, to papa – rzekła spokojnie Hela, nie przestając zajmować się obiadem.

– Jak to? Chcesz go tak przyjąć? – spytał zduszonym szeptem książe. Nagle strach przed starym Bertzem zasłonił mu, częściowo przynajmniej, „obawę pojedynku”. – Ach, prawda! Wszystko jedno, przecież jutro zginę i tak.

– Przestań krakać. Ubieraj się. Zaraz, papo! – rzuciła we drzwi tym samym tonem, tylko głośniejsz.

Spokój Heli wrócił mu równowagę. Za chwilę Azalin stał już w nieco za ciasnej, ciemnoróżowej piżamie Heli, pod olbrzymią czarną szafą z czerwonymi lustrami, oczekując wypadków. Skrzyżował ręce na piersiach, przygotowany na najgorsze. Był naprawdę piękny. Jego uroda czarnego perskiego efeba<sup>68</sup>, spotęgowana bledością i płciowym wyniszczeniem, które zaostrzyło mu rysy jak u trupa, lśniła teraz niby drogocenny kamień w oprawie czerwonych szyb i czarnego drzewa. Lustro odbijało w ciepłym tonie jego białą, prześliczną, trochę kobiecą szyję. Hela spojrzała na niego przelotnie i poczuła dumę. Nie, nie dumę, raczej brak wstydu. „Gdyby oni z tym podłym Taziem mogli stanowić jednego człowieka! Może wtedy byłabym szczęśliwa...” – pomyślała i wspomnienie doznanej tylko co po raz pierwszy głębokiej, prawdziwej rozkoszy, rozlało się po jej ciele falą omdlewającego gorąca, by zaraz sprężyć się w giętką, nieznaną jej dotąd siłę. Teraz dopiero pojęła potęgę i władzę nowo zdobytej, pełnej kobiecości. Ale jednocześnie oprócz litości jakby i zewnętrznego uznania dla księcia zjawilo się w jej pustym dotąd sercu coś głębszego: przez chwilę patrzyła na niego jak na coś w rodzaju syna, a potem Bazakbal, ale też inny już, przemknął się jako widmo w dalekim tle. „Tamtego będę miała też i tamtych innych. Ale mężem będzie ten »synek«. Będę mieć wszystko, co zechcę”. Świat stanowiący mimo bogactwa, piękności i innych atrybutów wąską grań codzienności, otoczoną z dwóch stron przepaściami tajemnic, rozszerzył się nagle w wolną przestrzeń wichrowatych możliwości, zionącą nieznaną pięknnością, świeżością i jeszcze czymś... W głębi, jak widmo Bazakbala przed chwilą, ale w innej płaszczyźnie możliwych wydarzeń, przesunęła się śmierć. Cień złowrogi padł na śmiejący się widnokrąg nieskończoności. Obraz Böcklina<sup>69</sup> *Siehe, es lacht die Au*: zakwefionej i zapłakanej postaci pod czarnymi cyprysami pokazuje inna jakaś figura

<sup>68</sup> *efeb* (gr. *ephebos*) – pot. piękny młodzieniec; w staroż. Grecji młodzieniec u progu dorosłości, 18–20 letni, przechodzący obowiązkowe szkolenie wojskowe (efebie), które poprzedzało uzyskanie pełnego obywatelstwa. [przypis edytorski]

<sup>69</sup> *Böcklin, Arnold* (1827–1901) – szwajcarski malarz uznawany za prekursora symbolizmu, wysoko ceniony w epoce Młodej Polski; obraz *Siehe, es lacht die Au* (Spójrz, łąka się śmieje) stworzył w 1887. [przypis edytorski]

słoneczny widok w oddali. „A jednak dobrze jest, dobrze jest istnieć” – pomyślała. Problem żydostwa i aryjskiej kultury (nie wiedziała nawet dobrze, co to jest ta aryjska kultura) przestał ją męczyć.

– Proszę – rzekła dźwięcznym, niewinnym głosem.

Prepudrech drgnął: po raz pierwszy zrozumiał, że ją kocha (dotąd właściwie nienawidził ją). I całe bezmyślne dotąd jego życie przesunęło się koło niego piekącą falą wstydu. Poczuł, że ona jako kobieta jest jednak kimś, a on tylko nędzną do niej przyprzążką<sup>70</sup>. Skurczył się w sobie jak do skoku, skoku przez życie całe, przez samego siebie. Ale obraz pojedynku przesłonił mu przyszłość brudną, szarą ścierką. „Oto mój pierwszy czyn” – wypisało coś przed nim zdanie prawie bez sensu. Litery w innym wymiarze ducha, jak we śnie, bezprzestrzenne i bezbarwne, stały nad zgniłą marmeladą<sup>71</sup> dawnej, niezupełnie honorowo załatwionej sprawy. Cóż znaczył pozytywny protokół, kiedy sumienie i spojrzenia świadków mówiły co innego. Poczuł się – jak Bazakbal przed paroma godzinami i jak wszyscy zresztą czasem – wystrzelonym pociskiem lecącym w niewiadomą dal bezwładnie.

Do sypialni wszedł papa Bertz, brodaty Książę Ciemności z obrazu Saszy Schneidera<sup>72</sup> (we fraku), i zdębiał na widok roztaczającej się przed nim nieprawdopodobnej rozpusty.

– Hela – jęknął. A potem z wściekłością: – Ty, ty... to książęco-perskie ścierwiątko – ja jego perskim proszkiem<sup>73</sup>....! Ten przyjemniaczkowy wypędek śmie...! – dusił się wprost od nieoczekiwanych wrażeń. – O Hela, jakże ranisz moje serce. Mam właśnie dla ciebie dwóch faszystów! Jeden jest prawdziwy włoski markiz! O, ja tego nie przetrzymam! – Padł na fotel, przymykając zbolące oczy.

– Panie Bertz – zaczął Azalin niby zimno, ale drżąc z oburzenia graniczącego z najprawdziwszym strachem – markizów we Włoszech jest jak psów...

– Czekaj, Aziu, przede wszystkim ustalić trzeba stan faktyczny – przerwała mu Hela. – Czy papa wolałby, abym już nie żyła?

– Tak, wiem. Znam to wszystko. Ty zawsze szantażowałaś mnie śmiercią. Ja cię Kocham, Ciebie Jedną – jęczał bezsilny Belzebub w fotelu.

– To jest mój narzeczony. Zrobiliśmy amerykańską próbę. Jedyne on podobał mi się naprawdę. A kto wie, może ja go nawet w pewien sposób Kocham.

– Ależ on jest niczym dla Ciebie, jest takim samym niczym w moich najwyższych rachunkach. Notoryczny tchórz, z najgorszą opinią plutokratycznego lizogonka o podejrzanym tytule. Ja myślałam, że ty podtrzymasz wielkość domu Bertz.

– Panie Bertz – z prawdziwą dumą zaczął książę. – Jutro biję się z Bazakbalem...

– Drugie nic. O, po co ja tę hołotę wpuszczałem do mego domu!

– Muszę być niedyskretnym, bo chwila jest wyjątkowa. Muszę też mieć pewne względy specjalne dla ojca mojej narzeczonej. Co zaś do mego tytułu to proszę zbadać genealogię książąt Belial-Prepudrech, rozdział o chanach w teherańskim almanachu<sup>74</sup>. Jeśli nie zginę jutro, pojutrze ślub.

– Jaki ślub? – pienił się Bertz. – Czyś ty oszalał? A, wszyscy jesteście wariaci! Tym tylko mogę sobie to wytłumaczyć.

– Ślub katolicki, papo – wtrąciła z łagodną perswazją Hela. – Azalin jest katolikiem, matka jego jest baronówna Gnembe z domu, papo.

– Taka baronówna, jak i on książę. Ha, a tam tylu prawdziwych...! Nie, ja nie mogę... – Uderzył pięścią w poręcz.

<sup>70</sup> przyprzążka – zaprzęgnięcie dodatkowego konia do wozu; tu przen.: dodatek. [przypis edytorski]

<sup>71</sup> marmelada – dziś: marmolada. [przypis edytorski]

<sup>72</sup> Książę Ciemności z obrazu Saszy Schneidera – chodzi zapewne o obraz *Der Fürst der Verdammten* (Książę potępionych) z 1896. [przypis edytorski]

<sup>73</sup> perski proszek – substancja służąca dawniej do zwalczania owadów, zwłaszcza pcheł, uzyskiwana z wysuszonej i sproszkowanej rośliny, zwanej wcześniej złocieniem dalmatyńskim, a dziś raczej wrotyczem dalmatyńskim. [przypis edytorski]

<sup>74</sup> teherański almanach – na wzór znanego Almanachu Gotajskiego, rocznika genealogicznego zawierającego informacje o europejskich rodach arystokratycznych. [przypis edytorski]

– Panie Bertz, proszę nie obrażać mojej matki... – zaczął Azalin.

– Ja przyjmuję katolicyzm jutro – przerwała mu Hela. – I ty także, papo, zmuszony przez córkę. Honor twój jest ocalony, papo, a ze względu na interesy zawsze mówiłeś, papo...

– Tak, tak – wykrztusił z siebie już uspokojony z lekka Bertz; słowo „papo” działało nań jak morfina. – Ale jeśli ten bałwan zginie, to co?

– To nic. Nikt oprócz ciebie, Józki, mnie i jego o tym nie wie. Zażyłam zresztą odpowiednie proszki.

– Ale przyszły mąż... – głos uwiązł mu w gardle.

– No, z naszymi pieniędzmi nie potrzebujemy się zajmować takimi drobnostkami. A ty przyznaj się, papo, że męczy cię zupełnie zwykła zazdrość o mnie: kochasz się we mnie podświadomie: kompleks córki. Inaczej byłoby ci wszystko jedno. Czy Lola Green przestała ci już wystarczać jako antidot na kazirodcze uczucia? Jest podobna do mnie prawie jak bliźniaczka. Jedyne występy miała tutaj tylko. Płacisz jej potworne sumy. Wiem wszystko. Mam jej fotografię w mojej kolekcji erotycznych osobliwości obok mojej, twojej i mamy. Kompleks córki! Cha, cha, cha!

– Dostyc, dostyc z tym Freudem<sup>75</sup>, bo jakkolwiek jest Żydem, łeb bym mu rozwalił z przyjemnością. Zawrócił w głowach nawet najmędrszym ludziom, nawet tobie, Hela. Czyż to, co tu widzę, nastąpiłoby kiedykolwiek, gdyby nie ten przeklęty Freud?!

– A teraz albo papa się uspokoi i zje coś z nami, albo proszę opuścić moje pokoje. Biedny Azalin ma i tak już dostyc naszych rozmów na dzisiaj, a czeka go jeszcze druga część programu i ranny pojedynek.

– Daj mu się przynajmniej wyspać – rzekł stary łagodnie; ale zaraz nowa fala wściekłości przyplęnęła mu z okolic dołku pod grdykę. – A łotr, żeby mnie tak podejść. Powinieneś być, kanalio, mnie się wpieryć oświadczyć, a nie gwałcić mi córkę jak ostatnią dziewczkę w moim własnym domu! Rozumiesz, skurczyflaku?!

– Panie Bertz, bo jak się rozpędzę, będę musiał wyzwać pana także – rzekł już ze śmiechem Prepudrech.

„Królestwo Obojga Bertzów”, jak ich nazywano, spojrzęło na niego prawie z podziwem.

– A róbcie sobie, co chcecie. Ja mam jeszcze dziś trzy posiedzenia! – krzyknął Bertz, chwytając się za głowę. Pozostał tak jakąś część sekundy, rozważając z niepojętą szybkością jakąś szaloną finansowo-polityczną kombinację, i nagle wyleciał, nie żegnając się z nikim.

A w pokojach córki jego rozpoczęła się znowu śmiertelna orgia, połączona z dziwnym żalobnym nabożeństwem za duszę konającego z wyczerpania, rozpacz i strachu księcia Belial-Prepudrech. Problem dziewictwa przestał istnieć dla Heli zupełnie. Przeszłość cała wydała się jej obca, należąca jakby do innej osoby. Nawet dzisiejszy wieczór z Atanazym był tylko opowiedzianym jej przeżyciem jakiejś znajomej, sympatycznej dla niej dziewczynki. Teraźniejszość nabierała miąższu, puchła w nieprzyzwoity sposób. Ale za tymi zwałami aż nazbyt realnych kawałów zmaterializowanych chwil dawnych marzeń, kryło się jakieś nikłe widemko z ubiegłych lat, aż z dzieciństwa: śmiertelny duszek, wysłannik zagrobowych, niezbadanych krain. „Tylko nie teraz... jeszcze... jeszcze...” – myślała, zgrzytając zębami z niemożliwej do zniesienia rozkoszy. Księżę, piękny jak „**młody, diabelski bóg**”, pięknnością niepojętą i złowrogą, utożsamioną z zabójczą rozkoszą, stanowiącą z nią jedność, wypełniał ją (Hele) całą aż po zdławione gardło, aż „poza brzegi”, sycąc, rozkraczoną aż do pęknięcia, wchłaniającą wszystko żądzę, coraz straszliwszymi uderzeniami „jakiegoś niepojętego wału”. Jeszcze chwila, a zdawało się Heli, że zwariuje... Ach – i cały świat rozplątał się w jedno morze niewysłowionej, nieskończonej błogości. „I on był tym i ta twarz, i tamto, to jego w tym...” Prepudrech z dzikim zachwytem wpatrzył się w wywrócone w ekstazie oczy kochanki. Miał pewność, że stoi teraz na szczycie życia – cóż mogło być poza tym dla niego, biednego dancinbubka? A jutro śmierć i koniec. A Hela, upojona świeżo doznana

---

<sup>75</sup> Freud, Sigmund (1856–1939) – austriacki neurolog żydowskiego pochodzenia, twórca psychoanalizy. [przypis edytorski]

przyjemnością, zdawała się troić, czworzyć, pięciorzyć i poczwarczyć w oczach, wydobywając z ciała nieszczęsnego efeba wszystkie ukryte zapasy sił życiodajnych i zapału. W międzyczasie, koło dwunastej, wierna Józia dała im dalszy ciąg obiadu: marchewka à la Tripolin, na specjalnym masełku, zrobionym z pewnych wydzielin nosorożca, i pieczeń ze strusia w jajecznicy z jaj tegoż z sałatką z mleczów australijskich, ślimaków z jeziora Nemi i okrągłych (rzadkość!) kronplajtów damasceńskich, przypiekanych uprzednio po brzegach metodą Whiglita. Nasyceni tym, szaleli dalej jak para skorpionów, aż póki świt nie zaczął niebieszczeć w szparze między karminowymi firankami, zrobionymi z oryginalnego malajskiego humpolungu. Prepudrech ocknął się z omdlenia, po raz jedenasty oddawszy swojej narzeczonej skondensowany nabój swojej najgłębszej istoty. Przypomniał mu się epizod z czytanych w dzieciństwie *Popiołów* Żeromskiego: księżniczka Elżbieta i Rafał, i pomyślał, ile też razy stało się to z tamtą parą.

– Zapowiedziałem im, że do jutra, to jest do dziś rana, ma być wszystko gotowe, choćby całą noc mieli pracować – mówił Heli, nie mając jej nic lepszego do powiedzenia. W ogóle odczuwał czasem w jej towarzystwie haniebną pustkę w głowie i bał się tych chwil panicznie – wtedy to wymykała mu się ona najbardziej beznadziejnie – był bezsilny. Ale to poczucie intelektualnej niższości było jednym z masochistycznych elementów jego pożądania. – Chyba że to zwierzę nie znalazłoby do rana świadków – dodał sztucznie nonszalanckim tonem.

– Jak to się odbyło? Nic mówiłeś mi nic o tym.

– Czyż chciałaś słuchać?

– Nie mieliśmy czasu. Czy może masz mi to za złe?

– Ależ nie. Kocham cię. Życ mi się chce tak strasznie. Ale muszę przejść przez ten próg. Muszę stać się godnym ciebie.

Zaczął całować ją lekko i jakoś nieśmiało, czując w ustach swoich i w nosie drażniący smak i zapach niedawnych pieszczot. „Nigdy nie oderwę się od tego ciała” – pomyślał gorzko i cały świat wydał mu się małą pigułką w olbrzymich, wielkich właśnie jak świat, niesytych nigdy organach rozrodczych. One nie należały już do „świata” – był to byt innego „typu” w znaczeniu Russella<sup>76</sup>, przy zastosowaniu pojęcia tego do rzeczywistości.

– W tym pośpiechu jest też twoja słabość. Musisz być silny, inaczej stracisz mnie. Pamiętaj... – mówiła już sennie Hela, z przymkniętymi oczami.

– Kocham cię. Muszę cię zdobyć naprawdę. Ty, ty! – uderzył ją nagle pięścią w ramię, zawierając w tym uderzeniu resztkę niewyciśniętej myśli.

– Dosyć. Nie rozdrażniaj się na nowo. Już musi być po trzeciej. Za sześć godzin przyjdzie do mnie ksiądz Wyprzytek. Muszę się przespać. Nie zapomnij zatelefonować zaraz po pojedynku.

Prepudrech rzucił się ku łazience i za chwilę wyszedł stamtąd świeży i silny jakby nic. Hela już spała. Była tak piękna, że z trudem powstrzymał się, aby nie wgrzyźć się w jej rozchylone usta. Skośne oczy, zasłonięte zmęczonymi, drgającymi powiekami, zdawały się rzucać nieprzyzwoity cień na całe jej ciało. Zapach... Ale dosyć, ani chwili czasu. Trzeba spać – choć godzinę. Ubrał się gorączkowo i minąwszy puste pokoje, wypadł na schody. Zdumiony portier wypuścił go na ulicę jak dzikiego zwierza z klatki. Książę był w tej chwili odważny. Ale czy starczy to na długo? Gnany tą myślą biegł prawie do rogu, gdzie stały senne automobile. Dzień wstawał mglisty, bury, ponury, ohydny, miejski dzień.

Atanazy, wyszedłszy od Heli, biegł także. Raczej, jeśli chodzi o czas, Prepudrech biegł jak Atanazy – ale to wszystko jedno. Wnętrznosci Atanazego rozpieierała miłość do Zosi – straszliwa, nie do zniesienia. Pod wpływem „zdrady” (o nędzo!) coś zginęło na zawsze. Ale „inne coś”, może groźniejsze, bo sprzeczne, spotęgowało się do rozmiarów fizycznego prawie bólu. Co było to i tamto, jeszcze dokładnie nie wiedział. Nie było wszystko to razem ową dawną prawie litością odczuwaną

---

<sup>76</sup> Russell, Bertrand (1872–1970) – brytyjski filozof, matematyk i logik, a także działacz społeczny i eseista, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (1950). [przypis edytorski]

przez niego w stosunku do różnych panienek, z którymi się zaręczał, by zrywać następnie wśród męczarni sprzeczności i wyrzutów sumienia. „Jest to coś niewyrażalnego, tak niepodlegającego definicji jak linia prosta – chyba że do definicji zechcemy użyć obce geometrii, z innej sfery wzięte pojęcia” – myślał błado, przygnieciony nieznanym mu dotąd ciężarem czystego, jednolitego uczucia. Zapomniał prawie o Heli i o Prepudrechu. Wiedział na pewno, że jeśli nawet wyzwie go „ten idiota”, jemu, Atanazemu, nic stać się nie może. Uczucie, które rozsadzało mu system pojęć życiowych, jak dojrzały owoc łupinę, stanowiło, według jego zupełnie i racjonalnej intuicji, pancierz nie do przebiccia dla wszelkich niebezpieczeństw. Absurdem była śmierć. „Śmierć nie jest w stanie zabić tej miłości, a więc i mnie” – w tak idiotycznym aksjomacie zamknął ostatecznie obecny stan rzeczy. „A jednak czy Freud nie ma przypadkiem racji?” Przypomniały mu się psychoanalityczne seanse z doktorem Burdygielem i wszystkie jego wmawiania rzeczy pozornie nieistniejących. „Może gdyby nie śmierć matki, nie mógłbym się w niej tak właśnie zakochać”. Mimo że czuł jeszcze rozjątrzenie całego ciała od przewrotnej rozkoszy, którą dała mu tamta, Zosia jedynie („ta przeklęta Zosia”) była przedmiotem jego najistotniejszych pożądań. Teraz wiedział, że tamtą zwyciężyć może zawsze, choćby przy pomocy innej kobiety, ale to uczucie zlokalizowane właśnie w tym jądrze istoty, które „pępkiem metafizycznym” popularnie nazywał, wyrwać się niczym nie da. „To stopienie się pożądania w jedną nierozdzieloną masę z przeżywaniem tej samej – tak koniecznie tej samej osoby – nie innej (Atanazy uśmiechnął się gorzko po raz nie wiadomo który), od środka, samej dla siebie – tak, to była definicja wielkiej miłości. To, co w kobiecie jest jednym u samego początku, u mężczyzny (o, jakże wstrętne są te dwa słowa, które słyszy się ciągle we wszystkich towarzystwach, we wszystkich rozmowach grających na bałajkach oficerów z podejrzanymi mężatkami, służących z szoferami, księżniczek z mistrzami w boksie i tenisie) jest zbieżnością asymptotyczną<sup>77</sup>, czymś granicznym, niedającym się nigdy połączyć w jedność absolutną. Siłą napięcia w kierunku zlania się tych elementów w granicy mierzy się wielkość... O, jakie to wszystko wstrętne!”

Erotomania rozprzestrzeniała się jak lepka mgła w zaczynającym się nocnym życiu miasta. Wszystko zdawało się być tylko maską, pokrywającą rozwaloną bezwstydnie pleć – **wszystko**: od szyldu na sklepie do teczki pod pachą i munduru – u nich, u mężczyzn. „One” chodziły bez masek, obnosząc w tryumfie tę swoją jedyną beczelną wartość, akcentując nieprzyzwoitość obsesjonalnej myśli futrami, kapeluszami, pończochami, pantofelkami, „merezkami”, „wstawkami”, „zakładkami”: tymi w ogóle kobiecymi „fintifluskami”, tym całym gałganiarstwem, *chiffonnerie*<sup>78</sup> – stop: nuda żurnalu mód i na drugim końcu **to**. I Zosia była jedną z nich... A jednak? Przypadkowość, *contingence*<sup>79</sup> tego wszystkiego była okropna: „Jeszcze chwila, a napiszę wiersz” – pomyślał Atanazy ze wstrętem. „A nie, tego jednego mi nie wolno. Nie zostanę nigdy artystą, choć teraz to tak łatwo. Mogę zresztą pisać wiersze, ale jedynie z tym przekonaniem, że to jest nic. Minęły czasy metafizycznej absolutności sztuki. Sztuka była dawniej, jeśli nie czymś świętym, to w każdym razie »świętawym« – zły duch wcielał się w ludzi czynu. Dziś nie ma w kogo – resztki indywidualizmu życiowego to czysta komedia – istnieje tylko zorganizowana masa i jej słudzy. Od biedy zły duch przeniósł się w sferę sztuki i wciela się dziś w zdegenerowanych, perwersyjnych artystów. Ale ci nikomu już nie zaszkodzą, ani pomogą: istnieją dla zabawy ginących odpadków burżuazyjnej kultury”.

Niezbyt jasne i wymęczone myśli te przerwało Atanazemu wejście do bramy. Zaczynał się akt drugi: należało jednak oczekiwać świadków „tego idioty”.

### Informacja

<sup>77</sup> *asymptotyczny* – zbliżający się coraz bardziej do czegoś, ale niemogący tego nigdy osiągnąć. [przypis edytorski]

<sup>78</sup> *chiffonnerie* (fr.) – szmatki. [przypis edytorski]

<sup>79</sup> *contingence* (fr.) – przypadkowość. [przypis edytorski]

Atanazy pochodził z średniej szlacheckiej rodziny. Ojciec jego protegował sztuki piękne w rodzinnym powiecie, ale synowi zabronił być artystą *carrément*<sup>80</sup> i bił go srogo za najmniejszy rysunek albo wierszyk. Matka bolała nad tym, ale po śmierci starego Bazakbala (kłopoty finansowe i alkohol) wychowała małego Tazia (ze strachu przed duchem męża, którego podobno parę razy po śmierci widziała) w kierunku nadanym przez starego. „Metafizyczny peppek” tlił się w Atanazym stale, ale do „twórczości” nie doszło nigdy. I tak powoli został, sam nie wiedząc kiedy, owym aplikantem, myśląc ze strachem o przyszłej adwokaturze. Życie płynęło podwójnym korytem – to drugie, jak mówili niektórzy, było nie tyle rzeczne, ile świńskie. Ale opinia ta pochodziła od takich mamutów starodawnej cnoty, że naprawdę brać jej w rachubę nie można. Niedoszły artysta, zgnębiony na dnie, jak więzień na spodzie okrętu, dawał jednak czasami znaki życia. Codzienny dzień Atanazego nie był dniem zwykłych ludzi, ale wszystko to było ciągle nie to i nie to. Matka jego umarła na raka. Przyzwyczał się do myśli o tej stracie w czasie długiej choroby. Nawet rad był, że skończyły się jej męczarnie i nie cierpiał nad tym tak, jak to sobie dawniej wyobrażał. A jednak zmieniło się coś i Atanazy, notorycznie niezdolny do wielkiej miłości, zakochał się po raz pierwszy. Nieprzyzwyczajony do uczuć o takim napięciu, miotał się wśród sprzeczności jak ryba na piasku w upalny dzień. Na tym tle wyrosła bezecna idea programowej zdrady. Oto wszystko. Ale czasy nadchodziły inne i najzwyklejsze nawet istnienia wyginały się, przekreślały i deformowały, zależnie od zmiennej struktury społecznego środowiska.

Na schodach spotkał Atanazy dwóch mężczyzn. Nie rozeznał ich w mroku, a rozeznawszy, nie domyślił się, o co chodzi, mimo że przed chwilą o tym właśnie myślał.

– A to ty, Jędrzek? Jak się masz? Dobry wieczór panu – mówił, pochylając się w kierunku drugiego z tych panów.

Pierwszy był to Łohoyski, jeden z oryginalniejszych hrabiów na naszej planecie. (Ciekawa rzecz, czy na innych są też hrabiowie? Pewno tak, bo istnienie arystokracji jest czymś absolutnym: „*eine transcendente Gesetzmässigkeit*”<sup>81</sup>, jakby pewno powiedział Hans Cornelius<sup>82</sup>, gdyby zajmował się w ogóle tym problemem).

– Stój! Nie zbliżaj się! – krzyknął ostro Łohoyski.

– Cóż to? Jesteście zarażeni? – spytał Atanazy i w tej chwili zorientował się.

„Więc to oni. Nigdy bym nie przypuszczał” – pomyślał i natychmiast postanowił poprosić na kontrświadców dwóch oficerów, bardzo mało mu znanych z jakiegoś balu. „Na złość temu błaznowi, który mi przysłał nieomalże mego przyjaciela. („A może nie tylko przyjaciela” – szepnął tajemniczy głos w nim samym). Drugim dżentelmenem był Mieczysław baron Baehrenklotz, karykaturzysta-amator i autor kabaretowych wierszyków.

– Jesteś tu w sprawie honorowej ze strony Azalina księcia Prepudrech – rzekł Łohoyski ze sztuczną oficjalnością, ale zaraz nie wytrzymał i parsknął krótkim, końsko-zdrowym śmiechem, szczerząc swe i tak już nienormalnie wystające zęby, spod z lekka po polsku podkreślonych blond wąsów. Jego oczy, zielone, wypukłe, osadzone w cudownej piękności czaszce, łypnęły powstrzymywaną wesołością.

### Informacja

Był to w ogóle wspaniały, rasowy dryblas, zbudowany jak grecka rzeźba. Pieniła się w nim dzika siła życia i chęć użycia wszystkiego za wszelką cenę. Mógł

---

<sup>80</sup> *carrément* (fr.) – otwarcie, bez ogródek. [przypis edytorski]

<sup>81</sup> *eine transcendente Gesetzmässigkeit* (niem.) – transcendentalna prawidłowość. [przypis edytorski]

<sup>82</sup> *Cornelius, Johannes Wilhelm* (1863–1947) – niemiecki filozof, neokantysta; Witkiewicz uważał go za swojego mistrza. [przypis edytorski]

sobie zafundować żonę z dowolnie wysoko postawionej rodziny: Burbonów czy Wittelsbachów<sup>83</sup>; na razie jednak wolał swobodę, której używał drugi rok dopiero, po śmierci ojca, tyrana, w stylu co najmniej XIV wieku. Atanazego lubił bardzo. Czasem, zdawało się, krył poza tym coś jeszcze... Ale na razie stosunki ich były idealnie czyste i bezinteresowne.

– Prepudrech ubiegł cię, Taziu. Byłbym ci z ochotą... Ale dla samej perwersyjności sytuacji nie mogłem odmówić temu...

– Panie Andrzeju – zaczął zimno Baehrenklotz – będę musiał zrzec się mandatu...

– Już. Jestem poważny. Może pan zechce łaskawie poprosić nas do siebie – zwrócił się z przesadną sztywnością do Atanazego.

Weszli. Na widok swego pokoju Atanazy zdębiał. Zdawało mu się, że nie był tu wieki całe. Miał wrażenie, że przed powzięciem zamiaru zdradzenia narzeczonej nie istniał rzeczywiście zupełnie. Zbudził się teraz dopiero z jakiegoś niejasnego snu i przeszłość wydała mu się naprawdę obcą, pełną luk, jak sen niedokładnie przypomniany. „Tylko dlatego to mi się tak wydawać może, że bezsprzecznie moja przeszłość jest moją i tylko moją. Nawet w razie rozdwojenia osobowości każda z nich jest jednoznacznie określona i identyczna sama ze sobą. Wszystkie te gadania o nieokreśloności i nietożsamości »ja« są tylko pozą na absolutnie wyzwoloną z przesądów naukowość, a w gruncie rzeczy jest to pseudonaukowość, uniemożliwiająca poznanie istotne przez wykluczenie z góry pewnych rzeczy rzeczywistych jako niepodpadających pod materialistyczne<sup>84</sup> i psychologizacyjne<sup>85</sup> założenia. To udawanie przed sobą »wychodzenia z bezpośrednio danych«, przy czym już za pośrednio dane uważa się własne istnienie na przykład. Albo z tą przewagą analizy nad intuicją! Bezczeszczenie Husserla<sup>86</sup> na ten temat, że geometria Euklidesa<sup>87</sup> jest względna w stosunku do istnienia i że linia prosta nie ma bezwzględnego znaczenia. Może być sto geometrii krzywych, wygodnych dla fizycznego opisu zjawisk, ale to nie dowodzi, że świat rzeczywisty jest krzywy i skończony”. Niewczesne dywagacje te przerwał mu Baehrenklotz:

– Nasz mocodawca prosi uprzejmie, abyśmy się dziś jeszcze zejść mogli z pańskimi świadkami w celu załatwienia sprawy do jutra rano.

– Sądzę, że przy twoich znajomościach to nic wielkiego – zaczął Jędrus.

– To jest kwestia nienależąca do naszej kompetencji – przerwał mu Baehrenklotz. – Do drugiej w nocy czekamy w „Iluzjonie”.

– A więc chodźmy. Ja pęknę chyba w tej atmosferze oficjalności! – wykrzyknął Łohoyki. – Żałuję, Taziu – zwrócił się do zamyszonego Atanazego – że nie możemy dziś jeszcze porozmawiać o tym wszystkim...

Baehrenklotz bez ceremonii wyprowadził go z pokoju.

Atanazy głodny jak pies (była już godzina ósma) rzucił się nagle jak obudzony ze snu. Rozebrał się gwałtownie i w dwie minuty prychnął już i parsknął w *tubie*<sup>88</sup>, zmywając z siebie ślady popełnionej zdrady. Nędza tego wszystkiego gniotła jak zhora nocna. Postanawiał dziś przynajmniej nie iść do

<sup>83</sup> *Burbonów czy Wittelsbachów* – *Burbonowie*: dynastia królów francuskich, panujących też w Hiszpanii, w Neapolu i na Sycylii, oraz w Parmii; *Wittelsbachowie*: jedna z najstarszych dynastii niemieckich. [przypis edytorski]

<sup>84</sup> *materializm* – pogląd, który stanowi, że materia jest pierwotna wobec świata duchowego, który jest wytworem przyrody i społeczeństwa i pozostaje w ścisłej wobec nich zależności. [przypis edytorski]

<sup>85</sup> *psychologizm* (filoz.) – pogląd zakładający, że czynniki psychologiczne mają determinujący i najważniejszy charakter, albo wręcz stanowią ośnowę zjawisk. [przypis edytorski]

<sup>86</sup> *Husserl, Edmund* (1859–1938) – niemiecki matematyk i filozof, jeden z głównych twórców fenomenologii. [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *Euklides* (ok. 300 p.n.e.) – czołowy matematyk grecki; w swoich *Elementach* podsumował ówczesną wiedzę matematyczną i jako pierwszy przedstawił ją w formie systemu wniosków z zaproponowanego przez siebie zestawu aksjomatów, czyli fundamentalnych tez uznawanych za prawdziwe i niewymagających dowodzenia. W XIX w. skonstruowano geometrie nieeuklidesowe, powstałe przez odrzucenie piątego aksjomatu Euklidesa, o prostych równoległych. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *tub* (ang.) – wanna. [przypis edytorski]

Zosi, ale okazało się to niewykonalnym. W pół godziny szedł już śpiesznie na przeciwległy koniec miasta; umyślnie szedł, aby mieć czas zrekonstruować wszystkie środki do walki ze złem.

Atanazy nie myślał nigdy o złem i dobrem jako takim – teoretycznie nie zajmował się etyką. Mniej więcej znał odpowiedniki pojęć tych w życiu i świństwach zasadniczo nie popełniał. Uwiedzenie żony przyjaciela, odbicie komuś tam narzeczonej, nieszkodliwe kłamstwo dla celów artystycznych, to znaczy: dla dopełnienia i wykończenia naszkicowanej przez przypadek sytuacji – takich wymiarów świństwka zdarzały się w jego drobnostkowo-bogatym życiu. Ale wielkie świństwa, te graniczące z kodeksem karnym, jako też finansowe niedokładności, choćby najdrobniejsze, były mu obce zupełnie. Nad przewinami swymi cierpiał Atanazy nawet często długo i szczerze i postanawiał poprawę – przeważnie jednak na próżno. Z wolą było jakoś niewyraźne. Występowała ona sporadycznie, ale nie była „mistrzynią twórczości codziennej”, jak wyrażał się były profesor Atanazego, Buliston Chwazdrygiel, biolog, wyznawca skrajnego materializmu. Zdarzały się wypadki „tytanicznych” przewyciężeń, które przychodziły lekko, i ciężko zdobyte, drobne wymuszenia, niegodne nawet wspomnienia, a konieczne. Linia życia, zygzakowata i pogmatwana, poddawała się tajemniczej sile o kapryśnie zmiennych napięciach, płynącej z zakazanych sfer „metafizycznego pępka” = (ściśle): bezpośrednio danej jedności osobowości, ze źródła wszelkiej metafizyki i sztuki. Brak spontanicznego rozpędu twórczego nie pozwolił nigdy Atanazemu powiedzieć o sobie „jestem artystą”. Brzydził się nawet samym dźwiękiem tego słowa i wyśmiewał się z siebie bez litości wobec ludzi wmawiających mu jakiegokolwiek talenty. Za to życie komponował podświadomie jak prawdziwe dzieło sztuki, ale na małą skalę, niestety.

Ostatnie fazy rozwojowe, raczej upadkowe, sztuki współczesnej, potwierdzały mu jego wstręty. Mimo iż nie czuł się „człowiekiem pełnym samego siebie”, spełniającym z pełnym dopasowaniem między danymi a rzeczywistością swoją „misję na tej planecie” (wyrażenia księdza Wyprztyka) – to jednak na myśl o tym, że mógłby być jednym z „nich”, tych zatrutych ubocznymi produktami perwersyjnej twórczości dekadentów, Atanazy wstrząsał się dreszczem zgrozy i obrzydzenia. „Nie zatrują się tylko blagierzy i typy tak przeintelektualizowane, że w gruncie rzeczy blagierom równe” – tak powiedział kiedyś po pijanemu genialny Ziezio Smorski, którego potworne, zrobione jakby z surowego mięsa, różowej gutaperki<sup>89</sup> i sztucznych włosów utwory muzyczne grano już po całym świecie z wzrastającym wciąż powodzeniem. Zatruewał się też porządnie: dwa razy ratowano go już w najszlachetniejszym zakładzie dla nerwowo chorych. Za trzecim miał podobno zwariować definitywnie, bez możliwości ratunku. Nie – artystą nie był i nie będzie, choć niektórzy mówili mu, że „jeszcze czas”. A zresztą czyż mógłby wybrać fach spośród swoich niezliczonych talentów, począwszy od pisania wierszy i prestidigitatorstwa, do improwizacji na fortepianie i wymyślenia nowych potraw – nie: cały urok życia polegał właśnie na wytrzymaniu w nieokreśloności. Ambicja, aby być kimś dla drugich, była u Atanazego w uspieniu. Czuł, że nie należy budzić tego potwora, mogącego rozrosnąć się do nieoczekiwanych rozmiarów. Ale czyż samo życie nie mogło postawić go w położenie konieczności zużytkowania nieznanymi mu dotąd sił i możliwości? Pochylił się znowu nad własną głębią, raczej „głębka”, jak nad kraterem: *gurgito nel campo vasto* – wracało bezsensowne zdanie, tajemnicze bełkotanie przelewającej się psychicznej magmy, duszące kłęby buchających wewnętrznych narkotyków („Czy aby to wszystko nie jest błaga – pomyślał. – Bo co kogo może obchodzić życie takie jak moje?”) dawały znać, że potwór nie śpi. Bądź co bądź chwila zdawała się posiadać napięcie: „Szalona miłość, pierwsza programowa zdrada, pojedynek – hm – to dosyć jak na dzisiejszy wieczór”. Mania tak zwanego „komponowania wypadków” była tą szparką, przez którą jak przez wentyl bezpieczeństwa odciążało się ciśnienie artystycznych elementów. Kłęb dziwnego stanu, samego w sobie, nieobjawionego jeszcze zabarwieniem żadnego rzeczywistego kompleksu, wybuchał jakby z samego dna istoty osobowości i chwiał się w nieokreślonym bliżej wymiarze ducha, zanim spadł na jakiś inny stan konkretny lub na coś dziejącego się w zewnętrznym

<sup>89</sup> gutaperka – substancja zbliżona do kauczuku, otrzymywana z soku drzewa gutaperkowego. [przypis edytorski]

świecie. Zdawało się, że już zaraz, za jakąś cieniutką przegródką, za przepierzeniem, które w każdej chwili rozwalić by można, kryje się coś niepojęcie nadzwyczajnego; że za chwilę stanie się coś, co zmieni wszechświat i jego samego w absolutną harmonię, w konstrukcję bez zarzutu, dziwaczną niezmiernie w swej jednoczesnej dowolności. Już, już, miała pęknąć ta bomba, odkrywając nowe światy – aż nagle mroczniało wszystko, stawało się dalekie i obce, tonęło w mętnej świadomości normalnego, codziennego dnia. „Gdybym był artystą, stworzyłbym w takiej chwili pierwszą ideę jakiegoś dzieła sztuki” – myślał w takich razach Bazakbal i miał, zdaje się, rację. Czasami zdawało mu się, że ma coś niesłychanie ważnego do powiedzenia o życiu, o przyszłości ludzkości, o sprawach społecznych. Chwazdrygiel namawiał go często na studia historyczno-filozoficzne. Ale wszystko rozbijało się o tak zwane „niedomykanie się kłapek”, „nieściśliwość stanów ostatecznych”, „brak związków funkcjonalnych między odległymi połączeniami intelektu” – wszystko w terminach samego Chwazdrygiela. Według niego najciekawszymi typami współczesności mieli być wszechstronni dyletanci – *les dégénéérés superieurs*<sup>90</sup>, małe manometry<sup>91</sup>, na których odbijać się miały wszystkie, najsubtelniejsze nawet, zmiany w układach sił społecznych. Atanazy chciałby bardzo być takim manometrem – niestety nie widział siebie w sposób dość interesujący: życie samo w sobie przestawało być wystarczającym powodem istnienia.

Automatycznie szedł przez gęstniejące ludźmi ulice. Miasto zbudowane było bez planu. Podobnie jak w niektórych częściach Londynu, najgorsze slumsy<sup>92</sup> stykały się z ulicami względnie przyzwoitymi. Nagle Atanazy poczuł się zwykłym bubkiem i ulica, jesienna, zimna, błotnista, wchłonęła go razem ze wszystkimi psychologicznymi dziwnostkami i nienarodzonymi światło- i życiopoglądami. Zza szeregu kamienic wysunął się ogród otoczony sztachetami. W głębi, wśród drzew o żółtych i czerwonych bukietach zwiedłych liści oświetlonych łukową lampą<sup>93</sup>, przeświecała biała willa Osłabędzkich. Panował tam spokój obcy otaczającemu miastu. Była to wyspa cichego, czystego szczęścia wśród morza brudnej rozpusty. Do „miasta” należała Hela Bertz, była jego najistotniejszym symbolem. Czemu jednak to szczęście przesycone było tak straszną, nieznosną męczarnią? W którymś oknie na dole świeciła się zielona plama abażuru. Tam była Zosia, była naprawdę! Nie mógł w to uwierzyć: przez zdradę wyolbrzymiała mu do jakichś nieludzkich – oczywiście nie w fizycznym znaczeniu – rozmiarów, stała się dziwna i niepojęta, w metafizycznym sensie tych słów, tak jak cały świat w rzadkich chwilach olśnienia Tajemnicą Bytu. Sam był w tej chwili małym, nędznym, zwyczajnym człowieczkiem. Wpływał do portu jak łódź w czasie burzy po nieudałym połowie.

### Informacja

Pani Osłabędzka kładła właśnie nie wiadomo którego już pasjansa. Zofia, jej córka, czytała uniwersytecki kurs psychopatologii. Studiowała medycynę zupełnie bez zewnętrznej potrzeby, dla jakichś swoich, tajemniczych celów. Zaczęło się od naukowej ciekawości, potem przeszło to w obowiązek, potem przyzwyczajenie, aż nareszcie utknęło w czystej dobroci, jakichś zamiarach pielęgniarско-szkolnych, nudnych jak flaki z olejem rycynowym. Aż wreszcie zjawił się Atanazy i wszystko wzięło w łeb. Skończyć jednak trzeba, co się raz zaczęło – taka była zasada Zosi.

– Tazio spóźnia się. Miał być zaraz po kolacji – szepnęła jakby do siebie.

– Zobaczysz, jak będzie się spóźniał w rok po ślubie – odpowiedziała mama. – Ja znam ten typ niespokojnych brunetów. Jest zbyt inteligentnym, by mógł polegać na sobie: wszystko przeanalizuje tak, że na wszystko będzie mógł sobie pozwolić.

---

<sup>90</sup> *les dégénéérés superieurs* (fr.) – wyżsi degeneraci. [przypis edytorski]

<sup>91</sup> *manometr* – przyrząd do pomiaru ciśnienia gazów i cieczy. [przypis edytorski]

<sup>92</sup> *slums* (z ang. lm) – dzielnica nędzy w wielkim mieście. [przypis edytorski]

<sup>93</sup> *łukowa lampa* – dawny typ lampy, w którym źródłem światła jest łuk elektryczny wytwarzany pomiędzy dwiema elektrodami rozdzielonymi gazem; lampy łukowe, dające jaskrawe światło, wykorzystywano gł. do oświetlania ulic i w teatrach. [przypis edytorski]

– Mamo – zaczęła z wyrzutem Zosia – ja zupełnie inaczej patrzę na życie. Mnie trzeba choć trochę tej fantastyczności, której w sobie nie mam zupełnie. On mi daje to wszystko, wypełnia moje najważniejsze marzenie dzieciństwa.

– Zobaczysz, czym będzie dla ciebie ta fantastyczność później. Czy ty kochasz go naprawdę? – pytała po raz setny może od dziesięciu dni.

– Już ci mówiłam, ja nie nazywam nic po imieniu. Jemu mówię, że tak, bo może by mnie nie zrozumiał inaczej – tego jednego tylko – bo zresztą on wie wszystko. Mężczyźni są tacy dziwni w tych rzeczach najprostszych.

– Co ty wiesz o tym...

Zaiste Zosia nie wiedziała nic. Narzeczony pocałował ją pierwszy. Ale na tle lektury, rozmów i studiów myślała, że wie dużo więcej od matki.

Bez pukania wpadł do pokoju Atanazy. Już nie był „bubkiem”, już nie odpoczywał. Cała komplikacja jego istoty była tu, przed nim, jak na stole, jak na półmisku, przywalona miążdzącym ciężarem niezrozumiałej miłości.

### Informacja

Zosia była prawie lnianą blondynką, podobnie jak jej matka, która zaczęła właśnie gwałtownie siwieć. Były obie aż nieprzyjemnie do siebie podobne. Fakt ten łagodziło to, że pani O. była osobą dość dla Atanazego sympatyczną, mimo pewną kanciastość charakteru i nie zawsze taktowną prawdomówność. Zosia była prześliczną, szczególnie dla wysmukłych brunetów. Oczy jej zielone, trochę ukośne, ale nie tak jak u Heli Bertz, miały w sobie dziewczynkowatą kotkowatość na tle bestyjkowo-lubieżnym przy jednoczesnej głębi, zresztą chwiejnej, i mądrym, zimnym zamyśleniu. Pełne, bardzo świeże i czerwone, trochę niekształtne w rysunku usta, rozedrgane i niespokojne, stanowiły kontrast ze zwracającym uwagę klasyczną pięknnością prostym i cienkim nosem. Była wysoka i w miarę pełna. Ręce i nogi cienkie w przegubach i długie, wrzecionowate palce. Koniec.

Stary Osłabędzki na szczęście nie żył. Miał to być dziwnie gnębiący wszystkich pan przy pozorach nadzwyczajnej łaskawości i względności. Obie panie, mimo iż nie śmiałyby się przyznać tego za nic na świecie przed kimś ani przed sobą nawet, używały w cichości samotnego szczęścia w domu i swobodnego rozporządzenia dość dużym majątkiem ziemskim i „miejskim”. Podobno rodzina Rzewskich, z której pochodziła pani O., używała w Małopolsce hrabiowskiego tytułu. Stąd lekkie, ale nieszkodliwe zresztą fumki<sup>94</sup> i puszenie się. Atanazy, jako potomek tatarskiego rodu trzeciej klasy, o którym pies nie wiedział, nie był zupełnie odpowiednim mężem dla Zosi. Stąd atmosfera mezaliansu. Ale trudno – takie były czasy. Pani Osłabędzka miała zwyczaj mówić sobie na pocieszenie, że „przykład idzie z góry” i opowiadała tam, gdzie ją chciano słuchać, o austriackiej arcyksiężniczce, która wyszła za marynarza, takiego prostego „von” i o księżniczce de Bragança, żonie hrabiego Łohoyskiego, stryja Jędrusia.

Na widok Zosi Atanazy przestał na kilka sekund istnieć. Okropny ból wyrzutu i spotęgowanej miłości, wstydu i wstrętu do siebie, zmieszany z dzikim wprost wyidealizowaniem narzeczonej, to wszystko zdławiło go za gardło jak jakaś ohydna mordercza, olbrzymia łapa. Na dziś miał dosyć. Padł na kolana i całował nieśmiało jej ręce, dusząc się od niewyraźnych uczuć. Po czym zerwał się i przywitał się z mamą.

---

<sup>94</sup> *fumki* – zdr. od *fumy*: kaprysy, fochy, nadętość, zarozumiałość. [przypis edytorski]

– Przebacz mi – rzekł nieswoim głosem. – Miałem parę spraw do załatwienia i jeszcze nie skończyłem wszystkiego. I tak z trudem zdołałem wyrwać tę chwilkę z chaosu dzisiejszego dnia. Muszę zaraz iść.

– Ale czemu jesteś taki jakiś dziwny?

– Nic, tęskniłem za tobą strasznie. Miałem wrażenie, że coś złego się stało. Nie wiem. Zanim cię Kocham, zdaje się. Nie poznaję siebie.

Pani O. spojrzała na Atanazego uważnie i bez wielkiej sympatii. Nagle wszystko uleciało tam, w fantastyczną sferę nadchodzącego cudu (to stosuje się do Atanazego). Wytrysnął z dna istoty tajemniczy obłok objawień, kryjący osłepiające światło ostatecznej prawdy. Atanazy wziął Zosię lekko za ramię.

– Czy mogę przejść do ciebie? Chcę ci powiedzieć pewne rzeczy, które panią znudzą na pewno. Pani się nie pogniewa? Prawda?

– Panie Atanazy, pan wie, że jestem bardzo wyrozumiała, gdyż sama przeszłam rzeczy straszliwe. (Co to było, nikt nie wiedział i nikt się nigdy nie dowiedział). Wiem, że świadome przeciwdziałanie fatalistycznym wypadkom gorsze jest od biernego poddania się przeznaczeniu.

– Przypadku nie ma – odpowiedział już twardo Atanazy, odzyskawszy wobec teoretycznego zagadnienia całą równowagę umysłu. (Zosia cieszyła się wszystkim jak dziecko). – Albo wszystko jest dowolnością, w pewnych granicach możliwości – w granicy w znaczeniu matematycznym – wyglądającą czasem na konieczność na podstawie zasady wielkich liczb, albo jest konieczność absolutna i wtedy pojęcie wyboru rzeczy dość wielkich, aby były fatalistyczne, nie ma sensu.

– Jest pan grzeczny jak zwykle. Niech się pan nie gniewa, ale jeśli ja pana nie wychowam, to chyba nikt już nigdy, bo Zosi nie wierzę w tym wypadku zupełnie. Idźcie, dzieci. Niech pan tylko zanadto się przed nią nie wywnętrza: ani teraz, ani po ślubie. Mężczyźni w ogóle nie wiedzą teraz, co można mówić, a czego nie; stracili wszelki takt. A zresztą trzeba być zawsze trochę tajemniczym dla ukochanej kobiety.

Atanazy skłonił się i przeszli razem z Zosią do jej panińskiego pokoju. Teraz dopiero, na tle spokoju tego domu, odczuł Tazio jutrzejczy pojedynek jako coś nieprzyjemnego, ale jeszcze żaden cień strachu nie musnął nawet jego świadomości.

Oczywiście myślał dalej: „Zadowolenie z własnej małości i usprawiedliwienie tego zadowolenia przez metafizyczne ubezwzględnienie względnej wartości wszystkich uczuć w życiu. Słabość, dobroć, roztkliwienie nad sobą, płaski egoizm, szukający potwierdzenia w fałszywej dobroci, w tym właśnie roztkliwieniu i rozczuleniu. Wstrętne słowa!” Jakże marne wydały mu się te wszystkie jego pseudomyślątka, wobec ogromu potężniejącego ciągle uczucia, które zdało się być czymś obiektywnie poza nim istniejącym, poza całą obrzydliwością jego psychicznych bebechów. Szczyt wieży tonął już w ciemnościach dla umysłu nieprzenikalnych, a widoma podstawa puchła w dziwacznych skrętach, unosząc na galaretowatym podłożu całość z diabelskim sprytem wymyślonej budowy. Wszystko trzymało się jak polip morski na cienkiej szypułce, pępownicy, która lada chwila mogła pęknąć. (Tymi słowami prawie myślał o tym – co za upadek!). „I co wtedy, co wtedy?” – pytał siebie, nie wierząc chwilami w rzeczywistość całej tej historii w ogóle. „Może tego wcale nie ma? Och, jakże byłoby wtedy dobrze!” I znowu: „Gdybym był kimś, artystą, twórcą życia, nawet marnym społecznikiem (czemu marnym?) uniósłbym to wszystko (to znaczy: Zosię, przyszłą teściową i wilę chyba) w inny wymiar i stworzyłbym wielkość tego prawdziwą. Tak jak jest, muszę brnąć w to takie, jakim jest. Umetafizyczniam to sztucznie, tworząc z tego udany absolut, ogólne równanie wiecznych praw, aby bez wstydu wobec samego siebie oddać się straszliwej rozpuście czystego uczucia”. U natur tego rodzaju co Atanazy czyste uczucie jest tylko formą psychicznego onanizmu: tego zniechęconego, skopanego z pogardą siebie uwielbia się w postaci projekcji na drugą osobę – kobietę czy mężczyznę – to już wszystko jedno. Są to te osobniki, które mogą być z łatwością homo- i heteroseksualnymi, zależnie od tego jakiego rodzaju ekran nadaje się lepiej dla odbicia

ich wdzięcznych sylwet w celu samoubóstwienia. Dwoisty erotyzm jest dla nich dodatkiem tylko – naprawdę są onanistami.

Nie wiedziała nic o tym biedna Zosia, ale i Tazio nie wiedział pewnych rzeczy tak o sobie, jak i o niej. Trzymając teraz w obu rękach jego umęczoną głowę, myślała sobie: „Jaki on biedny, głupi, daleki ode mnie, jak jakieś stworzenie innego gatunku, mimo całej, wyjątkowej naprawdę inteligencji. Na czym to polega? Taki biedny, zagmatwany chłopczyk. Jakże mi go żal strasznie. A czasem, gdy mi się podoba, rozszarpałabym go na strzępki, żeby go już wcale nie było”. Tu spojrzała w oczy Atanazego z nagłym błyskiem żądy, która objawiła się na jej twarzy w postaci przelśnionego, jakby wizją zaświatów, zachwytu. „Ja wszystko dla niego zrobię. On musi być bardzo biedny, gdy jest sam. Takim go nie znam i nie poznam nigdy. Takim nie zna się i on sam naprawdę. To jest miłość, to, co myślę, tak, to co myślę, a nie odczuwam – inaczej być nie może. Ach, gdyby tak jednocześnie i on, i Miecio Baehrenklotz na dodatek – to byłoby szczęście. (Co u diabła, czyż ten biedny Atanazy mógł być główną osobą dla kogoś jedynie tylko w kombinacji z kimś innym? Gdyby mógł wiedzieć, co myślała Zosia, nie robiłyby sobie wyrzutów z powodu jakiejś głupiej „perwersji”). Życie moje nie jest nędzne teraz, tak jak przed rokiem, kiedy ze zgrozą myślałam o nadchodzącej wiośnie i pustce we mnie i dookoła. Jestem psychiczna masochistka, a fizyczna sadystka. Możliwe, że (nawet na pewno) on jest odwrotnością tego i dlatego go kocham – kocham go – ach, co za szczęście!”

– Kocham cię – wyszeptała i pocałowała go lekko w czoło, zamiast ugryźć w wargi, na co miała ochotę.

Atanazy zamarł w nieludzkim szczęściu nasycania się dręczącą go swoim ogromem miłością. I nagle jak ryk okropnego bólu w ciszę oczekiwania, jak nóż między włókna żywego mięsa wdarł się w tę chwilę wyrzut sumienia. Nieszczęście zważyło się na niego jak jeden blok. „Świadomość, odpadek ponadskończzonej egzystencji ciała, w którym miliardy istnień (aż do nieskończenie małych w granicy) tworzą swój wszechświat w ograniczeniu jednej osobowości, zgasła w bydlęcym cierpieniu”. Tak określiliby to Atanazy, gdyby mógł w tej chwili myśleć. Jakaś iskierka świeciła jeszcze w bezdennej ciemności, jak jedyna gwiazda na pustym niebie. „Już nigdy nie będzie to **tym**, nigdy”. Z tej iskry zbudować wszystko na nowo? Wydawało się to nadludzka, tytaniczną pracą – i nudną przy tym, nudną do obłędu. Życie przed nim było grzeszną pustynią bez kresu, przez którą trzeba było brnąć w zwątpieniu i męczarni.

– Nigdy już, nigdy – wyszeptał.

– Co nigdy? – spytała Zosia.

– Nie pytaj teraz o nic. Nigdy cię już nie skrzywdzę. Jestem twój na wieki – wyrzekł jak formułę przysięgi i skłonił głowę na jej kolana.

A jednocześnie łowił resztkami przytomności tamtą chwilę i rozumował tak: „Przez tę zdradę, zamiast zniszczyć wszystko, poznałem wyższy stopień uczucia. Dlatego nie ma w tym winy, ponieważ okupione jest wszystko w innym wymiarze”. Nagle wstał, prosty i uroczysty, podniesiony na duchu ostatnio odkrytą prawdą. Nie wątpił, że to **jest** prawda i nie czuł nawet cienia popełnianego, subtelного świństwa. A skoro go nie czuł, nie było w tym żadnego świństwa faktycznie. Cóż mogły go obchodzić sądy tych, którzy gdyby mogli przy pewnych warunkach i inteligencji, i intuicji, i tak dalej, i tak dalej... Ale nawet w tak ogólnikowej formie nie zjawiała się żadna wątpliwość. Po paru sekundach oczekiwania na nią Atanazy poczuł, że musi mieć rację i że wszystko, co zaszło, było koniecznością i to koniecznością dobrą. Ucałował Zosię w głowę. Nie miał jednak odwagi pocałować ją w usta.

– Muszę już iść. Nie pytaj o nic – rzekł dźwięcznie, krystalicznie.

„Ani myślę – pomyślała Zosia – I nic mnie to w tej chwili nie obchodzi. Pewno jakaś histeryczna »komplikacja wewnętrzna«”. Przemknęła chwilka nikła jak puszek, która jednak położyła się

brudnym, brym cieniem-ciężarem, na ich płaczące się od pewnego czasu życia. „Kabotyn<sup>95</sup>” – przeniknęło jej przez myśl jakby bezprzedmiotowo.

„One mają jednak intuicję, te bestie” – pomyślał w związku z możliwością domysłów Zosi na temat jego „zdrady” Atanazy, zapatrzony się w jej oczy zwrócone spojrzeniem do wewnątrz. Poczł się zdemaskowanym mimo pewności, że Zosia niczego się nie domyśla, zdemaskowanym co do ogólnych zarysów swego psychicznego mechanizmu. Oboje domyślali się czegoś na swój temat i oboje krążyli dookoła nieświadomego punktu przecięcia ich podejrzeń, nie mogąc, a może i nie chcąc, dociec ostatecznej prawdy.

### Informacja

Mimo istotnej niższości intelektualnej Zosia była dużo sprytniejsza od Tazia, który nie znał się w ogóle na ludziach i chełpił się tym nie wiadomo dlaczego.

Wyszedł, pocałował ją jednak przelotnie w usta, i tajemnica ich wzajemnego stosunku pozostała znowu w zawieszeniu na czas nieograniczony.

Atanazy pojechał do kawiarni „Iluzjon”, gdzie spodziewał się zastać potrzebnych mu oficerów. Człł się wprost świetnie. Wiszący nad nim pojedynek dodawał tylko uroku przemijającym chwilom. Wszystko było jakieś ładne, ciekawe i konieczne. „To samo Łohoyski ma po »coco«<sup>96</sup>, o ile nie łże – pomyślał. – A ja bez tego potrafię tak się patrzeć na świat”. Oficerów znalazł (Rotmistrz Purcel i porucznik Grzmot), załatwił z nimi szybko sprawę i dawszy im *carte blanche*<sup>97</sup> na definitywne załatwienie, napuścił ich na świadków księcia. Łohoyski chciał mu coś powiedzieć, ale uciekł mu szybko. „Temu wszystko wolno, ale nie mnie. Jednak byłoby zabawniej, gdybym był hrabią”. Było prawie pewnym, że pojedynek odbędzie się jutro z rana. Na wszelki wypadek kazano mu się obudzić o piątej. Do Prepu drecha nie czuł ani złości, ani nawet niechęci. Raczej było mu go trochę żal. „Będzie strzelał pierwszy i chybi wskutek trzęsawki strachowej, a ja wpakuję mu karmelek w prawą półkulę” – myślał Atanazy, idąc do domu. Wszystko i zdrada, i widzenie z Zosią, i pojedynek, ułożyło mu się w harmonijną całość. Był zadowolony z kompozycji tego dnia.

– Gdyby wszystkie dni układały się w ten sposób, całe życie byłoby utworem dość znośnym, byłoby pewną jednością w wielości – rzekł głośno, zapalając światło w swoim pokoju.

Znowu cały dzień przesunął mu się z szaloną szybkością w pamięci, ale ze wstrętnym jakimś zabarwieniem i w ohydnej deformacji, z uwypukleniem momentów kłamstwa i podłości. Ale wrażenie to ustąpiło zaraz miejsca poprzedniemu poczuciu harmonii.

– *Peuh*<sup>98</sup> – rzekł z francuska. – Przeżywaliśmy rzeczy stokroć gorsze.

A jednak nie było to prawdą.

---

<sup>95</sup> *kabotyn* – człowiek, który usiłuje imponować tanimi efektami i zgrywaniem się na znawcę. [przypis edytorski]

<sup>96</sup> *coco* – tu pot.: kokaina. [przypis edytorski]

<sup>97</sup> *carte blanche* (fr.) – dosł.: biała karta; dawać *carte blanche* oznacza dawać wolną rękę, nieograniczone pełnomocnictwo. [przypis edytorski]

<sup>98</sup> *peuh* (fr.) – phi; wykrzyknik wyrażający lekceważenie. [przypis edytorski]

## Rozdział II. Nawrócenie i pojedynki

Była dziewiąta rano, gdy Józia Figoń otwierała drzwi od sypialni Heli Bertz, wpuszczając tam jak kota do pokoju, w którym jest szczur, księdz Hieronima Wyprztyka z zakonu paralelistów, doktora teologii i profesora Najwyższej Dogmatyki na uniwersytecie tu i w dalekiej Antiochii<sup>99</sup>. Ojciec Hieronim był to wysoki (na 2 m 10 cm), chudy blondyn, z olbrzymim orlim, skrzywionym na lewo nosem. Nie miał w sobie nic klasztornego. Jedyne dla nadania osobie swej większego znaczenia jako łowcy dusz wstąpił do misjonarskiego zakonu. Tylko niebieski pas na czarnej sutannie zwiastował w nim paralelistę. Pochylił się naprzód, wyciągając szyję jak kondor, i starał się przebić swym świdrowatym wzrokiem półmrok dusznej sypialni. Zapach kolacji (dobrej), perfum z leśnej jesiennej gencjany<sup>100</sup> i jeszcze czegoś... („Ha, już wiem” – pomyślał) – tak, subtelny zapach „orgii cielesnej”, jak się wyrażał, podrażnił jego czułe nozdrza mikrosplanchika i niedosłego schizofrenika. W chwilach takich: obowiązkowego zbliżenia się do rzeczy niedozwolonych, ksiądz Hieronim „nasycił się najbardziej rzeczywistością”. Określenie to znane było w kołach pewnych narkotystów i jeszcze jakichś „istów” życiowych, pomiędzy których zabłąkało się paru jego uczni z czasów, kiedy był katechetą, czyli jak mówiono, cierpiał na katecheksję. Nagle z przesyconego zawią kombinacją zapachów mroku, przebiwszy kłęb rodzących się nieprzyjemnych uczuć i żalu i złości, które przeszły w „tło zmieszane”, wystąpił przed nim obraz śpiącej Heli. Rozsypane, kręcące się, rude włosy otaczały lubieżnie, jakby w skurczu rozkoszy, skreconą jej głowę. Jedna, gwałtownie dysząca, prześliczna pierś kształtu indyjskiej dagoby<sup>101</sup>, z małą, niewinną jak kwiatek różową brodawką, wąską, o wysokim podbiciu, niebieskawobiałą nogą i rękę – to wywalone było na wierzch. Reszta ciała wyginała w seksualnie obiecujący szkic cienką, ciemnoczerwoną koldrę. Ksiądz Wyprztyk coraz wyraźniej nasycił się rzeczywistością... Ale zaraz ocknął się i przechodząc nagle w inny wymiar, uczynił ze zmysłowego obrazu płaską plamę wspomnienia na uciekającej przeszłości i zatrzasnął ciężkie wrzeciędzie<sup>102</sup> woli, poza którymi we wnętrzu swej ognistej, namiętnej istoty, w piekielku, gdzie chował nadworne, niedające się zabić monstra<sup>103</sup>, dyszała, między innymi, niedotłamszona nigdy do końca żądza życia. Już transportował tę energię za pomocą zawiłych, jemu tylko znanych wzorów na inne, wyższe wartości. Dotknął długim, kościstym, opatrzonym w płaską poduszeczkę palcem nagiego ramienia swojej przyszłej ofiary, na którą od kilku lat już czatował.

– Jak się masz, mrówkolwie<sup>104</sup>? – szepnęła Hela, budząc się na wesoło.

Zakończenie zapomnianego w chwili przebudzenia snu było rozkoszne. Coś absolutnie niekreślonego szło w górę, rozprzestrzeniając się wachlarzowato, w przyjemnym zatraceniu poczucia przestrzeni.

– Czy znowu w tym tonie zamierzasz mówić ze mną, krnąbrna córeczko? Wychodzę i tym razem nigdy już nie wrócę – rzekł Wyprztyk, bez cienia urazy w głosie.

Hela ocknęła się zupełnie.

– Nie, ojczu, tym razem chcę się przechrzcić naprawdę. Tylko nie żądaj ode mnie wiary dziś, zaraz, na poczekaniu. Czuję się bardzo źle sama ze sobą. Nie mogę wyzbyć się uczucia zupełnej samotności i pustki mimo przyjaciółek i przyjaciół.

– A nawet kochanków – obojętnie zauważył ojciec Hieronim, pociągając z lekka nosem.

<sup>99</sup> *Antiochia* – miasto w Syrii, w staroż. jedno z centrów chrześcijaństwa i czołowy ośrodek teologii chrześcijańskiej. [przypis edytorski]

<sup>100</sup> *gencjana* – tu: goryczka (łac. *Gentiana*), roślina zielna używana m.in. jako składnik perfum. [przypis edytorski]

<sup>101</sup> *dagoba* – typ sakralnej budowli buddyjskiej na Cejlonie, odpowiednik indyjskiej stupy. [przypis edytorski]

<sup>102</sup> *wrzeciędz* (daw.) – urządzenie do zamykania drzwi a. bramy od wewnątrz. [przypis edytorski]

<sup>103</sup> *monstrum* (łac.) – potwór. [przypis edytorski]

<sup>104</sup> *mrówkolew* – drapieżny owad znany z tego, że w postaci larwalnej ukrywa się zakopany na dnie lejkowatego dołka z piasku, czyhając na przechodzące mrówki, którymi się żywi. [przypis edytorski]

– Tylko dziś, właśnie po raz pierwszy oddałam się z całą świadomości pewnemu młodemu człowiekowi, ale z tym zastrzeżeniem, że ślub nasz odbędzie się w najbliższych dniach. Jest katolikiem i...

– I w tym celu....?

– Nie, nie tylko w tym, jakkolwiek to wchodzi też w system działających sił.

– W ognisku tych potęg nie widzę prawdziwego natchnienia mającego źródło swoje w wiecznej prawdzie – ironicznie zauważył ksiądz.

– Ojcie, ja nie zniosę dłużej tego tonu i języka, którego ojciec używa zarówno w stosunku do krnąbrnych kucharek, jak i do mnie. Jestem sama w znaczeniu metafizycznym... odczuwam wszystko jako majak. Ja przecież czytałam wiele, że mną nie można tak.

– Właśnie dlatego, że jesteś zbyt odczytana w filozofii, chciałem cię zażyć od strony zupełnej prostoty. Ale skoro nie, to nie. Wytoczę argumenty cięższe.

– Przede wszystkim jak pozbyć się tego gniołącego uczucia samotności? Ja chcę żyć, a wszystko mi się z rąk wymyka i wszystko „jest nie to”. Chyba mam warunki, aby stworzyć sobie życie takie, jakiego bym pragnęła? A tu nic: życie płynie obok jakby, a ja wołam was wszystkich niemym głosem, którego nikt nie słyszy, i mimo że jesteście ze mną, uciekacie ciągle w dal przeszłości. Każda rzeczywistość ma dla mnie żalony smak niepowrotnego wspomnienia nigdy niebyłego wypadku. Ja chcę wierzyć, bo to jedynie nada sens ostateczny wszystkiemu, mimo że gdzieś na dnie duszy, a raczej intelektu, będę uważała to za rezygnację, za świadomy upadek.

– Tak. Wiem o tym, jest to pragmatyczny<sup>105</sup> pogląd, który tępię wszędzie, gdzie mogę. Najpłytsza doktryna jaka istnieje, zastosowana zresztą dobrze do marności naszych czasów. Wszyscy jesteśmy pragmatystami w znaczeniu czysto zwierzęcym, chodzi nam o to, aby nam było dobrze: każdemu bydłociu, ba, komórce o to chodzi. Ale różne są stopnie tego, co jest dobre, jest cała hierarchia pożyteczności i przyjemności, dla której ustawienia w samym czystym pojęciu pragmatyzmu nie ma kryteriów: zupełna względność.

– Kryteria są społeczne – wtrąciła Hela. – Pęd ludzkości ku coraz większej społecznej doskonałości stwarza kryteria dla tablicy wartości w każdej epoce. Kryteria pragmatyzmu muszą być społeczne, inaczej każda bzdura mogłaby mieć pretensje do względnej chociażby prawdziwości. Po zbankrutowanej demokracji przychodzi komunizm czy syndykalizm<sup>106</sup>, ale wszystkie idee te, z których dwie pierwsze są wyrazem nietrwałego stanu rzeczy w stadiach pośrednich, mogą opierać się na pragmatyzmie, zarówno jak i na oświeconym absolutyzmie. Tylko że w dawnych czasach uświadomiony pragmatyzm był społecznie niepotrzebny...

– Poczekaj, córeczko, w zasadzie zgadzam się z tobą, ale wprowadzasz takie zamieszanie nadmiarem koncepcji, że nigdy z niego wybrnąć nie zdołamy. Za dużo chcesz powiedzieć od razu. Dziś chodzi o jedno tylko: abyś uwierzyła w konieczność twego nawrócenia, i to właśnie nie z pragmatycznego punktu widzenia. Musisz uwierzyć nawet wtedy, jeśliś z tą chwilą miała, antycypować<sup>107</sup> najgorszy nawet subiektywny stan duszy, na czas nieograniczony.

– Przyjemna perspektywa. Ja chcę być metafizycznie szczęśliwa i koniec. Obowiązkiem twoim, ojcie, jest dać mi to.

– Przestań być choć na chwilę bardzo bogatą Żydóweczką, o nadmiernie wyostrzonym intelekcie, zresztą typowo po semicku nietwórczym, przestań raz czegokolwiek wymagać. Poddaj się tak, jak dla eksperymentu poddawałaś się hipnozie. Chodzi o „nastawienie” – bez odpowiedniego nastawienia niczego zrozumieć nie można. Musi na początku być ta podstawa, to, co na przykład

---

<sup>105</sup> *pragmatyzm* (filoz.) – system filozoficzny, którego ważnym elementem jest teoria prawdy akcentująca konieczność analizy użyteczności wynikającej z przyjęcia danego twierdzenia za prawdziwe; wg krytyków pragmatyzm utożsamia prawdziwość z korzyścią. [przypis edytorski]

<sup>106</sup> *syndykalizm* – kierunek w ruchu robotniczym zakładający pierwszeństwo celów ekonomicznych nad politycznymi. [przypis edytorski]

<sup>107</sup> *antycypować* – przewidywać. [przypis edytorski]

Husserl w stosunku do swojej teorii nazywa „*phenomenologische Einstellung*”<sup>108</sup>. Pieniądze twoje nic tu nie pomogą, choćbyś je wszystkie oddała na mój klasztor. Przysięgam ci, że nie to jest moim celem.

– Podświadomie...

– Wszystko można przenicować bez dowodu przy pomocy pojęcia podświadomości. Dobrze jest ono między psychoanalitykami. Wykluczmy je z naszych rozmów na zawsze. Ukórz się przed ideą, którą przedstawiam, a nie przede mną. Czyż dowodem za mną nie jest właśnie to, że ty właśnie, mimo twoich bogactw, piękności, żydowskiej pychy i, powiedzmy otwarcie, mądrości musiałaś zwrócić się do mnie, do mego świata, po odpowiedź na najistotniejsze, bo metafizyczne udręczenie?

– A może jest w tym jedynie interes papy? Może ja osłaniam tylko sobą jaką brudną czysto żydowską machinację? Może to wasza sugestia wspólna...?

– Nie, ojciec twój, którego przywiązanie do jego wiary niezmiernie cenię, w głębi duszy zrozpaczony jest z powodu twego zamiaru. Ale inna rzecz, że i on przyjąć chrzest musi. Nie śmiał ci tego zaproponować, abyś pokryła ten jego czyn wobec drugich – wiesz kogo? – maską twego pozornego czy rzeczywistego despotyzmu. I mimo całej rozpacz z radością uchwycił jednak tę sposobność. Zemści się to na nim w ten sposób, że będzie najgorliwszym katolikiem za rok lub dwa. A jednak już teraz jest finansowo szczęśliwy, gdyż jako Żyd nie mógłby wejść w pewien krąg międzynarodowych interesów. Teraz dopiero stanie się prawdziwą siłą.

– Siłą godną opanowania przez księdza? O, jakżeż ty się potwornie dajesz nabierać, ojcie Hieronimie!

– Rozdwojenie ducha u istot tak potężnych, jak twój ojciec musi być straszliwym cierpieniem – zagadał kwestię ksiądz Hieronim.

– Dosyć tych życiowych roztrząsań – przerwała mu Hela. – Ani ksiądz, ani ja nie zrozumiemy nigdy istoty afer mojego ojca. Zostawmy go w spokoju. Jako człowiek życia jest ksiądz naiwny jak małe dziecko. Ja chcę mówić o tym, w czym naprawdę objawia się twoja siła. Wiem, że jako kobieta nie istnieję dla ciebie zupełnie. To już imponuje mi bardzo...

– Nie jest to tak pewne, jak ci się wydaje, moja córko. Wchodząc tu, doznałem dziwnego wrażenia; chcesz, to ci powiem: pomyślałem sobie, że całe życie moje nie byłem tym, którym być miałem.

– Więc może miał ksiądz być uwodzicielem? Czy może mam to uważać za oświadczyzny i chęć rozpoczęcia innego życia?

– Teraz ja mówię, dosyć! Cokolwiek bądź bym pomyślał – czasem myśli się rzeczy straszne, które szepce wprost do ucha zły duch – on jest, on jest tu z nami...! Chroni nas, Najświętsza Matko! – szepnęła nagle ze strachem, a w szepcie tym był utajony krzyk. – Otóż – mówił twardo – czegokolwiek bym nie pomyślał, wiem na pewno, że nie ma rzeczy ani książki, ani osoby, ani cierpienia – byłem torturowany w Małej Azji – które zmienić by mogło moje czyny i myśli. Jestem nienaruszalny, nie do zgwałcenia; w tym jest moja siła, którą bez żadnej pychy, jak przyrząd mierniczy, obiektywnie oceniam.

– Już w tym właśnie, co mówi ojciec o braku pychy, jest pycha, ale tak można się bawić aż do nieskończoności. Mów, księżo, mów wprost do mojej samotnej jaźni, poza tym pokojem, poza tym domem, w abstrakcji od papy, kochanków i całego świnstwa mojego życia.

– Tak nie można, córko. Pozujesz i tym peszysz mnie, mówiąc popularnie. Jedyna rzecz, której się naprawdę wstydzę, to fałszywy patos u kogoś. A po drugie, to jest właśnie błąd twój: ta chęć uniezależniania poznania od zasług życiowych. Nie można oddzielać etyki od metafizyki. Życie twoje musi się zmienić, a wtedy poznasz prawdę ostateczną, staniesz się tej prawdy godną. Jeśli nie znasz jej dotąd, to przy twoich umysłowych danych jest to winą tylko twego życia, a nade wszystko pewnych uczuć, które, zamiast pokonać, hodujesz jak te obrzydliwe kwiaty w cieplarniach twego ojca.

---

<sup>108</sup> *phenomenologische Einstellung* (niem.) – nastawienie fenomenologiczne. [przypis edytorski]

– Mogę to zrobić, ale tylko jako eksperyment, bez żadnej wiary w jego skuteczność. Pewne uczucia można zabić, zabijając jednocześnie siebie.

– Rób co chcesz, bylebyś zaczęła. „Zaczynajcie, Bóg dokończy” – nie pamiętam, kto to powiedział. Ten sposób samobójstwa będzie na pewno lepszym od tego, którego używałaś dotąd. A jako cel ostateczny: zbawienie wieczne.

– Banalne postawienie kwestii jak na słynnego księdza Wyprztyka. Mam wrażenie, że twoja ustepliwość, ojcze, twoja wolnomyślność, powiem nawet, myślowa rozwiązłość, jakiś prywatny modernizm to tylko metody złapania mnie, raczej osaczenia.

Ksiądz Hieronim opanował odruch gniewu wewnątrz peryferii swego olbrzymiego ciała i twarz nie drgnęła mu nawet.

– Nie będziesz mnie analizować, dziecko – mówił łagodnie. – Nie starczy ci sił mimo całego żydowskiego przemądrzenia. A nade wszystko nie wystarczy wyrazów, nawet gdybyś coś tam czasem odgadła.

– Co za pogarda! Ach, ty, chamski goju, wyprztyku, niedorosły do kostek ideom, którym służysz! Ty, który bez twego księżostwa byłbyś pastuchem świń; ty, który dla kariery wyrzekłeś się równych sobie kobiet, jakichś parszywych, zidiociałych aryjskich pastuszek, aby być wielkim władcą w wymierającej pustyni katolickich omamień...

– Pamiętaj, że do stanu księżego zostałem zmuszony przez rodzinę i nie żałuję tego. Cześć za to mojej nieboszczce matce – złożył ręce jak do modlitwy. Umyślnie nie zwracał uwagi na jej obelgi, był to akt pokory. Hela śmiała się bezczelnie. – A teraz dosyć! Mówisz, że jesteś samotna, ja nie będę dla przekonania ciebie o słuszności moich metod odsamotnienia używał słów niegodnych twego rozumu, łagodnych powiedzeń o miłości i poświęceniu...

– Godnych za to tych związków kucharek, pomywaczek i szwaczek, w których sumieniach jesteś wielkim cudotwórcą i magiem, ojcze Wyprztyku.

– Milcz i słuchaj – zasyczał ksiądz i podniósł ciężką łapę do góry.

„Gotów mnie zbić naprawdę” – pomyślała Hela. – Ale od bicia do »tego« jest tylko jeden włos. A gdyby nie to, że go potrzebuję duchowo, teraz bym go uwiodła. Ciekawa jestem, co by zrobił, gdybym go tak oplotła rękami i nogami”.

Ksiądz nie opuszczał dłoni i nagle zwinął ją w groźny kułak. Hela skuliła się w łóżku jak obita suczka.

– Tylko pozwól mi, ojcze na jedną rzecz, każę przenieść tu telefon z tamtego saloniku. Mój narzeczony i kochanek bił się dziś na pojedynku. Ja chcę się dowiedzieć...

– Na pojedynku! Czy to jest po polsku? Nie i nie. Teraz będziesz słuchać mnie.

Powstrzymał ją od wyskoczenia z łóżka silnym uderzeniem palców po niebieskawym ramieniu. Syknęła z bólu i skryła się cała pod kołdrę. Wyprztyk mówił:

– Jesteśmy oboje dość naładowani filozofią, aby nie wiedzieć, że ostatecznie wszystkie znane systemy nie są w stanie dać rady Tajemnicy Istnienia.

Hela wynurzyła się spod kołdry z wyrazem skupionym i dalekim wszelkim ziemskim sprawom. Nic ludzkiego nie było jednak w tej twarzy mimo zupełnego oderwania się od ziemi. Wyglądała jak dziwnie mądry ptak. „Uduchowione zwierzę, nie człowiek” – pomyślał ksiądz Hieronim i mówił dalej:

– Ja nie będę cię przekonywał o nicości każdego z systemów z osobna. Ale wspomnę parę dla przykładu, a szczególnie te, w których typowo występują wielkie bloki problemów zasadniczych. Po pierwsze: psychologizm nie wystarcza sam sobie i wprowadza pojęcia obce założeniu „wyjścia z bezpośrednio danych”, „*aus dem unmittelbar Gegebenen*”.

– Proszę się streszczać – powiedziała obojętnie Hela.

– Fenomenologizm<sup>109</sup> w ostatecznym rozwinięciu nie różni się bardzo w założeniach od najnowszej wersji psychologizmu, jak to widzimy z porównania *Transcedentalnej Systematyki*

---

<sup>109</sup> fenomenologizm – dziś popr.: fenomenologia, XX-wieczny kierunek filozoficzny polegający na opisie i oglądzie tego, co jest

Corneliusa z „fenomenologiczną filozofią” Husserla. Eidetyczną<sup>110</sup> psychologią jest ta pierwsza książka i nic więcej, używając fenomenologicznej terminologii.

– Ależ ojciec, Husserl obraziłby się bardzo...

– Ja nie wchodzę w subtelności; chodzi mi o wielkie rysy. Dalej: co dała nowa logika<sup>111</sup> w obrębie filozofii? Czy Bertrand Russell powiedział istotnie coś nowego, mając do rozporządzenia cały potworny aparat, który wytworzyli obaj z Whiteheadem<sup>112</sup>, chyba jedynie w tym celu, aby umożliwić ludziom operującym znaczkami lekceważenie każdej myśli wyrażonej inaczej jako nie dość ścisłej. I słusznie powiedział Poincaré<sup>113</sup> logistom<sup>114</sup>: „Macie skrzydła, powiadacie, czemu więc nie latacie?”.

– Nudny jest ojciec jak...

– Nie mówię już o potwornych w swej bezczelności błagach Bergsona<sup>115</sup> i płytkości beznadziejnej pragmatyzmu, który za cenę użyteczności dopuszcza wszelką bzdurę do rangi prawdy. Nie mówię też o całej masie przyczynków i „niedoczynków”. Wiemy, że pogląd fizyczny jest w gruncie rzeczy statystycznym, że nie daje nam obiektywnej prawdy, nie mogąc życia wyrazić w swoich terminach – jest tylko wtłoczeniem rzeczywistości, z pewnym przybliżeniem, w schemat najdogodniejszy w danym punkcie rozwoju matematycznej fikcji. Przybliżenie to osiągnęło dziś maksimum w teorii Einsteina i wątpię, aby poszło dalej. Pogląd fizyczny jest konieczny, to inna rzecz, ale konieczny w ogóle, a nie w tej czy w innej swojej postaci. Ale stosuje się prawie – powtarzam: **prawie absolutnie!** – tylko do kompleksów rzeczywistości bardzo różnego rzędu wielkości w stosunku do nas; w astronomii i budowie materii jest na swoim miejscu; a każdy dowolny ruch jakiejś żywej istoty przeczy całej fizyce.

– A jak definiuje książd rzeczywistość? – spytała Hela z perfidną minką. – Czy może teoria wielości rzeczywistości Leona Chwistka...

– Nie wspominaj nawet tego monstrum. Rzeczywistość jest jedna; jest nią zbiór wszystkich jakości aktualnych i byłych, czyli wspomnień, w trwaniach wszystkich indywiduów<sup>116</sup> w danej różniczce czasu. Chwistek albo nazwał poglądy rzeczywistościami – ale wtedy, jeśli nie przyjmie się poglądów koniecznych, można otrzymać nieskończoność rzeczywistości – albo po prostu koncepcja jego jest zupełnie niezrozumiała i kwalifikuje się do sfery sztuki. Jako logika uznaję go, jako filozofa – nie. Otóż wielkie problemy w nauce są wyczerpane, poza biologią, która w postaci bardzo naiwnych koncepcji walić będzie o mur głową, to znaczy beznadziejnie starać się opisać bez reszty życie w obrębie mechanizmu, podczas gdy witalizm<sup>117</sup> błąkać się może w dowolnościach à la Bergson, nie przekraczając pewnej granicy ścisłości – nowych pojęć koniecznych nie stworzy: liczba ich jest ograniczona.

---

dane bezpośrednio, i odrzuceniu przy tym założeń, domysłów i teorii na temat świata. [przypis edytorski]

<sup>110</sup> *eidetyczny* (filoz.) – w terminologii filozofii fenomenologicznej o metodzie, analizie: umożliwiającą, zwykle poprzez redukcję, uchwycenie istoty zjawiska (*eidos*). [przypis edytorski]

<sup>111</sup> *nowa logika* (...) *Bertrand Russell* (...) *mając do rozporządzenia cały potworny aparat, który wytworzyli obaj z Whiteheadem* – mowa o programie tzw. logicyzmu, sprowadzenia całej matematyki do logiki i wyprowadzenia twierdzeń podstaw matematyki z układu aksjomatów i reguł wnioskowania, prowadzonym i częściowo zrealizowanym przez B. Russella i A. N. Whiteheada we wspólnym dziele *Principia Mathematica* (1910–1913), planowanym na cztery tomy, z których ukazały się trzy. Ambicją było doprowadzenie do podobnego uściślenia wszelkiej myśli spekulatywnej. [przypis edytorski]

<sup>112</sup> *Whitehead, Alfred North* (1861–1947) – angielski filozof i matematyk. [przypis edytorski]

<sup>113</sup> *Poincaré, Henri Jules* (1854–1912) – wybitny francuski matematyk, zajmujący się także fizyką teoretyczną i mechaniką nieba, filozof nauki. [przypis edytorski]

<sup>114</sup> *logistyk* (daw.) – logik, człowiek uprawiający logikę matematyczną, czyli logikę symboliczną (daw. zwaną logistyką). [przypis edytorski]

<sup>115</sup> *Bergson, Henri* (1859–1941) – francuski pisarz i filozof, intuicjonista i twórca koncepcji *élan vital* (pędu życiowego, stanowiącego źródło aktywności wszystkich organizmów). [przypis edytorski]

<sup>116</sup> *indywiduum* (łac. *individuum*: niepodzielne) – jednostka, osobnik. [przypis edytorski]

<sup>117</sup> *witalizm* – koncepcja zakładająca istnienie w organizmach żywych specyficznej niematerialnej „siły życiowej” (łac. *vis vitalis*, fr. *élan vital*), która kieruje procesami życiowymi. [przypis edytorski]

Odetchnął zadowolony z tej masy „truizmów”, które z siebie wyrzucił. Oczywiście były to truizmy dla pewnej umysłowej sfery tylko. Dla innych mogły być objawieniami, tym bardziej z ust księdza Hieronima. A zresztą była to tylko negatywna strona wykładu, trampolina, z której miał się odbić, sprężyna, którą naciągał, aby wypuścić pocisk ostateczny, mający zdruzgotać beznadziejny dotąd sceptycyzm Heli. Ale po co czynił to wszystko? Oczywiście, „podświadomie” kochał się w niej bez pamięci i tylko dlatego zwalczał nieprzewyciężone umysłowe trudności dla zbawienia jej duszy – tak powiedziałby każdy współczesny pseudointeligentny freudysta. Ale kto o tym mógł wiedzieć na pewno? „Czy ja się w niej podświadomie nie Kocham?” – spytał sam siebie w myśli ksiądz Hieronim. – Ale przecież sama taka wątpliwość jest już uświadomieniem sobie przedmiotu wątplenia, a więc nie może być tu mowy o podświadomości. Ergo<sup>118</sup>, nie Kocham się wcale”. Uśmiechnął się do tych myśli, stanowiących taki kontrast z poprzednią przemową, i mówił dalej:

– Dlatego, nie mogąc się niczego spodziewać stamtąd, skąd starano się, jeśli nie zabić, to w każdym razie zastąpić czym innym religię, musimy dojść do wniosku, że jest ona najwyższym objawem ducha ludzkiego i jedyną formą przewyciężenia Tajemnicy Bytu. Powszechność tego zjawiska, a także w istocie swej zawsze te same skutki jego: spotęgowanie twórcze jednostki na równi z udoskonaleniem społecznej organizacji i powszechnością dobra...

– Tylko do pewnego punktu historii dwie te właściwości potęgują się jednocześnie, a potem musi nastąpić ofiara pierwszej na rzecz drugiej.

– Jeśli religia zginie, co byłoby dowodem, że Bogu eksperyment z nami nie udał się, zgadzam się z tobą, jeśli nie, nieznane jeszcze możliwości kryje przyszłość.

– Ależ właśnie religia ginie na tle zaniku indywidualium w społecznieniu.

– Mówisz o ludzkości jakby o maszynie jakiejś. Jeszcze, powtarzam, **jeszcze** nie pora! Przyszłość jeszcze jest w naszych rękach i tak ją możemy ukształtować, jak zechcemy. Ale do tego konieczna jest hierarchia duchów. Tę samą zupkę żłopać mogą wszyscy, ale duchów niwelować nie wolno, bo może się wyczerpać cierpliwość Boga.

– Ale jak tego zabronić?

– Przez nową antimaterialistyczną organizację zbiorowej świadomości, a to może stać się tylko przez religię i to chrześcijańsko-katolicką. Dotąd szliśmy w kierunku społecznym...

– No, no, czy ksiądz nie przesadza?

– Nie, wiesz, dziecko, że w sumie tak było. Były pewne przystosowania do warunków – państwo kościelne na przykład – ale nieistotne. Nurt pierwotnego chrześcijaństwa dotrwał aż do naszych czasów. Ale dziś właśnie musi się ten indywidualistyczny element jego spotęgować, aby nie dać się zdystansować przez obietnice materialistycznych systemów. Zbawienie duszy jednostki zawsze było dla nas rzeczą pierwszą, a nie napchanie żołądków masy. Otóż to wszystko dowodzi, że chęć wyminięcia problemu religii jest symptomem upadku danego indywidualium, danej kultury, a nawet całej ludzkości, o ile nie cofnie się ludzkość ta z okropnej drogi w kierunku materializmu życiowego i myślowego sceptycyzmu, ku którym pcha ją walka klas i rozwiązanie jej przez socjalizm, doprowadzony do ostatnich konsekwencji, lub syndykalizm. Idee upaństwowienia wszystkiego i ludzkości bez państwa – oto wrogie siły wszelkiej twórczości ducha.

– A jakież jest inne rozwiązanie?

– Ja nie jestem utopistą społecznym, tylko księdzem – rzekł z namaszczeniem Wyprztyk. – Jeśli każdy będzie całą siłą dążył do chrześcijańskiej doskonałości, wypadkową dążeń tych może być zbiorowość, której form teraz przewidzieć nie możemy.

– O, tu jest cała naiwność księdza. A ja czasem mam ochotę przeciąć ten węzeł i trzasnąć do diabła i papę, i pałac, i pieniądze, i puścić się na wielkie wody: zostać komunistyczną agitatorką. To jest jedyna prosta konsekwencja najwyższych etycznych założeń.

---

<sup>118</sup> ergo (łac.) – więc, a zatem. [przypis edytorski]

– Na co ty nie masz ochoty, moje dziecko! Przyznaj się, że czasami masz nawet chętkę uwieść mnie – rzekł już wewnątrz pewny siebie ksiądz Hieronim. Otrzymał za to lekkie uderzenie w kolano nogą cudownej piękności i białości aż niebieskawej. Mówił dalej, nie drgnawszy nawet: – A więc jeśli nie chcesz zginąć w straszliwej pustce, w której cię zostawią i ludzie zazdrośni o twoją wyższość, i twoje własne uczucia, bo gwałtownością twoją spalisz wszystkie przewody, i myśl ta, którą się puszysz jak indor, bo nienasyconą absolutem jesteś tak samo jak i ja, musisz pójść za mną. Ale nie z łaski, z nudy i dla kaprysu, jako dumna z bogactwa i urody bankierska córka, tylko jak pokutnica oczekująca, kiedy jej z łaski rzucają jakiś ochłap wyższej świadomości. Boże! – mówił innym tonem, jakby do siebie – na myśl o tym, że z moim poczuciem rzeczy ostatecznych i z ich nieujętością w żadne pojęciowe karby mógłbym nie być katolikiem, ogarnia mnie przerażenie gorsze, niż jeślibym ujrzał przed sobą otchłań piekielną. – Złożył ręce i trwał w dziękczynnej modlitwie.

Hela zamyśliła się, obejmując nogi za kolanami. Białe jej dłonie kurczowo się skręcały i rozkręcały jak macki jakiego morskiego potwora. Była w tej chwili dla siebie uosobieniem obrzydliwości cielesnego istnienia każdej istoty i tej walki ducha z ciałem, która czasem wywyższa go ponad wstrętne zbiorowisko komórek, ociekające wydzielinami gruczołów, ciemne wewnątrz, krwawe, gorące i śmierdzące – jednym słowem: ohydne, a jednak jedyne i nieuniknione. Miała wstręt do najmniejszego ruchu, do każdego powiedzenia, do każdej myśli nawet. W najlepszym razie nirwana<sup>119</sup> indyjskiego fakira – to jedynie mogło odwrócić tę lepłą metafizyczną obrzydliwość, którą czuła się umazana aż po krańce swego istnienia. A do tego inni ludzie – ci naprawdę niepojęci, a tak bliscy czasem (brrrr) i zrozumieli innopłciowcy, ci mężczyźni, babrzący się sobą w tym właśnie.... Cóż za wstrętą rzeczą jest płęć! Pokuta stawała się koniecznością. Ale za chwilę nie czuła już nic prócz do kości przejmującego, zimnego smutku i pustki. Dalej już była tylko śmierć, do której tyle razy zwracała się z ufnością i poddaniem i która zawsze z pogardą ją odtrącała. Z ukrytą gdzieś na dnie duszy wiarą w nicość, modliła się do niej już od dziesiątego roku życia, a może i dawniej, nie wierząc w życie wieczne ducha, mimo szalonej, dzikiej, za tą wiarą tęsknoty. „Śmierć albo życie na szczytach” – mówiła sobie mała, piętnastoletnia Żydóweczka, wpatrzona w niezgłębią tajemnicę własnego swego istnienia. Już wtedy poprzez pospolite wypadki codziennego dnia patrzyła na siebie i na wszystko jako na odbłysek czegoś nieobjętego, straszego. Ale Nicość, jak lśniący, nieprzenikliwy pancerz, odbijała jej marzenia, ukazując w swojej gładkiej, lśniącej doskonałej pustce powierzchni jej własny niezrozumiały wizerunek i dalekie majaki płynącego obok życia. Wtedy to jak ponury i „tęczopióry” sęp (tak go nazywała) spadł na jej duszę właściwy mistrz jej dzieciństwa, Schopenhauer<sup>120</sup>. I długo błędziła myślą w jego wspaniałej metafizyce, jak w jakimś olbrzymim gmachu z tajemniczego snu. Ale gmach ten był pusty, mimo że był piękny i że posiadał wielkie jasne komnaty i zaciszne zakamarki, a nawet niedostępne wieże i niezbadane podziemia, nie zdołała zappełnić go swoim wewnętrznym życiem. Mimo że gdzieś tam trwał dla niej, rozpadł się w gruzy, jak tyle innych rzeczy z lat dziecinnych, począwszy od zabawek aż do „pierwszych i jedynych miłości”. Utraciwszy swoją wiarę, nie nawróciła się ani na brahmańską<sup>121</sup> metafizykę, ani na buddyjską etykę. Potem dopiero przyszedł Kant<sup>122</sup> i całe „menu” współczesnej dyskursywnej filozofii. Wszystko, co się z nią obecnie działo, niewspółmierne było z wielkością tego świata, w którym żyła myślą i w

<sup>119</sup> nirwana – w buddyzmie stan wyzwolenia się z cyklu narodzin i śmierci (reinkarnacji), dzięki któremu osiąga się wolność od cierpienia, pragnień i namiętności, osiągany poprzez całkowite usunięcie niewiedzy, będącej ich przyczyną; w kulturze europejskiej nirwana często była rozumiana jako pogrążenie się w nicości. [przypis edytorski]

<sup>120</sup> Schopenhauer, Artur (1788–1860) – niemiecki filozof, reprezentant pesymizmu, autor dzieła *Świat jako wola i wyobrażenie* (1819). [przypis edytorski]

<sup>121</sup> brahmańska metafizyka – brahmanizm to faza rozwoju rozwoju religii indyjskiej między wedyzmem a hinduizmem, w której rozwinięto ideę *brahmana*, nieopisywalnego nieskończonego bytu, będącego najwyższą powszechną zasadą i rzeczywistością wszechświata, wszechobecną przyczyną wszystkiego. [przypis edytorski]

<sup>122</sup> Kant, Immanuel (1724–1804) – niem. filozof oświeceniowy, twórca rewolucyjnej doktryny filozofii krytycznej, czołowa postać nowożytnej filozofii. [przypis edytorski]

którego odległej, nieznannej, zamkniętej przestrzeni królowała śmierć. Wspomnienia te wywołały nową wątpliwość.

– Czemu ta właśnie religia, a nie tamta? – zaczęła nagle. Wyprztyk drgnął i wrócił do rzeczywistości. – Wiem: jest hierarchia, od totemizmu<sup>123</sup> do Buddy<sup>124</sup>, ale czy właśnie nie powinnam zostać buddystką, jeśli religia ta, jak to sam mi ojciec kiedyś przyznał, jest najbardziej podobną do jedynej, czysto negatywnej prawdy, do której w granicy zmierza cała filozofia?

– Właśnie dlatego należy ją odrzucić. Jest to tylko coś niedoskonałego. Religia nie jest niedoskonałą filozofią, jest czymś samym w sobie, nieporównywalnym z czymkolwiek bądź, czymś najwyższym.

– A jednak jest to tylko pierwotny surowy materiał, którego opracowaniem pojęciowym jest filozofia dyskursywna.

– Surowy materiał! – wykrzyknął z ironią Wyprztyk. – Jeśli za surowy materiał uznamy wszystko, co nie jest tylko nędzną kombinacją pojęć, to nie obrażam się za ten epitet w stosunku do religii, ale wtedy przechodzą do tej kategorii wszystkie uczucia w ogóle, czyli całe życie bezpośrednio. Nie, moja córko, to, o czym się tak pogardliwie wyrażasz, jest istotą indywidualnych bytów: uczucia religijne, wszędzie te same, z których, zależnie od siły objawień, zdobytych zasługą, wyrasta jak kwiat z cebulki system danego kultu. Pojęcia jako takie i ich systemy są nadbudową tylko...

– A więc uczucia religijne muszą mieć już i zwierzęta?

– Tak, mówię ci to w dyskrekcji: mają je wszystkie żywe stworzenia w różnym stopniu, ale tylko my, katolicy ujmujemy je i interpretujemy w sposób właściwy. Religia nie jest pojęciowym ich ujęciem, lecz symboliczno-uczuciową transpozycją na tle prawd bezpośrednio danych w objawieniach. Mój system w obrębie kościoła mego się znajdujący nie jest jakimś modernizmem, prowadzącym przez serię nieznaczących kompromisów aż do zupełnej niewiary i pseudonaukowego materializmu. Ja rozszerzam wiarę, a nie niszczę jej jak ci, którzy, przystosowując ją niby do wyników wiedzy, zatracają jej istotę. Nasza wiara nie była taką, jaką jest teraz, od razu, tworzyła się! Mówię ci moje najtajniejsze myśli: wierzę głęboko w twórcze właściwości katolicyzmu. Wspaniały rozkwit nas czeka, o ile ci, którzy czasem przypadkowo z bożego dopustu są nosicielami esencji naszej wiary, nie zmarnują tej najpotężniejszej w świecie konstrukcji uczuć. Nie mówię o etyce, bo wiem, że na ten temat oporna jesteś jak jeżozwierz. Jako znawca dusz wiem, że twoja etyka nie jest autonomiczna<sup>125</sup>, ale wypływa z twoich pojęć najwyższych, absolutnych, pierwotnych. Tylko my możemy wstrzymać ludzkość od mechanizacji i marazmu<sup>126</sup>.

– Wytworzywszy dla tej mechanizacji podstawę – wtrąciła Hela. – Dwadzieścia wieków już nad tym pracujecie.

– Teraz przyjdzie odwrotna fala. Tego właśnie nie widzi nikt prócz nas, katolików. Wypiętrzy się państwo niwelującego Antychrysta do najwyższej potęgi, aby tym głębiej się zapaść. Zakwitną wtedy na nowo dusze jak świeże kwiaty, w całej metafizycznej piękności, bez egoizmu i okrucieństwa; sprzeczności: dobroci i potęgi, społecznej doskonałości i indywidualnego rozkwitu, poświęcenia i wybuchnięcia jaźni – zostaną usunięte...

– A co będzie z tymi, co już byli? Czemu nie zakwitło wszystko od razu, od samego początku?

– Zasługa. Sami mamy tego dokonać. Cóż byłoby to wartym, gdyby trwało tak od wieków? Nie byłoby wtedy twórczości i tragizmu. Niezbadane są wyroki Przedwiecznego. Bóg we wszechmocy swej zostawił ludziom wolność dla zdobycia zasługi. Ale każdemu udzielił tyle łaski, ile potrzeba było, aby był zbawionym. I to ci powiem, również w dyskrekcji, bo ty jesteś ponad ideę wiecznej kary

---

<sup>123</sup> *totemizm* – zespół wierzeń i rytuałów oparty na mistycznym związku jednostką a. grupą z mitycznym przodkiem zwierzęcym lub roślinnym, czasem zjawiskiem przyrodniczym. [przypis edytorski]

<sup>124</sup> *Budda* (sanskryt.: oświecony), właśc. *Siddhattha Gotama* (ok. 563–483 p.n.e.) – książę z rodu Śakjów, mędrzec, założyciel buddyzmu. [przypis edytorski]

<sup>125</sup> *autonomiczny* – niezależny od czynników zewnętrznych, swobodny w działaniu. [przypis edytorski]

<sup>126</sup> *marazm* (z gr.) – zastój, bierność. [przypis edytorski]

wyższa i chcesz doskonałości samej w sobie, a nie dla nagrody, to ci powiem, że **Piećło musi być zlikwidowane**. Ja przeniknąłem wszystko: będzie tylko Czyściec, i to czasowo oczywiście, a potem Niebo dla wszystkich. Ale tego, czym będzie, żaden umysł ograniczony wyobrazić sobie nie może. Zdjęcie przekleństwa duchowego ograniczenia będzie nagrodą podstawową za sam fakt istnienia normalnego tutaj. Będziemy oglądali świat i jego tajemnicę w doskonałości nieskończonej Boga jak w lustrze. I to ci powiem jeszcze, że społecznie rzecz biorąc, chrześcijaństwo w pierwszych wiekach było czymś zupełnie różnym od Kościoła z czasów renesansu, a obie te fazy różne były od stanu dzisiejszego. Chociaż między dwiema ostatnimi są właściwie tylko różnice stopnia. Ale jest coś, co je wiąże w jedno, mimo różnic – to zasadnicze podstawy etyki i dogmatyki.

– Ale w każdej epoce inny gatunek ludzi jest na twórczych stanowiskach w kościołach, państwach i we wszystkich innych sferach – może tylko w nauce nie – kompletnie inna warstwa, rozumie ojciec? W ten sposób nieznacznie<sup>127</sup> zmienia się wszystko do niepoznania. Ale tylko pewni ludzie widzą to: ci mianowicie, którzy nie mają zawróconych głów ideami takimi jak postęp, ludzkość, rozwój w kierunku ideału ogólnego dobra, w ogóle całą tę pseudodemokratyczną baliwernią<sup>128</sup>...

– Czy skończysz? Wcale nie jesteś głupia, córko, o tym wiem. Ale nie o to teraz chodzi. Powiedz mi, czy poza buddyzmem, który jest w etycznych koncepcjach zaledwie z naszą wiarą porównywalny, istnieje religia wyższa ponad chrześcijaństwo i to w formie katolicyzmu?

Hela milczała, starając się na próżno wywyższyć w swej wyobraźni protestantyzm i prawosławie, ale nie znała dostatecznie tych religii i usiłowania jej pozostały bez skutku. Ją też raziła symboliczność przemiany w protestantyzmie, a prawosławie odpychało brakiem konstrukcyjnego elementu we mszy i jeszcze czymś nieuchwytnym, z czego nie mogła zdać sobie sprawy. Jej własna religia stała jakby na boku, nie biorąc udziału w tym konkursie.

– Tajemnica jest istotą metafizyki – mówił dalej ksiądz Wyrztyk. – Jedyne u nas tajemnica została uszanowana i wywyższona, i to nie w symbolach, ale w rzeczywistości bezpośrednio danej.

– Nadużywa ojciec tego pojęcia. Bezpośrednia owa rzeczywistość to bezpośrednio przeżywanie, takie same w istocie swej u jednokomórkowca, jak i u człowieka....

– Nie, są różne stopnie: jest cała hierarchia jakościowo różnych bezpośrednio danych, jakości zewnętrzne i wewnętrzne: ból, czucia organów, kombinacje ich jako tak zwane uczucia życiowe – wykluczam tu oczywiście uczucia religijne, najwyższe – i to najważniejsze: bezpośrednio dana jedność osobowości jako jakość formalna, *Gestaltqualität*<sup>129</sup> wszystkiego dla danego „ja” i to rozdwojenie na mnie, na „ja” i świat. Tam to właśnie mają swe źródła religia i sztuka. W tej to istności, jedynej w swoim rodzaju, jest nam bezpośrednio dana, a nie w definicji, idea osobowego Boga, którego rzeczywistym odbiciem jesteśmy.

– Ach, tylko nie wspominajmy sztuki. Zanadto nią pogardzam. A poza tym ostrzegam księdza, że dla Corneliusa – mówię to, bo psychologią jest ojciec w dużym stopniu – jedność osobowości nie jest bezpośrednio dana.

– Cornelius nie jest dla mnie nieomylną wyrocznią. Wielość świata nie jest jednak wielością bożego trwania. Jedność absolutna jest z Nicością równoznaczna, więc Bóg musi być wielością w swej osobie, i tak jest Trójcą, konieczną w swej troistości, bo stanowi miłość, rozum i wiarę, najwyższą wiarę w samego siebie – trzy istności osobowe, urzeczywistnione pierwotnie poza czasem.

– A wie ksiądz, co czasem myślę? Oto, że jeśli Bóg jest naprawdę, to jest czymś tak z naszą myślą niewspółmiernym, że musi się bardzo śmiać, słysząc, jakie my koziołki myślowe wyprawiamy, aby sobie z nim dać radę...

<sup>127</sup> *nieznacznie* – niezauważalnie, niepostrzeżenie. [przypis edytorski]

<sup>128</sup> *baliwernia*, częściej: *baliwerna* (rzad., z fr. *baliverne*) – banialuka, dyrdymała, niedorzeczność. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> *Gestaltqualität* (niem., filoz.) – jakość postaciowa; termin utworzony przez Christiana von Ehrenfelsa (1859–1932), oznaczający jakość, która nie jest prostą sumą cech elementów składowych, lecz wynika z charakteru relacji pomiędzy tymi elementami. [przypis edytorski]

Ksiądz Wyprztyk zakrył ręką usta Heli i zasyczał:

– Milcz, milcz, milcz! – Po czym mówił, jakby nie wracając do poprzedniego tematu: – Pojęcie Boga jako granicznego, o nieskończonych atrybutach, Istnienia Poszczególnego jest najwyższym. U nas tylko etyka stanowi całość z metafizyką i wypływa z tajemnicy Trójcy i wspólności wszystkich w osobowym Bogu – z najwyższej z tajemnic realnych, w przeciwstawieniu do sztucznych: czwartego wymiaru w znaczeniu istnieniowym, duchów na seansach i teozofii<sup>130</sup> – krzyczał niewładający już natchnieniem ojciec Hieronim.

Dopiero teraz puścił te usta, które zaczęły mu drgać lubieżnie pod ręką. Hela wyjęła purpurowe naczynie z szafki i splunęła z obrzydzeniem. Nie widział tego Wyprztyk. Ukryta gdzieś aż w „gruczołach”, a nie w marnej podświadomości, wysoce perwersyjna w możliwościach swych miłość do Heli, sublimowana w innym wymiarze, stwarzała krwawy opar metafizycznej żarliwości. O milimetr za cienkim przepierzeniem stał ordynarny, chamski rogaty diabeł z widłami i kubłem smoły, i czekał. Ale ksiądz Hieronim umiał być panem nawet tak zamaskowanej namiętności. Jako człowiek pierwotny, chłop, o mało rozwydrzonych i dziedzicznie, i osobiście instynktach, właściwie z łatwością przewycięzał cały balast zmysłów przy pomocy małego balonika idealizmu dodatkowo na ten cel wytworzonego. Poza tym był prostolinijny, spekulatywnie inteligentny i nawet po ludzku, przeciętnie, zwyczajnie dobry, jak tysiące innych, biednych ludzi – całą „nadzwyczajność” stanowiło jego księżę dostojęństwo. Sam Wyprztyk, jak większość współczesnych mu wykształconych ludzi, o tym, kim jest naprawdę, nie miał bladego nawet pojęcia. W tej chwili niesmak miał do siebie okropny. Nie dość, że pozwolił rozmowie wpaść w niesmaczny ton, którego stwarzanie było przywilejem Heli Bertz – jedynie piękność jej i bogactwo gwarantowały psychiczną bezkarność takich objawów – nie dość, że popełnił niedyskrecję, może nieproporcjonalne do nieosiągniętego jeszcze celu, ale zmienił nawet dla tego celu niektóre swoje własne ujęcia kwestii zasadniczych. W dodatku był prawie że zdemaskowany. Spróbował raz jeszcze wywindować wszystko na odpowiednią wyżynę.

– Patrz, nędzna stworo, na wielkość koncepcji, którą ci ukazałem. Patrz zimnym spojrzeniem twego bezpłodnego, semickiego mózdzku. Zagłębiwszy się w ten labirynt najtęszą myślą, znajdziesz zawsze ścianę nie do przebiccia, przed którą będziesz musiała się ukorzyć, nie czując poza nią pustki; znajdziesz przepaść, która okaże się naprawdę bez dna, z gwiazdami w górze i na dole, a nie sztuczne mamidło, dobrze wypoduszkowaną pozorną otchłań filozofii naszej, raczej filozosi, w którą można skoczyć, nie czyniąc sobie nic złego.

– Dla niektórych ta wypoduszkowana otchłań to cela szpitala wariatów.

– Ale nie dla ciebie. Ja ciebie znam. Zanim mogłabyś zwariować, zabijesz się. A ja ciebie śmierci nie oddam.

Nasłała cisza. Przez zapuszczoną firankę sączył się purpurowy poblask. Gdzieś wylazło słońce spoza chmur.

„Ciekawa jestem, co tam z nimi słyhać” – pomyślała Hela o swoich kochankach, ale myśl ta wobec zachodzących metafizycznych transformacji daleka była od wycinku terażniejszości jak bezgrzmotna błyskawica letnia gdzieś za horyzontem aktualnej pogody wieczoru. A jednak pozazdrościła im obu niebezpieczeństwa. Nie zdawała sobie sprawy, że to ona jest przyczyną całej tej głupiej historii. I nagle wszystko – i rozmowa poprzednia – stało się małe, malutkie jak robactwo, obrzydliwe. „Nie ma nic wielkiego i pięknego prócz śmierci”. Jakby jakieś olbrzymie, czarne skrzydła objęły ziemię i dalej cały wszechświat, aż do najdalszych słońc Mlecznej Drogi i mgławic, i w uścisku ich wszystko skarłało, skurczyło się, zwiędło, i dusza Heli, wypełniając pustkę Absolutnej

---

<sup>130</sup> *teozofia* (z gr. *theos*: bóg i *sophia*: mądrość) – światopogląd łączący w sobie różne idee wywodzące się z neoplatonizmu i buddyzmu: wiarę w bezosobowy, wieczny Absolut, kosmos będący jego emanacją, we wszechobecną świadomość (panteizm), w karmę (odpowiedzialność każdej istoty za własne czyny, których skutki oddziałują na następne wcielenie), reinkarnację (drogę wcieleń duszy od stadiów roślinnych, poprzez zwierzęce do ludzkiego), ewolucję wszechświata, w tym również ludzi, w kierunku doskonałości i zjednoczenia z absolutem. Takie poglądy religijno-filozoficzne propagowało założone w 1875 r. w Nowym Yorku przez Helenę Bławatską Towarzystwo Teozoficzne. [przypis edytorski]

Nicości, rozděła się do rozmiarów wszystkości. Zanikła wszelka „Wszelkość” i „Tość” – tamto i to, cała przypadkowość życia, bycia Żydówką właśnie, brania chrztu, małżeństwa z Azalinem Prepudrech: wszystko złało się, stopiło w jedną nieskończenie małą pigułkę, którą połknęła zamarzła międzygwiazdowa otchłań. Hela czuła ją w sobie. A jednocześnie ogarnęło ją dzikie zadowolenie z tego, że może na ten cały „interes” – tak pomyślała niesmacznie – patrzeć z boku, na zimno. Ambicje ukryte i te jawne, sycone odpadkami takimi jak piękność, bogactwo, stanowisko ojca, spaliły się jak lekka bibułka w ognisku jednej żądzy nie-bycia. Wyrastała zza nich ambicja innego rzędu: bycia wszystkim i niczym od razu; bo dla samej wszystkości świat był za mały i za małą była dusza jej i całego żywego wszechstworzenia (Azalina i nawet Atanazego) – nasycić tę ambicję mogła jedynie śmierć. Wszystko było nie tym, nie tym. Obnażona dusza Heli Bertz stała samotna w „huraganie śmierci”, jak nazywała ten stan jeszcze w dzieciństwie. Horyzont świata – za nim łuna niebytu i na jej tle, ruchome jak semafony, drogowskazy i rogatki świata z czarnym szlabanem, którym dyrygował jakiś również czarny „ktoś”, mieszkający w tajemniczej, „ostatniej” budce obok. „On” nie wychodził – nie wiadomo, czym można go było opłacić – może sobą. Trzeba by mu się oddać. Wtedy by puścił, a może nie – i wtedy może dopiero zaczęłoby się życie. Widziała siebie jako małą, płaczącą dziewczynkę z akwaforty Goi<sup>131</sup> *Madre infeliz*. Ale nie było koło niej nikogo, ani matki, ani nawet żołnierzy z bagnietami – przeczuwała, że kiedyś będą ją gdzieś prowadzić jakieś ubagneckione draby: rewolucjoniści czy obrońcy „dawnego” względnie porządku – nie wiedziała jeszcze. Stała na biegunie nieznanego globusa, a właściwie olbrzymiego globusa, a wokoło dał międzyplanetarny wicher Nicości i za chwilę, już, już miał ją zdmuchnąć w bezdenną przestrzeń, nie w tę, w której pławiał się świat, stanowiąc z nią jedność, ale czystą kategorię, amorficzną<sup>132</sup> przestrzeń możliwości wszystkich geometrii, razem ze zdegenerowaną do zupełnie dzikiego prymitywu przestrzenią Euklidesa<sup>133</sup> w koncepcji Stefana Głasa<sup>134</sup>. Na dnie jakby tej przestrzeni, jak w niepojętym śnie, siedział Immanuel Kant, jedyne coś, co się ostało we wszechświatowej burzy. Taka chwila trwała teraz, między dziewiątą a dziesiątą z rana. Zwykle popełniała Hela w takich razach zamachy samobójcze: dwa razy truła się, a raz strzelała – niestety nadaremnie. Nędzny, niegodny jej przypadek ratował ją zawsze. Czy naprawdę niestety? Nie – i to, i tamto trwało, złączone razem, było koniecznością, było życiem, tym pełnym życiem, które tak kochała, właśnie w jego przypadkowości, w swoim żydostwie, bogactwie, perwersji, w tej całej *contingence*<sup>135</sup>, jak mówił wielki, poczciwy, naiwny Leibniz<sup>136</sup>: dowolności metafizycznej każdego momentu trwania każdej osobowości. Tylko istnienie w całości wolne było od tej kontyngencji<sup>137</sup>: musiało być, a w jego nieskończoności przestrzenno-czasowej pomieścić się mogły wszystkie dowolności i przypadki. W śmierci, właściwie w chwili postanowienia dobrowolnej śmierci bez celu, następowało jakby przełamanie tego prawa, i całość Bytu stawała się w krótkim mgnieniu złudzenia własnością jednego ograniczonego osobowego istnienia. „A gdyby tak teraz, zaraz. Tu, w jego oczach. W ostatniej chwili jego rozgrzeszenie i potem zupełna Nicość. A

<sup>131</sup> Goya, właśc. *Francisco José Goya y Lucientes* (1746–1828) – malarz nadworny królów Hiszpanii: Karola III Burbona, Karola IV Burbona i Ferdynanda VII Burbona; nasycał styl klasycyzmu barokową ekspresją. Jego *Madre infeliz* (Nieszczęsna matka), 50. rycina z cyklu *Okropności wojny* (1810–1815), przedstawia trójkę mężczyzn niosących ciało kobiety i podążającą za nimi płaczącą dziewczynkę. [przypis edytorski]

<sup>132</sup> *amorficzny* – bezkształtny, niemający określonych kształtów. [przypis edytorski]

<sup>133</sup> *przestrzeń możliwości wszystkich geometrii, razem ze zdegenerowaną (...) przestrzenią Euklidesa* – A. Cayley i F. Klein odkryli w XIX wieku, że geometrie euklidesowe i nieeuklidesowe można uznać za struktury matematyczne w przestrzeni metrycznej, i podzielili je na eliptyczne i hiperboliczne, w zależności od sposobu zakrzywienia przestrzeni, na której dana geometria została określona. Geometria euklidesowa jest szczególnym przypadkiem występującym dla „płaskiej” przestrzeni. [przypis edytorski]

<sup>134</sup> *Glass, Stefan* (1895–1932) – polski matematyk i poeta; przyjaciel S. I. Witkiewicza, autor publikacji nt. nieeuklidesowych geometrii Cayleya-Kleina i specyficznej geometrii płaskiej (*Sur les géométries de Cayley et sur une géométrie plane particulière*, 1926). [przypis edytorski]

<sup>135</sup> *contingence* (fr.) – przypadkowość. [przypis edytorski]

<sup>136</sup> *Leibniz, Gottfried Wilhelm* (1646–1716) – niem. matematyk, fizyk i filozof; autor metafizycznej teorii monad: podstawowych, nieoddziałujących na siebie składników świata. [przypis edytorski]

<sup>137</sup> *kontyngencja* – przypadkowość. [przypis edytorski]

przedtem wizja świata niepojętego, wyolbrzymionego w »innej« piękności, dokładnie przeczuwanej, a nieznaniej...” Straszliwa w swej mocy pokusa razem z okrutnym chwytem metafizycznej ambicji zmięła, skręciła i wyzęła aż do bólu, jak maszyna-wyżymaczka nędzną ściereczkę, jej dumne ciało razem z kawałkiem duszy, wspomnień, uczuć, przeżyć i tym podobnych fatalaszek: wielkie śmietnisko, które może za chwilę spłonie całe zaświatowym, oczyszczającym ogniem i przeżyje siebie za wszystkie czasy – ta wielka nędza ograniczoności – w nieskończenie krótkim momencie wiecznej chwały dobrowolnego zniszczenia. „Miłość i drugie niezgłębione słowo: śmierć” – przesunęło się w jej pamięci, w postaci wizji drukowanych słów, zdanie z *Mroku gwiazd* Micińskiego<sup>138</sup>. Jakże marnym wydało się jej pierwsze z tych dwóch „niezgłębionych słów”. Pozornie wolnym, czającym się nieznacznie ruchem otworzyła szufladkę i wydobyla oprawny w czerwoną emalię mały browning<sup>139</sup>. „Co za głupi snobizm z tą czerwonością wszędzie” – pomyślał Wyprztyk i dopiero wtedy, jednym rzutem, nie myśląc już nic, wydarł jej to małe, czerwone, lśniące paskudztwo tuż przy samej skroni.

– A bydlę głupie! Na kolana, prochu nędzny! Ukórz się przede mną, bo ja naprawdę zastępuję tutaj Boga w Trójcy Świętej Jedyne! – zakrzyknął głosem prawdziwie natchnionym ksiądz Hieronim.

Schował browning do tylnej kieszeni od spodni, zakasując przy tym sutannę w zabawny sposób. I mimo że był w tej chwili trochę śmieszny, Hela wyskoczyła z łóżka i padła przed nim na kolana, wyciągając przed siebie ręce w niemym błaganu. Znowu, na wiele lat może, złamała obca siła jej najistotniejszą pokusę. A może naprawdę czekało ją inne życie, którym by się nasycić mogła? Tylko nawrócić się jak najprędzej, odbyć pokutę, być już „tam”, a nie czekać wiecznie. Prosto z „huraganu śmierci” spadła w jakiś spokojny, zaciszny kącik. Nie wiadomo czemu, właśnie w tej chwili przypomniało się jej lewentyńskie<sup>140</sup> wybrzeże: zachód słońca po deszczu i pociąg wpadający w czarne czeluście tuneli i wypadający z nich na cudownie piękny, miniaturowy świat, mieniący się przepychem wypłowiej czerwieni, ciemnej, lśniacej, jakby lakierowanej zieloności i fioleto w cienistych gąszczach. I zapach jakby przypalanej migdałowej leguminy, zapach gałązek figowych, zaplątanych do wieczornych ognisk. Ze straszną żądzą życia, z wstrętą, mdłą słodyczą w sercu, z żalem za wszystkie popełnione „zbrodnie” wobec siebie i innych (dlatego, że małe, właśnie dlatego było tak wstrętne dobrze – co za szczęście że nie było gorszych), z ochotą na pokutę w miarę srogą i z dzikim apetytem na samą siebie w tej pokucie i przebaczeniu (tylko jakieś ciastka w dzieciństwie mogły tak smakować), pochylała się Hela przed wzburzonym Wyprztykiem, oszukana przez siebie, nieświadoma swej własnej nędzy. Wszystko to w ogóle było z jej strony jednym wielkim histerycznym kłamstwem: nudziła się i nie miała odpowiedniego kochanka.

– Łaski, ojczu. Ja chcę się wypowiadać, zaraz, tutaj. Inaczej wszystko przejdzie. Zaklinam na wszystko. Dziękuję za nowe życie, które mi ojciec dał, i proszę o przebaczenie.

Ksiądz Hieronim usiadł na dawnym miejscu tak, jakby siadała kamienna figura. Zacieżył posągowo na purpurze fotelu. Zwyciężył. Wprawdzie małe było to zwycięstwo, „ale z małych kawałków i tak dalej...” trzeba tylko wielkiej idei. Czy miał ją? Zapomniał nagle o Heli. „Tak – trzeba rozszerzyć zakres działania, raz czegoś wielkiego dokonać. Tu nie wystarczą nowe teologiczne teorie i opanowywanie jakichś odpadków, choćby najlepszych, tak zwanej inteligencji – na razie zgniłej (sam to przyznawał z przyjemnością jako chłop z krwi i kości), ale mającej przyszłość przed sobą. A gdyby tak papież wyszedł z Watykanu w świat, bosy, w jakiejś jednej szmacie i stał się nagle takim, jak dawni chrześcijanie? Czy nie jest już za późno nawet na to? Walka kardynałów, jedni za, drudzy przeciw – tych więcej. Rewolucja w Rzymie, walki uliczne i potem komunizm i...” Przeraził się

<sup>138</sup> Miciński, Tadeusz (1873–1918) – poeta, dramaturg, prozaik okresu modernizmu, prekursor polskiego ekspresjonizmu i surrealizmu; autor m.in. tomiku poezji *W mroku gwiazd* (1902) oraz mistycznej powieści *Nietota* (1910). [przypis edytorski]

<sup>139</sup> *browning* (daw. pot.) – pistolet; od nazwy jednego z wczesnych modeli tego rodzaju broni, skonstruowanego przez Johna Browninga (1855–1926). [przypis edytorski]

<sup>140</sup> *Lewant* – ogólne określenie krain na wsch. wybrzeżu Morza Śródziemnego, gł. Syrii i Palestyny, czasem obejmujące także Azję Mniejszą i Egipt. [przypis edytorski]

tych myśli, uczył zawrót głowy. „Ha, gdybym był papieżem...” – pomyślał jeszcze. Pochylił się nad własną małością jak nad kałużą i w pokorze nie doznał pociechy. Za późno! Zbudził go szept:

– Więc, proszę ojca... – i tak rozpoczęła się ta jedyna w swoim rodzaju spowiedź: fałszywie zmałałej penitentki<sup>141</sup> przed naprawdę zmałałym spowiednikiem.

Wysłuchiwał jej ksiądz Hieronim, milcząc po prostu jak ryba. Twarz od strony Heli zasłonił chusteczką, a oczy utkwiał w portrecie nieznanego kardynała. „Gdybym był choć takim...” – myślał chwilami. A kiedy puknął trzy razy w poręcz czerwonego fotelu i już miał powiedzieć zwykłe słowa: „*absolvo te...*”<sup>142</sup> (i wstrzymał się w porę), ujrzał przed sobą dziwne zjawisko: oto stała przed nim już nie dawna ordynarna, rozhisteryzowana, nad miarę ładna i mądra Żydóweczka, tylko przelśniona zaświatowym zachwytem dzika góralka Małej Azji, prawdziwa Hetytka, podziwiająca jakieś bóstwo swojej religii. Hela modliła się po raz pierwszy do katolickiego Boga, dziękując Mu za uratowanie życia, żałując za grzechy i przyrzekając poprawę.

– Zawołaj ojca! – przerwał jej brutalnie ksiądz Hieronim.

Hela ocknęła się, ale była jakby półprzytomna. Zadzwoiła, wydała rozkazy rozradowanej mimo wszystko nawróceniem Józki Pigoń i położyła się na powrót do łóżka. Trwało milczenie, przerywane tylko szelestem skracającego i rozkręcającego się brazylijskiego czerwonego węża w klatce z różowego kryształu stojącej pod oknem. Ksiądz Hieronim modlił się cicho, nieruchomy, podobny jakiejś odwiecznej mumii. Hela była jak martwa, pogrążona w niemym zachwycie, graniczącym z zupełnym ogłupieniem. „Katoliczką dobrą to ty będziesz, ale chrześcijanką nie” – pomyślał leniwie Wyprztyk. Głodny wąż zaczął pukać miarowo głową w szybę, domagając się pożywienia. Nagle rozległ się potęgujący się odgłos odmykanych jednych po drogich kilku drzwi i semicki Książę Ciemności czy też król asyryjski, w złocistej z fioletem piżamie, stanął na progu sypialni, łyskając niespokojnie oczami podobnymi do gałek z agatu<sup>143</sup>.

– Czy już po wszystkim? – spytał gwałtownie. – Za pół godziny mam konferencję z przedstawicielami amerykańskiego trustu<sup>144</sup> armatniego. Ani chwili czasu nie mam do stracenia.

– Ojczy – błagalnym tonem zwróciła się Hela do Wyprztyka. – Ochrcij nas teraz oboje, tak po prostu, z wody, bez żadnych ceremonii. Ja chcę już być poza tym, chcę być inna. Ja wierzę teraz w sakrament i potrzebuję go.

– Tak, księżo Hieronimie – potwierdził Belzebub. – Ja się też boję tych ceremonii.

– To was i tak nie minie. Ale ta myśl jest dobra. Ja cię rozumiem – rzekł do Heli – i dlatego wyrzeknę się pewnych formalności, ale pod najściślejszą dyskrecją. – Podszedł do umywalni, nalał wody na purpurową misę i spytał: – Helena i Adam? Tak?

Hela stała już w koszuli i rozchełstany ceglastoczerwonym szlafroku obok upiżamionego papy. Wyglądali wspaniale w czerwonym mroku sypialni.

– Tak – odpowiedzieli oboje.

Wyprztyk zapatrzył się na nich tak, jak gdyby ujrzał ich po raz pierwszy. Miał przez chwilę wrażenie, że w głębi litewskich lasów chrzci jakiegoś półdzikiego bojara i zaklętą leśną księżniczkę.

– No, ojczy – szepnęła Hela niecierpliwie.

– A więc, Heleno i ciebie Adamie, chrzczę was w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego – rzekł uroczyście ksiądz Hieronim i skropił ich oboje wodą.

Bertz wzdrygnął się jak prawdziwy Belzebub.

– Jestem szczęśliwy, księżo. Dziękuję. Hela, kocham cię. Muszę pędzić do moich armat – i wybiegł młodzieńczym prawie krokiem mimo swych pięćdziesięciu sześciu lat.

<sup>141</sup> *penitent* – osoba spowiadająca się. [przypis edytorski]

<sup>142</sup> *absolvo te* (łac.) – rozgrzeszam cię; faktycznie część formuły spowiedniczej brzmi: *ego te absolvo a peccatis tuis* (ja ci odpuszczam grzechy twoje). [przypis edytorski]

<sup>143</sup> *agat* – minerał półszlachetny o różnobarwnych pasmach, używany gł. w jubilerstwie. [przypis edytorski]

<sup>144</sup> *trust* (ekon.) – monopolistyczne przedsiębiorstwo powstałe w wyniku połączenia firm z jednej branży. [przypis edytorski]

– A ty, córeczko, możesz sobie teraz telefonować. Na razie dosyć mam spraw ziemskich – rzekł Wyrzytek.

Ucałował Hełę w czoło i wyszedł szybko, jakby przed czymś uciekając. Coś w nim przerwało się nagle, sam nie wiedział co, ale opanował go wielki smutek beznadziejności absolutnego nienasyceńcia niczym. Zrobił parę kompromisów pojęciowych – ale nie o to chodziło. Cóż to znaczyć mogło wobec złapania w sieć tak niebezpiecznego i trudnego okazu jak Hela Bertz.

Zamyślona, skupiona w sobie i obojętna na życie podeszła do telefonu. Wobec wewnętrznej przemiany ważne poprzednio fakty skurczyły się do niedostrzegalnych małości. Ale jaka była w istocie ta przemiana, nie wiedziała ani Hela, ani ojciec Hieronim. Naciąganie sprężyn: oto ostatnie słowo tej nieciekawej na razie tajemnicy.

Tymczasem zachodziły sobie w najlepsze następujące wypadki. Bazakbal i Prepudrech ocknęli się o tej samej porze, to znaczy mieli dokładnie nastawione zegarki i budząc się, powiedzieli do siebie samych identycznie to samo zdanie: „O, do diabła, już pięć po piątej”. Dalej odbywało się wszystko z właściwą tym sprawom złowroga nudą i poczuciem nonsensu istnienia w ogóle, oczywiście u najbardziej zaangażowanych współuczestników. Bazakbalowi przypomniało się zdanie Williama Jamesa<sup>145</sup>, zniechęconego przezeń twórcy pragmatyzmu, czytane w jakimś francuskim tłumaczeniu: „*figurons nous un monde composé uniquement des maux des dents*”<sup>146</sup> – czy nie gorszy jeszcze byłby świat złożony wyłącznie ze spraw honorowych? Kwadrans na szóstą<sup>147</sup> zjawili się oficerowie w pysznych humorach i oświadczyli, że dziś i zaraz. Wiadomość ta podziałała na Atanazego jak kielich dobrej wódki. Ale działanie to trwało niestety bardzo krótko. Nie zostało mu już nic z wczorajszej nonszalancji, mimo że wiara w udanie się pojedynku nie opuszczała go ani na chwilę. Jednak – to nie ma gadania – moment przebudzenia był ciężki, a rozmowa z mało znanymi oficerami, wobec których musiał nadrabiać miną, aby nie okazać im owej złowrogi, męczącej go nudy, była torturą nieznośną. Bezsens historii tej był tak wielki, że dręcząca go miłość, zdrada i inne dalsze „plany” życiowe wydały się zaczarowanymi wiszącymi (koniecznie wiszącymi) ogrodami, jakimiś wymarzonymi, fantastycznymi, światami, wobec samego faktu jazdy dorożką za miasto o godzinie szóstej rano. Spotkanie wyznaczono w Dolnym Przeręblówku na siódmą.

„Ach, prawda, warunki – pomyślał, jadąc ze swymi świadkami, Atanazy. – To jednak dość szykownie wyszło, że dotąd ich nie zapytałem, co prawda z powodu zupełnego ogłupienia”. Właśnie jakby na zawołanie starszy z oficerów, rotmistrz Purcel (podobno de Pourcelles, z emigrantów francuskich), rozpoczął skądinąd nudny, ale dla klienta aż nazbyt interesujący wykład: „piętnaście kroków, dwie wymiany kul, książkę ma pierwszy strzał...”, słyszał Atanazy jakby w drugim kompartymencie swojej duszy, w jakiejś poczekalni psychicznej, gdzie była masa ludzi i nic do czytania, i perspektywa czekania bez końca. Całe jego wnętrze było taką nudną „czekalnią” trzeciej klasy, a gdzieś daleko, na innym piętrze, unosiła się barwna i migotliwa, bezpowrotna przeszłość, do której tęsknił aż do bólu jak za dawnych czasów, i przyszłość jako nieomal przestrzenna pigułka, o niesamowicie ponętym smaku, tuż, tuż przed bezsilnymi „narządami pyszczkowymi”. [Pojęcie pigułki czasowej, czyli skondensowanej w przestrzennym diagramie czasowej jakości formalnej kompleksu trwania (*Gestaltqualität*) zostało wprowadzone do teorii muzyki przez Ziezia Smorskiego, dla wytłumaczenia powstawania koncepcji muzycznych nieimpro wizacyjnych. Dalej znalazło zastosowanie w poezji i w teatrze. Na równi z pojęciem „pępka metafizycznego”, czyli bezpośrednio danej jedności osobowości, uważane było w pewnych kołach notorycznych, zatwardziały kretynów za pozbawione sensu. Ale Ziezio, arystokrata ducha i ciała, nie bawił się

<sup>145</sup> James, William (1842–1910) – amerykański filozof i psycholog, współtwórca pragmatyzmu (obok Ch. S. Peirce'a) i jego popularyzator. [przypis edytorski]

<sup>146</sup> *figurons nous un monde composé uniquement des maux des dents* (fr.) – wyobraźmy sobie świat składający się wyłącznie z bólu zęba; tłum. na francuski fragmentu zdania „*imagine the world to consist of nothing but toothache*” z książki W. Jamesa *The Meaning of Truth* (Znaczenie prawdy, 1911). [przypis edytorski]

<sup>147</sup> *kwadrans na szóstą* (daw.) – kwadrans po piątej. [przypis edytorski]

w tak obrzydliwą pracę, jak rozkopywanie kretynowisk krajowej krytyki i estetyki]. Ewentualne połknięcie aktualnej pigułki Atanazego oddzielone było od chwili obecnej całymi pustyniami bezdusznymi, jałowymi, nieurodzajnymi chwil, ciągnących się jak jakaś niemożliwie lepka guma. „Ha, muszę włączyć to w ogólną kompozycję za jaką bądź cenę. Jest to jeden z faktów tamtej ciągłości od czasu zaręczyn, a nie izolowana, pustynna wysepka z epoki dawnej programowego bezładu, usprawiedliwionego artystycznym ujmowaniem życia” – myślał Atanazy. Ale nie posuwało to nic a nic naprzód całej sprawy. Terazniejszość zdawała się być zrobiona z czegoś nieściśliwego, nieukaśliwego, niedającego się rozdeptać. Trzeba było małą łyżeczką jeść wstrętą kupę świństwa, przygotowanego przez nienawistny przypadek w spisku z innymi ludźmi. „Inni ludzie” to byli wszyscy z wyjątkiem Zosi. Do Heli Bertz, mimo nienasyconych pragnień, czuł Atanazy wstręt, zdawałoby się nieprzewyciężony. Bezsensowność sytuacji narastała z szaloną szybkością. Wszystko wydymało się w ohydny, szary puchlinę, przez której przezroczyście wzdęcia przeglądać zaczął czerwony straszek. „Nie był to strach, lecz raczej wstręt i niechęć do jakiej bądź decyzji” – myślał potem często o tej chwili Atanazy. Ale jak to wszystko przeszło naprawdę, nie sposób byłoby się dowiedzieć z jego własnych zeznań, zostało bowiem gruntownie sfałszowane przez ambicję i snobizm, od których to własności, według Chwazdrygiela, nikt nie jest całkowicie wolny, choćby się przysięgał, że nic o nich nie wie. Zbyteczność tego, co się działo i dziać miało, nie tylko z nim, ale w ogóle, była nieznośnie wyraźna – dla niego tylko, oczywiście. Dziwnym trafem nikt nie zdawał się tego spostrzegać prócz niego. Poczucie ohydy istnienia przechodziło już w rejon metafizyki, babrząc martwe mumie czystych pojęć wstrętnym, szarym, życiowym sosem.

Wyjechali za miasto. Mgła rzedła, miejscami przeświecając pomarańczowo, miejscami błękitnawo od refleksu ukrytego nieba. Szron pokrywał niezupełnie ogołocone z liści, brunatne drzewa. Minęli karczmę w Dolnym Przerębłótku i wjechali w olchowy las wypełniony przesłonecznioną mgłą. Zapach gnijących liści mieszał się z tym charakterystycznym zapachem mroźnego powietrza, który nie wiadomo skąd pochodzi. Nagle słońce przedarło mgłę i las zajaśniał jakby od środka, lśnić mokrymi gałązkami i liśćmi. I w tym samym mgnieniu wszystko tamto: i wstręt, i zniechęcenie, i nawet zamaskowany straszek, gotowy się lada chwila przerodzić w ordynarny strach, ten o wielkich oczach – wszystko zniknęło jak zdmuchnięte. Chwila stała pełna nadziejskiego uroku. Wielkie, późnojesienne, poranne słońce świeciło i grzało prosto w twarz. Zenit zakłębiał się w gorącym błękitnie i zwojach resztek chmur.

– Cudny dzień będzie dzisiaj: upijemy się potem jak świnie – mówił z silnym rosyjskim akcentem rotmistrz Purcel.

Słowa te zdawały się Bazakbalowi jakąś wspaniałą muzyką tętniącą mu we krwi radosnymi uderzeniami. „Jestem skończony historyk – pomyślał. – Nie wiadomo, przez jakie jeszcze stany przejdę do końca tej głupiej afery. O, gdyby pozostać w tym, co jest teraz! Ha, nie ma żadnej nadziei. Już się coś przekręca”. Ale radość życia, pewność zwycięstwa i urok niesamowity przeciągającej chwili, urok, który rozświetlał i przeszłość, i przyszłość na odległość kilku lat co najmniej – wszystko to trwało. W tle zmieszonym kielbały się jakieś potworności.

Wjechali na polankę. Było pusto i cicho – tylko w oddali szczekał pies, a bliżej dzieciół kuł drzewo, równo i systematycznie. Oficerowie raczyli się obficie wódą i zagryzali ją kielbasą. Byli we trzech, gdyż doktorem (dla oszczędności jednym) miał się zająć Łohoyski. Atanazy łyknął świetnej śliwownicy i to spotęgowało w nim szalony życiowy do szczytu. Gdyby nie obecność świadków, zatańczyłby tu na tej szmaragdowej, oszronionej łączce. Nareszcie od strony miasta dał się słyszeć miękki odgłos czegoś jadącego i po chwili, starym sposobem, wspaniałym landem<sup>148</sup>, zajechali: Prepudrech, zielony i zmięty jak ścierka, promieniejący energią Łohoyski, jak zawsze na miejscu się znajdujący Baehrenklotz i do tego doktor Chędziar – znakomity chirurg i lekkoatleta. Słońce świeciło

<sup>148</sup> *lando* – rodzaj czteroosobowego powozu konnego z opuszczaną budą. [przypis edytorski]

w całej pełni i dzień zaiste zapowiadał się wspaniały. „To dziwne, nasycam się rzeczywistością jak nigdy” – rzekł półgłosem do siebie Atanazy.

– Nie ma nic rozkoszniejszego – posłyszał tuż nad uchem zdanie wypowiedziane przez rotmistrza Purcla i zaczerwienił się. Nasycanie stało się natychmiast o jakie trzydzieści pięć procent mniej intensywne.

– O to, to: w tym jest cały mężczyzna. Ten wigor na krawędzi, to igranie z losem. Lubię nie wstydzić się za mojego klienta – mówił dalej Purcel.

Nie mogli tego powiedzieć świadkowie nieszczęsnego Prepudrecha, który mimo dużej dawki alkoholu czuł się fatalnie. Wycieńczony erotycznie, niewyspany, dałby pół życia, aby ten okropny, jasny, pogodny ranek okazał się przykrym snem tylko. Gdyby chociaż na pewno wiedzieć mógł, że umrze i koniec! Ale najstraszniejsze były chwile nadziei, w których szarpał się jak pies na łańcuchu, by zapadać następnie coraz głębiej w obrzydliwy, śliski (o zgrozo! o ohydo!), nieomal śmierdzący strach. „Strach, strach!” – słowo to zdawało się być inkrustowane<sup>149</sup> nieznośną, obcą, wstrętną materią w miękkich, rozłazających się w degrengoladzie<sup>150</sup> zwojach mózgowych. Zamiast ciała, tęgiego jak koń, miał „pod sobą” miękką galaretkę w rozkładzie.

– Wszystko to nerwy – mówił do Łohoyskiego Baehrenklotz. – Pamięta pan Józia Weyharda wtedy w Strzemieszynie? Flak, zupełnie zdezorganizowany, zde gumowany flak, mimo dwudziestu przeszło pojedynków bez zarzutu. Wszystko dlatego, że poprzedniego dnia... – tu nachylił się mu do ucha.

– I cóż w tym złego? – spytał z głupia frant Jędrak.

– No tak, ostatecznie, ale pora nieodpowiednia – zaczął kompromisowo brnąć Miecio, nie chcąc tracić marki w pewnych sferach.

Przerwał im Purcel – czas uciekał, a on o dziewiątej musiał już być w maneżu<sup>151</sup>. O szczęście, o rozkoszy! Pewność bycia w maneżu, a choćby w jakiejś gorszej instytucji, o jakiej bądź godzinie (choćby o szóstej z rana) wydała się szczytem spełnionego marzenia biednemu Azalinowi. Na dnie jakiejś burej, złowrogiej ciemności, która z cudownego, jesiennego poranku czyniła obrzydliwe *rendez-vous*<sup>152</sup> najpodlejszych uczuć i jeszcze może podlejszych od nich wykretów, widział Helę, w całej niezgłębionej piękności i uroku i (o wstydzie!) przeklinał ją cicho i dyskretnie – jakby w tajemnicy przed sobą samym. Przypomniało mu się czyjeś zdanie o Napoleonie: „...*le danger ne le mettait pas en colère*”<sup>153</sup>. O gdybyż! Ale był zły jak szerszeń; kąsałby swoich świadków z zazdrości, że tak swobodnie mówią, śmieją się, nabijają te przekłete pistolety. Z przyjemnością wyrznąłby nogą w brzuch doktora Chędziora, który rozkładał się bezczelnie w rannym słońcu z całym swoim chirurgicznym kramem. „Oto są skutki tego życia z dnia na dzień i niezajmowania się niczym poważnym” – myślał. „O, Boże – szeptał, nie wierząc w Boga zupełnie – już nigdy... Od jutra, od dziś, tu, zaraz, zacznę nowe życie, wezmę się do jakiejś pracy, tylko niech teraz dziś...” Bełkot wewnętrzny. Ale „tam” w zaświatach było jakoś pusto i głucho. Ten świat, pod nieprzepuszczalną maską pogodnego ranka, nie dopuszczał myśli tych do wyższych sfer. Znowu przyszła fala złości na tle beznadziejnego osamotnienia. „A łotry! Pojadą sobie na śniadanko z tym przeklętym Bazakbalem, który strzela jak król i niczego się nie boi – a ja będę już gotów albo ciężko ranny – w brzuch, psiakrew, w brzuch!” Zatrząsł się nagle. „Przecież mam pierwszy strzał! Jeśli go zajadę porządnie...” – i nagle dzika moc wstąpiła w jego rozklekotane ciało. Wzrok stał się sępi, ponury i zawzięty. W dobrą dla siebie chwilę usłyszał komendę.

---

<sup>149</sup> *inkrustowany* – zdobiony techniką inkrustacji, polegającą wykładaniu powierzchni przedmiotu układanymi we wzory płytkami z innych materiałów, np. masy perłowej, metalu, rzadkiego rodzaju drewna. [przypis edytorski]

<sup>150</sup> *degrengolada* – upadek moralny lub materialny, stoczenie się. [przypis edytorski]

<sup>151</sup> *maneż* – pomieszczenie do nauki konnej jazdy, ujeżdżalnia koni. [przypis edytorski]

<sup>152</sup> *rendez-vous* (fr.) – spotkanie. [przypis edytorski]

<sup>153</sup> *le danger ne le mettait pas en colère* (fr.) – niebezpieczeństwo nie rozżościło go. [przypis edytorski]

„Na miejsca!” – krzyknął Purcel. Gdyby słowa te doszły go trzydzieści sekund wcześniej, może by zemdlał. Teraz sprężyły go one od środka jeszcze mocniej w bykowatą, beczelną elastyczność, jak duża dawka strychniny.

– Na komendę: raz, wystrzeli książę Prepudrech, na: dwa, pan Bazakbal.

Ktoś tak mówił, ale żadna ze stron wojujących nie wierzyła jeszcze w możliwość tego bezsensownego faktu.

– Oczywiście, o ile będę mógł – powiedział półgłosem zupełnie wesoło Atanazy, stając na mecie.

Słońce miał z prawej strony, czuł rozkoszne jego, żywe ciepło – jakby z pieca, tylko na biliony kilometrów odległego. Pierwszy raz uświadomił sobie, że ono grzeje tak, jak wszystko inne, i zamarł myślą w olbrzymości wymiarów: wielkości i odległości. O, gdyby urok tej chwili mógł trwać ciągle! Jakże cudownie pięknym byłoby wtedy życie! Zosia z Helą zmieszały się nagle w jedno z uczuciem opijania ciepłem słońca i błękitem nieba. Bezosobowy, rozkosznie zabarwiony kompleks elementów i nic więcej – „stał”, czy unosił się w czystym trwaniu, *durée pure*<sup>154</sup> tego osła Bergsona – przemknęło mu przez świadomość. Początku myśli tej nawet nie znał. Był to moment wymarzony przez Chwistka, tak zwanej (czort wie po co?) przez niego „rzeczywistości elementów wrazeniowych”, czyli po prostu usunięcie się w „tło zmieszane” (*unbemerker Hintergrund*<sup>155</sup> Corneliusa) – znowu pojęcia przesunęły się w postaci znaków indywidualnych, niezrozumiałych dla innych – bezpośrednio danej jedności osobowości. Wyprztyk, nauczyciel z dzieciństwa, odzywał się we wszystkich filozoficznych dywagacjach. A dosyć! Ujrzał przed sobą wykrzywionego od słońca Prepudrecha, który ustawiał się do niego bokiem, podnosząc z lekka rękę z pistoletem. Nie mógł Atanazy uwierzyć, że to jest ten właśnie dobrze mu znany i z lekka przez niego pogardzany Prepudrech. „Jeszcze wystrzeli idiota przed czasem. Ręka mu drży. Widzę, widzę” – wyszeptał z radością.

Ale Prepudrech nagle zmienił się. Był teraz piękny, oczy błyszcząły mu niepojętym tryumfem. W istocie był takim, na jakiego wyglądał. Chwila była cudowna. Czuł obecność Heli we wszechświecie: oddychał nią w postaci ciepłego powietrza, wchłaniał ją wzrokiem w rdzawych barwach jesieni i migdałowym (co do smaku) błękicie nieba, czuł ją w lekkim powiewie chłodnego, wilgotnego wietrzyku ciągnącego od północy, od lasku, pełnego zapachu przegniłych liści i jakiejś nieomal ogórkowej, a jednak trupiej świeżości. Zatrzymać, zatrzymać to! „*Verweile doch, du bist so schön*”<sup>156</sup>, czy coś tam takiego. „Cel” – posłyszał głos Purcla. „El” – głupekowo wesoło powtórzyło echo, dolatując razem z zimnym podmuchem z prawej strony. Książę podniósł pistolet i bez drżenia zaczął go opuszczać na linii przeciwnika: minął głowę, szyję, mostek... Był dobrym w gruncie rzeczy chłopcem i w ostatniej chwili nie wiedział, w co miał strzelać.

Atanazego ogarnął nagle przeraźliwy strach – ten rzadki, rozwolnieniowy, paskudny. Miał wrażenie, że krzyczy, choć cisza była wokół bez skazy. Przypomniała mu się bitwa i pierwsze pękające pociski, i chęć ucieczki wtedy pod wieczór, po całym dniu kanonady. Tylko tam było to trochę inaczej – przewagę miały jakieś rzeczy wielkie – może pozornie wielkie, ale przecie... Przypomniał mu się wierszyk:

Gość się męczy we wszechświecie  
Nie na próżno – ale przecie...

---

<sup>154</sup> *durée pure* (fr.) – czyste trwanie. [przypis edytorski]

<sup>155</sup> *unbemerker Hintergrund* (niem.) – niezauważalne tło. [przypis edytorski]

<sup>156</sup> *Verweile doch, du bist so schön* (niem.) – Trwaj (chwilo), jesteś tak piękna (J.W. Goethe *Faust*, słowa umierającego Fausta). [przypis edytorski]

Tu problem utraty czci postawiony był bardziej w czystej formie. „A co mnie obchodzą te wasze głupie honory! Ja chcę żyć!” – krzychało w nim bezgłośnie głupie, strachliwe bydlę. Ujrzał oczy Zosi w oddali i ostatnim wysiłkiem woli wstrzymał już potencjonalnie uciekające ciało. Głowa stała jednak na miejscu, a przed oczami obniżała się lufa pistoletu księcia. „Uniknąłem tego na froncie – teraz masz babo placek” – pomyślał i uczył się zgubionym.

– Raz – posłyszeli obaj. Każdy w swoim zamkniętym na wieczność świecie.

Huk straszliwy (moralnie) – naprawdę było to jakieś pyknięcie z dużej fai – i Atanazy, który w ostatniej chwili obrócił się do księcia trochę frontem, uczył jakby go kto bez bólu wyrznął pałką w prawy obojczyk. Zakręcił się z lewa na prawo (w tym zakręceniu wystrzelił, raniąc Prepudrecha powierzchownie w mięsz mięśniowy lewego ramienia) i robiąc dziwnego pirueta, padł na wznak, głową ku przeciwnikowi. Zobaczył niebo – dalekie, bezkresne, jakby „nie to” i uczył coś gniotącego mu oddech, sam oddech, a nie jakąś część ciała. Chciał to wypluć, wyrzucić z siebie. Coś obcego było w nim, coś obcego działo się w nim i przygotowywało się jeszcze coś innego, gorszego. A więc to było to! Teraz może umrzeć i może wyżyć – a nuż! Zaczęła nim miotać nadzieja i rozpacz, nadzieja i rozpacz – prędko, coraz prędezej. Nagle uczył, że jakieś świństwo ciepłe o metalowym smaku wypełnia mu gardło – krztusił się. Zimny pot, strach, mdłość, czarno w oczach (jak dziwnie zniknął świat w wytrzeszczonych ślepiach) i nicość, skrecona w kabłąk, zganaszowana<sup>157</sup> z przerażenia – ale czyjego? Stracił przytomność ze strachu raczej niż z powodu rany. Ale w ostatniej chwili mignął mu gdzieś w czarnych zwałach narastającej, puchnącej nicości obraz Heli i poczył, że ona zwyciężyła, że tym pojedyńkiem związał się z nią nawet za grobem. A potem Zosia, ale już jedno stanowiąca z tą nicością, i koniec.

Księżę, nie zauważywszy nawet swej rany, rzucił się z pistoletem w rękę ku Atanazemu. Ujrzawszy białą twarz i krwawe usta niedoszłego przyjaciela, którego skrycie uwielbiał, Prepudrech padł na kolana i zaczął łkać.

(Doktor robił już swoje).

– Już nigdy...! Ja pana...! O, Boże...! Ja zawsze...! Obudź się! Mój kochany...

Gładził Atanazego po włosach i twarzy. Ledwo odciągnęli go: doktor i świadkowie. Wszyscy stracili humor zupełnie, mimo że dzień był prześliczny.

---

<sup>157</sup> *zganaszowany* – o koniu: mający silnie pochyloną głowę, ustawioną prostopadle do podłoża, w pozycji wymuszonej przez jeźdźca ściąganiem wodzy. [przypis edytorski]

## Rozdział III. Rozmowy istotne

### Informacja

Kiedy po operacji Atanazy ocknął się z lekkim bólem w prawej piersi, ściśnięty w gorset z bandaży i przekonał się, że żyje – ucieszył się niezmiernie. Ale zaraz chwycił go straszny niepokój: „azali<sup>158</sup> (tak – pomyślał: azali) nie czeka mnie jeszcze raz to wszystko *da capo*<sup>159</sup> – całe umieranie – i to już po raz trzeci?” – Ale dr Chędzior uspokoił go natychmiast: żyć będzie i śladu z tego wszystkiego nie pozostanie. Od razu zniknęła cała wyższa radość i zaczęło się zwykle życie poprzednie. Coś się zmieniło... ale co? Aha! te baby... Nie miał siły myśleć więcej. Często jednak w myślach powracał do tej chwili na łączce: „Czy nie był to najwyższy punkt mojego subiektywnego odczuwania życia i świata? Skondensowanie uroku istnienia, którego już nigdy nie osiągnę?” Jakkolwiek jeszcze pierwszego dnia cieszyła go chropowatość kołdry, spierzchnięte usta Zosi i płacze różne, i pocieszania. Na miłość wpłynęło wszystko to bardzo dobrze – oczywiście po tamtej stronie. Nikt nie wiedział o momentach strachu. Wyjaśnienia przyjęto jako dostateczne: potrącenie w zdenerwowaniu i przemówienie się właśnie w ten dzień wyjątkowo podnieconych panów: niższa barometryczna.

Przewieziony do szpitala szybko powracał Atanazy do stanu normalnego. Całe towarzystwo zainteresowane w tej historii odwiedzało go często nawet w komplecie. Wtedy to znowu nasyczał się rzeczywistością, tą nieuchwytną, tą niby codzienną, a dla nikogo „normalnego” niewidzialną, tą, do której spostrzegania i ujmowania dochodzi się przez delikatne męczarnie wyrzeczeń pozornie drobnych, a ciężkich, jak żadne z tych znanych – subtelna askeza<sup>160</sup> ducha: odrzucenie pewnych myśli ułatwiających życie codzienne; niemówienie tego, co się powiedzieć powinno (w pewnej dyskusji); odtrącenie małych przyjemności, które daje towarzystwo osób niegodnych (jak upadek, to w wielkim stylu); samotność wyłowiona z gwaru zdarzeń, kiedy najbardziej potrzeba uścisku podejrzanej siostrzanej ręki – to wszystko jedne z drobnych środków ułatwiających przyjscie tych stanów, w których świat przepoczwarza się bez użycia narkotyków w cichą piękność i dziwność wyższego stopnia.

Gdy Zosia, witając się lub żegnając, całowała Helę, gdy Prepudrech – obecnie bliski jednostronnie pseudoprzyjaciel – poprawiał mu poduszkę, gdy Łohoyski przy damach najbezczelniej uwodził rotmistrza de Purcla, gdy ksiądz Wyprzytyk jastrzębim wzrokiem i zręcznym słówkiem zgłębiał i sondował dusze obecnych, czyhając na nowe ofiary, rzeczywistość zdawała się puchnąć aż w nieskończoność, przerastając chwilę terażniejszości o biliony lat wstecz i naprzód. Czas znikał i świat zdawał się stać w miejscu mimo zmienności, był aktualnie wiecznym. Wtedy to nienasycenie (już to absolutnie niemożliwe do zaspokojenia, to picie nieskończoności przez wąską rurkę jak mazagran<sup>161</sup>) stawało się udziałem wszystkich dookoła pod wpływem wewnętrznych napięć Atanazego – wytwarzało się psychiczne pole magnetyczne o niebywałym potencjale. Ludzie przestawali być związanymi ze sobą banalnością życiowych masek stworami, które wszystko bez reszty o sobie wiedzą. Stawali się raczej jedni dla drugich symbolami tajemnicy częściowej dowolności istnienia: „To jest, ale równie dobrze mogłoby tego nie być wcale, mogłoby nie być mnie,

---

<sup>158</sup> *azali* (starop.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>159</sup> *da capo* (wł.) – od początku. [przypis edytorski]

<sup>160</sup> *aska* – dziś popr.: asceza. [przypis edytorski]

<sup>161</sup> *mazagran* – zimny napój ze słodzonej kawy z dodatkiem koniaku lub rumu, podawany z kostkami lodu w wysokich szklankach; nazwa pochodzi od miasta w Algierii. [przypis edytorski]

nie być nic”. Tu otwierała się potrójna hierarchia metafizycznej potworności całej tej jedynej w swoim rodzaju sprawy istnienia – poza bezpośrednim bydlęcym przeżywaniem, które może być takim nawet u mężów stanu w ich najistotniejszych funkcjach i uczonych w samej ich naukowej pracy. Sprytnie bydlę w surducie ma jednak zamknięty wstęp do pewnych sfer myśli.

Tego, że jego samego mogło nie być, nie bardzo już rozumiał Atanazy. Kiedy naprawdę dla siebie umierał tam na „placu walki”, było to innego gatunku znikaniem z tego świata. Nie było w tym nic z metafizycznego uświadomienia co do okropności tego faktu. Nicość, niewyobrażalna nawet jako pusta przestrzeń, była zupełnym bezsensem. A jednak mimo logicznej konieczności przyjęcia czegoś w ogóle, choćby jednego jakiegoś elementu (inaczej nie byłoby logiki) – o czym mówił kiedyś mętnie Chwazdrygiel – potworna dziura możliwości ogólnego, a nie tylko indywidualnego niebytu, dziura logiczna raczej niż rzeczywista, bez żadnego obrazowego odpowiednika samego pojęcia, zionęła śmiertelnym przerażeniem. Atanazy niedobrze rozumiał to: dla niego pierwotnym pojęciem, od którego pochodziła się i Ontologia, i Logika, i Matematyka, było pojęcie wielości. Dawniej, przed wojną, wydawało mu się to wszystko przesadą. Ale nawet po pierwszej bitwie nie miał tego w tym stopniu. Dziś, na tle pojedynkowego bezsensu, logiczna historyjka stawała się rzeczywistym przeżyciem w sferze uczuć: „Oto religijne stany naszych czasów, te same, które dawniej prowadziły do religijnych wojen, inkwizycji, palenia czarownic. Bo to, co dziś przeżywają takie typy, jak Wyprztyk i ich ofiary, i pupile, to już nie stan bezpośredni, tylko przeżuta dawno papka bez krwi i smaku. A więc nie tylko zupełnie inni ludzie występują pod tymi samymi etykietkami, ale i inne stany psychiczne. (To mówił kiedyś Heli Bertz). A pojęcia, które w pewnych sferach mają jednoznacznie określone znaczenia w ścisłych definicjach, w życiu, w każdej epoce, co innego znaczą, zależnie od zmiany uczuciowych kompleksów znaczeniowych”.

Dla Zosi czas ten był epokę supremacji nad niedającym się dotąd przewyciężyć Atanazym. Fakt zranienia narzeczonego w pojedynku dał jej wypromieniować z siebie to, co było w niej najbardziej wartościowego (z jakiego punktu widzenia? oczywiście z ordynarnie męskiego), to jest uczucia macierzyńskie, i to w stosunku do obcego mężczyzny. Była w czasach tych stale rozpromieniona, co chwilami drażniło zagmatwanego w metafizycznych wątpliwościach Atanazego. W dodatku, mimo pozornie zadawalniających<sup>162</sup> wyjaśnień, Zosia odczuwała w sprawie tej coś ciemnego, niedającego się niczym usprawiedliwić. To dodawało Atanazemu uroku tajemniczości, poza tym, że jako możliwy obrońca nabrał nowej wartości o zabarwieniu wybitnie erotycznym. Gdzieś na dnie, chociaż nie śmiałyby się do tego przyznać, wołałyby, aby pojedynek był o nią. Sama dla siebie wypiękniała duchowo w tym wywyższeniu, jakie dały jej nowe uczucia i była, aż do łez w oczach włącznie, zadowolona z siebie i ze świata. Miała to charakterystyczne dla takich wypadków fałszywe poczucie swojej własnej zasługi w piękności swego wewnętrznego stanu, nie zdając sobie sprawy, że jest on najbanalniejszym wynikiem prostego zbiegu okoliczności zewnętrznych. Miłość sama przez się nie odegrała tu żadnej roli, mimo że wskutek wypadków i wewnętrznych przemian spotęgowała się aż do niepokojących (jeszcze) rozmiarów. Jako coś, co może być ostatecznie zabite i zniszczone, Atanazy zdobył nieskończenie wyższe znaczenie. Wszystko to transponowało<sup>163</sup> uśpiony dotąd erotyzm Zosi (jako dość w istocie prawdziwej kobiety) w nowy wymiar urzeczywistnień i znajdowało w tym swoje najgłębsze usprawiedliwienie. W końcu pomieszało się wszystko tak jedno z drugim, że nic już nie wiadomo było, gdzie się zaczyna poddanie gwałtu, a kończy wielka miłość, intelekt i erotyczne perwersje, prawdziwe przywiązanie i próżność – w ogóle gdzie się kończy tak zwana dusza, a zaczyna ciało: Zosia dojrzewiała, stawała się naprawdę kobietą. Ogólnie mówiono, że w okresie tym była „wprost urocza”. Jej dziewczynkowato-bestyjkowata piękność (raczej ładność), przeświecona promieniowaniem ukrytych jeszcze w rudach, promieniotwórczych materiałów na przyszlą matkę, nabrała odcienia pewnej niedostępności i dalekości. To podnieciło w zupełnie nowy

<sup>162</sup> *zadawalniać* (daw.) – dziś popr.: *zadowalać*. [przypis edytorski]

<sup>163</sup> *transponować* – przenosić z jednej dziedziny do innej, dostosowując do niej. [przypis edytorski]

sposób Atanazego: „wielka miłość” zmniejszała się teraz u niego proporcjonalnie do fizycznego podobania się narzeczonej. Zdawałoby się więc, że wszystko szło ku lepszemu, ku większej równowadze i stałości, gdyby nie pewne spęknięcia, rozprucia, naderwania i rozlazłości będące wynikiem ostatnich przeżyć. Ukazywał się niejasny wyższy horyzont (jakby gdzieś w chmurach) nowych wartościowań i niepokojących porywów w sferę dotychczas nieznaną, posiadającą społeczne poniekąd kryteria dla oceny chwil codziennych, dotąd z beztróską mimo smutku ulatujących w dal obojętnej przeszłości. Atanazy sam nie zdawał sobie sprawy z istoty zachodzącej przemiany, ale niejasna całość problemów tych zarysowywała się w postaci złowrogięgo pytania: „Kim jestem?” – a dalej: „Do czego mam prawo? Kim mam być? Jakie są moje granice?” Pytania te nie miały nic wspólnego z możliwymi odpowiedziami rzędu np. takiego: „Byłem aplikantem adwokackim, teraz żenię się z miłości, dość bogato, chcę pisać szkice z pogranicza filozofii i socjologii” – zjawiały się w innym niż dotąd wymiarze. Nie były to dawne poszczególne kwestie życiowe, problemy programów działań częściowych, w okresie definitywnego wyrzeczenia się artystycznych zamiarów. Nie – było to coś nowego i nieznanego: rachunek sumienia w związku z obojętnym dotąd (i obecnie – więc co u diabła?) społeczeństwem. Samo słowo „społeczność” budziło wstręt niejasny, a jednak, a jednak.... Przypominały mu się słowa ojca, marzyciela o „ogólnym dobrze”, który sam żyjąc w zupełnie przeciętny sposób, pół zły, pół dobry, zarzucał mu obojętność co do spraw społecznych jeszcze osiemnaście lat temu – to znaczy, kiedy Atanazy miał zaledwie lat dziesięć.

– Wy wszyscy – mówił stary Bazakbal o nim i jego kolegach szkolnych – żyjecie w zupełnej pustce. Obcinacie sobie całe olbrzymie obszary duszy, nie żyjąc w związku z wielkimi zagadnieniami narodowymi i społecznymi.

Ale jak to zrobić, aby w związku z nimi żyć, nie mówił stary nic, a Atanazy nie przypierał go do muru pytaniami, bo kwestie te nudziły go wtedy bardzo. Teraz, ni stąd ni zowąd, po tylu latach, kiedy wszystko pozornie było załatwione w postaci jakiegoś pseudoarystokratycznego, pesymistycznego, aspołecznego światopoglądu, w którym problem mechanizacji ludzkości, upadku sztuki i filozofii i wymarcia religii, zdawał się być pozytywnie rozstrzygniętym w sposób transcendentnie prawdziwy, tj. jedynie możliwy – nagle pękła powłoka, ukazując niedomyślane do końca koncepcje i to z nienawistnego dotąd, historycznego punktu widzenia. Zakrzepty świat abstrakcyjnych idei odpływał w dal na falach marmelady ulegających ewolucji nowych pojęć. Wszystko się chwiało. Mimo woli i wiedzy zwyciężała względność, pluralizm – jednym słowem intelektualne świństwo i tandeta, godna niedorobionych umysłowo „niedonosków”, ale nie możliwych, przynajmniej z temperamentu, absolutystów.

Tymczasem między narzeczonymi doszło wreszcie do pewnych erotycznych zbliżeń, bardziej niż dotychczasowe ryzykownych, wywołanych leżeniem Atanazego w łóżku i stanem macierzyńskiego podniecenia Zosi, która mimo pozornej niewinności okazywała coraz bogatszą intuicję co do zepsucia wszelkiego rodzaju, prześcigając nawet czasem Atanazego ku jego radosnemu zdumieniu. A problem ogólny, kim on właściwie jest sam dla siebie, olbrzymiał do metafizycznych rozmiarów. Codzienne zajęcia, poczynawszy od gimnastyki, mycia się (ewentualnie golenia) aż do umysłowej pracy (włączywszy u niektórych ludzi i samą metafizykę, zmechanizowaną, aż do stopnia bezdusznego żonglowania martwymi abstrakcjami), zasłaniają, czasem zupełnie, bezdenną przepaść, którą otwiera dostatecznie jadownicie postawione pytanie: „Kim jestem?”. Nic tu nie pomoże książeczka księdza Wyprztyka pt. *Poznaj siebie, póki czas* ani namowy starych ciotek, by wziąć się do jakiejś pożytecznej pracy. Pod wpływem spotęgowanej miłości i zdrady, zawodu w stosunku do własnej intuicji w sprawie pojedynku i fizycznego cierpienia, a może głównie z powodu otarcia się o ordynarną, bezsensowną śmierć, wiazała mimo woli, instynktowo zorganizowanej do walki z metafizyczną potwornością pospolitości, popuściły nagle, ukazując jako podstawę dla całej tej codziennej pewności siebie obłąkaną swoją własną dziwnością bezkształtną miazgę, w której zwykła osobowość roztapiała się jak cukierek w gorącej wodzie, a na jej miejsce zjawiała się inna, nieściśliwa, prawie punkt matematyczny, nieistniejąca naprawdę nigdzie w dowolności

tego lub innego miejsca przestrzeni, irracjonalna i własną irracjonalnością zarażająca świat cały. Bezgłośnie, antykatastroficznie, w sposób tajny i niewiadomy, najteższe wartości stawały dęba nad próżnią i spadały cicho w nieoczekiwaną, boczną otchłań, przybierając kształty spotworniałe, chimeryczne<sup>164</sup>, złowrogie. Np. dawny światopogląd, podświadoma etyka, stosunek do społeczeństwa, miłość (!) – w błyskach tej nadświadomości nawet miłość przepoczwarzała się radykalnie i dopiero najbezwstydniejsze nasycanie perwersyjnych pożądań zwracało oszalałe myśli w ich codzienne łożyska. Potęgowało przewrotność tych chwil to, że Atanazy nie mógł się ruszać i że stroną raczej czynną była niewinna pozornie Zosia. Wytwarzanie sztucznej niedostępności i drażnienie niby bezsilnego „samca”, jak nazywała teraz w skrytych myślach narzeczonego, stało się jej specjalnością. Nad nieuchwytnymi, nieprzestrzennymi prawie otchłaniami sztucznie stworzonych niedosytów krwawy wał żądzły twardej, napiętej aż do pęknięcia, spinała z rzeczywistością mgiełka rozkoszy na pajęczej nitce, przepojona niesamowitym zapachem płci, zmaterializowaną jakby samą grozą tych spraw jedynych w swoim rodzaju. Męczenie Atanazego podniecało Zosię do szału... Gorączkowo wchłaniała „nieznane” przez zaciśnięte kurczowo zęby, spalone usta, skręcone okrutnie ciało: po prostu zakochiwała się na dobre.

Scenki takie przerwało któregoś dnia wejście Łohoyskiego, który bardzo z czegoś niezadowolony (w ogóle potępiał małżeństwo Atanazego) oświadczył zaraz na wstępie, że Hela Bertz zdecydowała się wybrać tu dziś właśnie po raz pierwszy. Prepudrech bywał w szpitalu od samego początku i stosunki jego z Atanazym stawały się coraz istotniejsze. Był to w gruncie rzeczy dość dobry i inteligentny chłopiec, ale intelektualnie zapuszczony jak większość młodych poetów – pisał bowiem czasem wiersze, które nazywał kakonowalijkami. (Grał też na fortepianie, ale była to tak zwana „*reine Fingermusik*”<sup>165</sup>, bez żadnej na razie przyszłości). Korzystał wiele, rozmawiając z Atanazym, którego wiedza akurat wystarczała, aby móc być mistrzem myśli takiego Prepudrecha. Teraz książkę mógł już przynajmniej zrozumieć niektóre filozoficzne koncepcje Heli: jej teorię pojęć, teorię ruchu z punktu widzenia psychologii (pojęcie ruchu objęte było szerszym pojęciem zmiany) i teorię konieczności tajemnic na tle ograniczoności w nieskończoności. Szczególniej popularny wykład psychologizmu na tle *Transcendentalnej Systematyki* Corneliusa wzruszył go do samych podstaw jego istoty. „Żyję w rzeczywistości elementów wrażeniowych prawie jak sam Chwistek” – powtarzał czasem w najnieodpowiedniejszych chwilach, ku ucieście miejscowych filozofastrów. Popularność jego wzrosła od czasu pojedynku i zaręczyn i zdawało się, że wszystko idzie coraz lepiej. Został nawet przyjęty w paru domach „bardzo dobrze” (*très bien*). Hela, teraz gorliwa katoliczka, nie zaspokajała go pod względem erotycznym wcale. Co najwyżej wśród czystych narzeczeńskich pocałunków mimo woli, nie wierząc sam sobie, doznawał rozkoszy najwyższej.

Dla Heli był to okres podświadomego naciągania najcięższych sprężyn, przygotowywania się do ostatecznego skoku, którego natury i istoty nawet w przybliżeniu nie przeczuwała. Nic o tym wszystkim nie wiedząc, brnęła w cnotę i tajemnice katolickich nabożeństw z całą dobrą wiarą, wciągając w niektóre z nich swego belzebubicznego papę, który też zasmakował we wrażeniach ubocznych dostarczanych przez oddawanie czci nieznanemu i wrogiemu, a jednak temu samemu w gruncie rzeczy, Bogu. Uroczysty chrzest musiał być na razie odłożony z powodu koniecznej podróży papy, chociaż odpowiednie przygotowania były już porobione. Ale co to kogo obchodzi?

Była to dziwna epoka kryzysów indywidualnych na tle kryzysu społecznego. Według tego przeklętego Sajatana Tempe warstwa ustępująca – może pierwszy raz w historii – tak długo opóźniała swój ostateczny upadek, broniąc się beznadziejnie, nie tyle wprost, ile przy pomocy kompromisów. Miało to przypominać skazańca wyblągającego ostatnie sekundy już pod szubienicą. Poza kolosalnymi na pozór różnicami całe towarzystwo składało się z odpadków kończącej się

<sup>164</sup> *chimeryczny* – nierealny, dziwaczny; od: Chimery, potwora z mitologii greckiej o postaci lwa z głową kozy i wężem w miejscu ogona. [przypis edytorski]

<sup>165</sup> *reine Fingermusik* (niem.) – czysta muzyka palców. [przypis edytorski]

„burżuazyjnej kultury”, przed którą była jedynie próżnia zupełnego wyczerpania i marazmu. Wszyscy czuli śmierć w sobie, mniej lub więcej świadomie, i to może było powodem konsolidacji<sup>166</sup> tych przypadkowych znajomości w głębsze przyjaźnie i miłości. Samice, silniejsze oczywiście w takich układach od samców, węszyły nowe perwersje w stosunku do upadłych do głębi (nawet przy pozorach siły) mężczyzn. Psychiczny nekrofilizm<sup>167</sup> z jednej strony, autogalwanizowanie<sup>168</sup> się zastygłych już trupów – z drugiej. Nikt nie zdawał sobie dokładnie sprawy, kim jest w istocie (już nie metafizycznie, ale społecznie) na tle zawitych przelotnych struktur społeczeństwa, i wyobrażał sobie siebie zupełnie inaczej, niż należało. Nawet Atanazy – ten w ogóle zbyt cenny, ale dość inteligentny improduktyw<sup>169</sup> – mimo wyjątkowej zdolności zafiksowywania stosunkowo nikłych stanów, rozmiął się stale ze swym intelektualnym sobowtorem, dążącym szybko ku zupełnej likwidacji swego umysłowego sklepienia. I to było jeszcze jego szczęściem. Wszyscy zstępowali w otchłań – niektórzy myśleli przy tym, że idą ku szczytom. Za nimi, *im unbemerkten Hintergrunde*<sup>170</sup> społecznej świadomości, na którym to tle jak dogasająca iskierka świeciła zanikająca tak zwana „inteligencja”, przelewała się i kotłowała bezmyślna jeszcze magma przyszłości, w której gorącym, płynnym wnętrzu kryły się już możliwości nadchodzących form nowego bytu, potencjalne struktury wymarzonej przez dobrych ludzi ludzkości. Czym miała żyć ta przyszła ludzkość, nie wiedzieli dobrze dobrzy ludzie, ale to nie obchodziło ich wcale – chcieli „nieść światło” innym, maskując tym fakt, że w sobie go już nie mieli: ekspansja zastępowała twórczość, propaganda – samą wiarę, rozpuszczanie się w bezforemnym mrowiu – konstrukcję osobowości. Tak mniej więcej przedstawiał ten proces przekłety Tempe w jakiejś rozmowie z Atanazym dwa lata temu. Ale wtedy myśli te nie przyczepiły się do własnych koncepcji Bazakbala. Dziś występowały niejasno, zmieszane w kłęb jeden z metafizyczno-erotyczną transformacją dni ostatnich. Atanazy myślał: „Czy dekadenci, choć trochę świadomi swego upadku i beczynnienie obserwujący przerosłymi i znowotworzonymi mózgiami ten swój własny i dawnego świata upadek, nie są lepszym gatunkiem »schyłku«, niż ci, którzy jeszcze się łudzą i zgrywają się w śmiesznych rolach władców?” Błazeństwo tej koncepcji było tak widoczne, że bądź co bądź inteligentny Atanazy nie mógł ani na chwilę uwierzyć w jej prawdę. A jednak myśl ta, raczej jej podkład bezpośredni, trwał. Co za wstyd! Więc czyż był naprawdę takim typem pospolitego człowieczka, jakim właśnie pogardzał, takim szarym świństewkiem, jednym z elementów tej zgniłej miazgi, na której rosły nędzne kwiatki dzisiejszego pseudoindywidualizmu? Gdyby choć był artystą! „Choć” – w tym słówku wyrażała się cała pogarda dla tego zajęcia wpojona mu od samego dzieciństwa. Nie – Atanazy pewną ambicję miał: nie chciał być błaznem. Gdyby stać się artystą musiał, byłby nim już dawno. A więc widocznie był tym właśnie i niczym innym: aplikantem adwokackim, który przez mimowolne, nieprogramowe bogate małżeństwo uwalniał się od pospolitej pracy bez przekonania – ale w jakim celu? Samotne, nieobjęte żadną religią ani kultem chwile bezpośredniego przeżywania Tajemnicy Bytu wydymały się jak bańki gazu nad błotnistą powierzchnią życia i niezapalane żadnym entuzjazmem pękały i rozwiewały się w szarej atmosferze nadciągającego mroku, „ideowego zmierzchu pożerającej siebie ludzkości”, jak mówił Chwazdrygiel. Czy warto w ogóle czynić cokolwiek? Dać się nieść prądowi zdarzeń i zobaczyć, co będzie – ach, gdyby to było tylko możliwe! Ale rzecz pozornie najłatwiejsza zdawała się Atanazemu wprost niewykonalną. Jeszcze jedno: spotęgować chwile życiowej dziwności aż do zupełnej ciągłości metafizycznego objawienia, w samym bezpośrednim przeżywaniu wnieść się ponad zmorę przypadkowości codziennej. A jeśli to niemożliwe, starać się przynajmniej o to wszelkimi siłami: tylko droga do czegoś jest czymś istotnym – osiągnięty cel jest niczym. Tu celem

<sup>166</sup> *konsolidacja* (z łac.) – połączenie, zjednoczenie. [przypis edytorski]

<sup>167</sup> *nekrofilizm* – dziś popr.: nekrofilia, pociąg seksualny do zwłok. [przypis edytorski]

<sup>168</sup> *autogalwanizowanie* – tu: samoczynne oddziaływanie elektryczności zawartej w zwłokach na te zwłoki, powodujące skurcze mięśni. [przypis edytorski]

<sup>169</sup> *improduktyw* (z fr.) – człowiek nieproduktywny, niczego nie tworzący. [przypis edytorski]

<sup>170</sup> *im unbemerkten Hintergrunde* (niem.) – na niezauważalnym tle. [przypis edytorski]

mogłaby być chyba tylko jedna rzecz: piękna śmierć. Ale na samobójstwo nie miał jeszcze Atanazy ochoty. A więc zostawała tylko „czysta droga sama w sobie jako taka”. Ale droga ta mogła być nudna... Na tę wątpliwość, jak zwykle w takich razach, zimny pot wystąpił Atanazemu na skroniach i wokół powiek. Rzucił się na łóżku. Tamto wszystko przemyślał między jednym jakimś zdaniem Łohoyskiego a drugim.

– Co ci jest? – spytał Jędrek.

Był dziś z lekka przybity. Chwilowo opadnięta wskutek piekielnych nadużyć, życiowa siła pozwalała mu choć trochę myśleć. Atanazy zaczął mówić, chcąc się wreszcie dowiedzieć czegoś o sobie samym.

– Nie masz pojęcia, jak ja czasem cierpię, zupełnie bez wyraźnego powodu. Myśli mam tak dziwnie poplątane, wartościowanie tak stasowane, że już nie mogę dłużej tak żyć. Mój niby-arystokratyczny światopogląd, z religią, filozofią i sztuką na czele, zaczyna walić się od podstaw. Właściwie jestem wcieleniem kompromisu, i to koniecznego, i niczym więcej. Gdybym mógł z czystym sumieniem zostać artystą, miałbym jakiś punkt stały, z którego mógłbym na to wszystko spojrzeć. Ale pogardzam sztuką – nie w ogóle, tylko jej dzisiejszymi upadkowymi formami. Malarstwo, rzeźba i poezja skończyły się, muzyka jest na ukończeniu, architektura staje się czysto użytkową, teatr ma jeszcze jakiś mały dystans przed sobą i to, jak słusznie twierdzi Tempe, w związku z awanturą społeczną. Jak to się wygładzi i wyrówna – teatr jako sztuka zginie także.

(Zosia słuchała zachwycona. Atanazy w stanie rozterki i upadku podobał się jej najwięcej. Ona też, słuchając tych „mądrych głupstw”, jak nazywała takie rozmowy, nasyciła się najbardziej rzeczywistością rzędu wyższego).

– A do tego, z jednej strony nie mogę znieść kłamstw dzisiejszej demokracji razem z jej równym startem dla wszystkich, parlamentaryzmem, niby-równością wszystkich wobec prawa i tak dalej, a z drugiej strony nic, ale to nic mnie nie obchodzi los klas pracujących i walka ich z mdłą demokracją, która się dopiero zaczyna. Wynik tego wszystkiego będzie okropny: koniec najwyższych dotychczasowych wartości, szary mrok ogólnego dobrobytu. Więcej lituję się nad mrowiskiem spalonym przez pastuchów czy nad zdychającym z głodu, oślepionym, starym kotem niż nad całą ludzką nędzą świata. Nie masz pojęcia, jak ciężko jest żyć w pustce, wypełnionej takimi sprzecznościami. Wiem, że gdzieś, dla mnie jakby w zamkniętej szklanej kuli, odbywa się wielka przemiana ludzkości, coś olbrzymiego przewala się poza horyzontem mego ciasnego pojmowania i nie mogę widzieć tej wielkości w żadnym fackie, który jest dla mnie dostrzegalnym. Nie mogę scałkować tego, co widzę, w jedną ideę, w której mógłbym przeżyć w pełni samego siebie.

– Bądź pewnym, że nikomu na tym nie zależy z tamtej strony...

– Wiem, jestem różniczką<sup>171</sup>, ale scałkowanie<sup>172</sup> takich elementów daje wypadkową atmosferę społeczną danego kraju. Ty przynajmniej nie masz tych problemów...

– Mylisz się. W ogóle jeśli masz zamiar tak ze mną mówić, to lepiej dajmy spokój. Nie rozmawiałeś ze mną nigdy w taki sposób i myślisz, że ja nic nie myślę...

– Nie gniewaj się, ale ty przynajmniej jesteś hrabią...

– Jeszcze jedno słowo, a nie ręczę za siebie. Pani wybacz – zwrócił się do Zosi – ale on programowo chce mnie obrazić...

– Poczekaj, nie brnijmy w nieistotne nieporozumienia. Mówmy otwarcie raz w życiu, nie przyjmując niczego za obrazę. To nie jest tak banalne. Jesteś hrabią – to już jest coś. Należysz do tej klasy, która przynajmniej dawniej tworzyła rzeczywistość historii. Możesz sobie z czystym sumieniem powiedzieć, że nawet jeśli jesteś dekadentem, to w każdym razie czegoś wielkiego – według Tempego jakiegoś potwornego świństwa na wielką skalę. Możesz pomyśleć: „Dobrze – niech

---

<sup>171</sup> *różniczka* (mat.) – tradycyjna nazwa nieskończenie małej zmiany danej zmiennej; pojęcie w rachunku różniczkowym i całkowym. [przypis edytorski]

<sup>172</sup> *całkowanie* (mat.) – rodzaj sumowania nieskończenie wielu nieskończenie małych wartości, stosowany dla wielkości zmieniających się w sposób ciągły. [przypis edytorski]

się wali świat, ale bądź co bądź ja jestem hrabia i koniec”. Ja nie mam nawet tego – nie mam żadnej tradycji, przy pomocy której mógłbym upiększyć mój upadek. Jestem czymś bezimiennym, odpadkiem młodszej pseudokultury, która u nas właściwie nic ciekawego nie stworzyła, przezuwając od wieków zagraniczne nowalie i to przeważnie nie w porę, nie te, które należało, i nie z tej strony je przyjmując, z której należało. Ty jesteś czymś tak międzynarodowym jak pierwszy lepszy komunistyczny Żydek – takimi byliście w historii mimo wojen – narodowość to dość wczesny wynalazek – ale mniejsza o to: to się skończyło tak nędznie, jak zaczęło. Nie pomogą tu nic szlachetne wmawiania. Teraz mogłoby może przyjść coś wielkiego w dawnych wymiarach, ale na to nie będzie już czasu, bo idzie fala przemian, która zmiecie, zniweluje wszystko, i inni ludzie, tak inni, jakby z innej planety, wypłyną na wierzch i będą tworzyć nowe życie, jakościowo niepodobne do naszego. Ci, którzy chcą z tym walczyć, to nie ludzie przyszłości – to jakby ktoś wkładał pięknie rzeźbiony patyk w koła lokomotywy, chcąc ją zatrzymać. I to jest najstraszniejsze, że jakkolwiek to, co się teraz zaczyna, ma wszelkie pozory wielkości i może jest wielkim w chwili stawania się, będzie przyczyną szarżyny i nudy społecznej, o jakiej my pojęcia nawet nie mamy, mimo że na te rzeczy już narzekamy. Dlatego nie mogę przejąć się tą ideą.

– Mówmy otwarcie: socjalizm czy coś podobnego. Ja już byłem komunistą – nie ty mnie będziesz o tym mówił. Marzyłem o wielkich jakichś wybuchach utajonej energii tych, których wyzwolić może tylko rewolucja. Zważyłem w to.

– To nie to, byłeś esdekiem<sup>173</sup>, dopóki żył twój ojciec, który tobie nie dawał żyć tak, jak chciałeś. Teraz, kiedy masz już wszystko, zmieniłeś front. U ciebie nie było to na ideowym podkładzie. Nienawiść do rodziny i niechęć do orania i nawożenia twoich dóbr ziemskich, przetransponowałeś na ogólnoludzkie drżenia. Ja też czasami z nudów, z tego nienasycenia wielkością czegokolwiek bądź chciałem być diabli wiedzą czym: wielkim zbrodniarzem czy włamywaczem nawet, nie tylko komunistą; chciałem, żeby na świecie zrobiła się jakaś straszna kasza, wobec której wszelkie dotychczasowe wojny i rewolucje zdawałyby się nędznymi igraszkami. I w takiej kaszy zginąć – jeśli już nie w kosmicznej, międzyplanetarnej katastrofie...

– Tak, a jednak przed lufą Azia miałaś chwilę strachu: widziałem twoje oczy.

Zosia wyprężyła się jak okularnik, nadśłuchując uważnie.

– I cóż to ma do tego? Tak, przyznaję to. Na wojnie bałem się też, ale inaczej, i nie uciekłem ani tam, ani tu.

– Wojna to zupełnie co innego, mimo że ani ty, ani ja – co tu ukrywać – nie biliśmy się dla jakiejś idei, a jeżeli nawet, to w bardzo małym procencie. Pamiętasz, jak zazdrościliśmy tym...

– Ach, daj spokój. Na samą myśl o wojnie dostaję drgawek obrzydliwej nudy. Małość tego, dla czego by można zginąć, przeraża mnie.

– No, to już jest lekka przesada, a nawet, powiedzmy otwarcie, megalomania. A kimże ty jesteś, u diabła starego? Może cię nie znam, może ukrywasz w sobie coś, co przekracza granice mego pojmowania?

Tu spojrział ukradkiem na Zosię. Wpatrzona w Atanazego jako w swój łup, zdawała się myśleć tylko o jednym...

– Wszystko jedno, kim jestem; niezależnie od tego, tamto wszystko jest za małe: za małe, żeby w imię tego żyć, i za małe, żeby zginąć. A kim jestem, nie wiem, metafizycznie nie wiem. Wytrzymać życie, nie wiedząc, kim się jest – może w tym jest pewna wielkość. Poza tym jestem byłym aplikantem i narzeczonym Zosi. To zdaje się jest najpewniejsze, bo kiedy na zaręczynowym wieczorku upiłem się do utraty przytomności i widziałem półmiski jakieś na stole, nie jako półmiski, tylko naprawdę jako plamki barwne, i ja jako ja nie istniałem zupełnie – czyli byłem, według tego

---

<sup>173</sup> *esdek* (pot.) – członek partii socjaldemokratycznej lub zwolennik socjaldemokracji, tj. lewicowego ruchu głoszącego idee demokracji, neutralności światopoglądowej państwa i sprawiedliwości społecznej, początkowo zmierzającego do zastąpienia kapitalizmu socjalizmem i uspołecznienia gospodarki rynkowej. [przypis edytorski]

przekłętą Chwistka, w rzeczywistości elementów wrażeniowych – nagle pomyślałem sobie: „Aha, jestem narzeczonym Zosi” – pomyślałem, jeszcze nie wiedząc właściwie, co to znaczy, i wtedy nagle wróciłem sam do siebie, gdzieś aż z nieskończoności, z osobowego niebytu, i stałem się znowu sobą, a kompleks plam barwnych stał się znowu półmiskiem. Bzdura jest to wszystko: nie rozwiązuje to pytania, czym żyć i w imię czego żyć. Pojęcie „w imię czegoś” straciło swoje znaczenie dla pewnych typów. Trzeba się pogodzić z tym, że ta klasa ludzi, do której należymy, skończyła się. Nie ma nad czym rozpaczać. Rozmowa jest najistotniejszym sposobem przeżywania się. Mur dla filozofów w willi Hadriana pod Tivoli<sup>174</sup> – oto jedyna rzecz dobra na tym świecie – idzie od północy do południa, czy na odwrót, aby ciepło było pod nim przed i po południu.

– Poczekaj. Jakaż to klasa? Tylko co mówiłeś, że nie zaliczasz się do jednej klasy ze mną. Mieszasz się w zeznaniach. Jestem przecie hrabią...

– Wobec tego, co przychodzi, nawet takie różnice, jakie są między nami, stają się nieznaczące. – Atanazy zaśmiał się. – Wybiegłem już myślą poza te kategorie. Nazwałbym klasę tę klasą „metafizycznych istot bez formy działania” – w życiu, czy w sztuce – to wszystko jedno. Dodatkową podklasą jej będą hrabiowie bez wyższych aspiracji – kokainiści i alkoholicy. Ci, którzy obecnie sprawują rządy mdłej demokracji, są tak samo nie na miejscu, jak ta część społeczeństwa, na której się opierają. Przestaliśmy być, my, mdli demokraci w praktyce, twórcami życia: nie mamy miejsca we wszechświecie ani w nas samych. Lepiej niech wyróżną nas wszystkich prędzej. Wiesz, że ja mimo całego wstępu do przyszłości czekam z upragnieniem katastrofy – byle coś wielkiego, byle nie ta zakłamana płaskość dzisiejsza, nie ta małodystansowość pod maską niby wiecznych prawd. Ludzkość – przekłętą pojęcie, o ile nie jest doprowadzone do ostatnich konsekwencji. Ludzkości nie ma: są tylko typy dwunożne tak od siebie różne, jak słonie i żyrafy. A jeśli jednolita ludzkość będzie kiedyś istnieć, to w formie takiego mechanizmu, który niczym się nie będzie różnił od ula albo mrowiska.

– Możliwe. Ale co to cię obchodzi. Ciesz się, że żyjesz teraz, kiedy to się jeszcze nie stało. Patrzeć z boku na to wszystko to też pewna satysfakcja i zapełnienie życia. Patrzeć i rozumieć. Ja może sam tak nie myślę, bo dobrze tego wszystkiego nie rozumiem, ale czuję to i to mi wystarcza.

– Ty możesz, bo masz za dużo jeszcze zdrowej, bydlęcej energii. Ale zrozum: nawet najwięksi awanturnicy naszych czasów, też są dekadentami. Dawniej ci właśnie awanturnicy tworzyli życie na szczytach swoich epok – dziś są to tylko sporadyczne historyjki na małą skalę. Wymarzony nadczłowiek Nietzschego to dziś zwykły złodziej czy zbrodniarz, a nie pruski junkier<sup>175</sup> nawet. Amerykański traper jest tylko macką cywilizacji, która za nim stoi i przy pomocy niego wżera się w ostatnie kawałki dzikiej ziemi, jakie jeszcze zostały. A awanturnicy dzisiejsi w wielkim stylu: jakieś Wilhelmy<sup>176</sup> i Ludendorffy<sup>177</sup> to już typy skarłate, przepojone społecznością w postaci dogasającego dzisiejszego nacjonalizmu, który już jest wytworem wysokiego uspołecznienia od czasu rewolucji francuskiej. A dzisiejsi twórcy rewolucji, mający może więcej faktycznie władzy niż faraonowie, są tylko emanacją<sup>178</sup> tłumy – robią to, co muszą, a nie to, co chcą. Przecież dawniej nacjonalizmu tego typu nie było: byli naprawdę wielcy panowie, którzy gięli rzeczywistość, jak chcieli, w desenie odpowiadające ich fantazji.

---

<sup>174</sup> *willa Hadriana pod Tivoli* – rozległa rezydencja rzym. cesarza Hadriana, zbudowana w latach 118–134 w Tivoli, ok. 30 km od Rzymu, składająca się z zespołu budowli rozlokowanych w sztucznie urozmaiconym krajobrazie, na obszarze ok. 1 km<sup>2</sup>. [przypis edytorski]

<sup>175</sup> *junkier* – pruski wielki właściciel ziemski; junkrzy byli przeciwnikami liberalizmu i często zostawali oficerami w armii. [przypis edytorski]

<sup>176</sup> *Wilhelm II Hohenzollern* (1859–1941) – ostatni niemiecki cesarz i król Prus; rzecznik polityki imperialistycznej, brutalności i bezwzględności podczas prowadzonych wojen. [przypis edytorski]

<sup>177</sup> *Ludendorff, Erich* (1865–1937) – niemiecki generał i polityk, czołowy dowódca w czasie I wojny światowej, po wojnie związany z Hitlerem (był uczestnikiem puczu monachijskiego w 1923); autor książki *Der Totale Krieg* (Wojna totalna, 1935). [przypis edytorski]

<sup>178</sup> *emanacja* – manifestacja, uzewnętrznienie się czegoś. [przypis edytorski]

– Wiesz, że gdyby tak mówił jakiś Burbon albo Hohenzollern<sup>179</sup>, tobym to rozumiał. Ale ty! Kimże jesteś, żebyś miał prawo...

– Jak mówisz to ty, burboński kuzyn, to jest to tylko niesmaczne. Jestem nieudanym artystą, jeszcze ci dranie łyknęli choć kroplę czegoś z dawnych czasów – w formie artystycznej perwersji i zgnilizny, ale łyknęli. Ja tym pogardzam. Właściwie nieudanych artystów nie ma: gdybym nim był, tobym był i koniec.

– Wielka mądrość. Ja też malowałem, ale mnie to nie zadawałniało...

– Malowałeś! Dziecinne bzdury! Nie masz prawa tak mówić. Ja też piszę tego samego rzędu poetyckie brednie. To nie jest szczyt tego, co wyraża w sztuce, w charakterze jej formy, naszą epokę. To samo robią dzieci – my jesteśmy w tym też dzieci: nie umiemy nic i nie chcemy umieć, nie chcemy poświęcać życia tej chimery<sup>180</sup>. Czy myślisz, że taki Ziezio Smorski nie dałby dużo, aby teraz być tylko zblazowanym bubkiem i niczym więcej? Mówił mi o tym po pijanemu. Te słowa jego umiem na pamięć: „Poświęciłem życie i rozum dla chimery, dla czegoś, co się kończy. Miałem powodzenie – tak, coś w tym jest – i sławę, i wszystko, co jest z nią związane. Ale dałbym wszystko to za to, aby żyć zwyczajnie, nie zwariować, a zwariować muszę, bo teraz się już nie zatrzymam”. Oto jest prawdziwy artysta dzisiejszy. Tamci dawni umieli być sobą, nie wariując – dziś prawdziwa sztuka to obłęd. Wierzę tylko w takich właśnie, którzy kończą obłędem. A te wszystkie typki pseudoromantyczne i pseudoklasyczne to śmiecie takie same jak ci, co dziś jeszcze rządzą tą bachanalią<sup>181</sup> kłamstwa – ze wstrętem o nich myśleć będą nawet przyszli zmechanizowani przedstawiciele szczęśliwej ludzkości.

– Po co o tym myśleć? Czy nie lepiej przeżywać tę rzeczywistość taką, jaką ona jest?

– Ty jesteś potencjalnie inteligentny, ale pojęciowo głupi, nie gniewaj się. Jesteś jednolity blok, bez żadnej szparki, w którą myśl może się wcisnąć. I nie masz tej żądy prawdy, którą mam ja. Chcę wiedzieć<sup>182</sup> prawdę, jakkolwiek byłaby ona potworna. Pewno, że byłoby lepiej dla mnie i dla mego otoczenia, żebym był jakąś maszynką na swoim miejscu, a nie dywagował za pieniądze Zosi...

– Nieprawda – wtrąciła Zosia. – Ja ciebie uznaję takim, jakim jesteś. Nie mów nigdy więcej o pieniądzach, bo cię znenawidzę.

– Tak, jesteś już zepsuta, jak wszystkie dzisiejsze kobiety, te ostatnie; potem będą tylko mechaniczne matki, spełniające funkcje społeczne mężczyzn na równi z nimi. Lubisz jeść rzeczy nieświeże – uznajesz mnie za moją wewnętrzną zgniłość, pod pozorami zwykłego uczucia.

Łohoyski dziwnie patrzył na Atanazego. „A jednak ty musisz być dla mnie tym, czym ja zechcę, mimo wszystkich wykrętów. Kop pod sobą jamkę, kop – w niej to właśnie złapię cię kiedyś” – myślał niejasno. Wzdrygnął się ze wstrętem i kłującą zazdrością na myśl, że Zosia... Marzył o innej przyjaźni, ale nikt z godnych jej nie chciał go zrozumieć. Atanazy był jeden jedyny. To był jego własny szczyt życia – jakże trudno było to zdobyć, ileż okropnych nieporozumień czekało go na tej drodze. Atanazy mówił dalej; Łohoyski wrócił do nienawistnej mu rzeczywistości, tej, według Chwistka – popularnej. A jednocześnie poczuł pogardę (tę arystokratyczną) dla „nich” wszystkich – a w „swojej sferze” nie miał nikogo...

– ...i to mnie przeraża, że zaczyna mnie fascynować ten drugi świat, od którego odwracałem się – i odwracam dotąd ze wstrętem. Możliwym jest, że aby widzieć jego piękność i wielkość, trzeba wyrobić w sobie inne kategorie nie tylko myślenia, ale uczucia, inne instynkty, choćby na razie zaznaczone. Inaczej nie ma się klucza do syntezy: widzi się pojedyncze, rozdrobnione objawy, które niescałkowane dają fałszywy obraz całości – tak mówił Tempe. To jest właśnie ten mikroskopiczny pogląd na otaczające życie, którego nie uniknęli nawet wielcy pisarze naszych czasów. Nie ma prawa zabierać głosu jako prorok ten, który nie widzi jasno drogi przed sobą. Inaczej mąci tylko zamiast

<sup>179</sup> *Hohenzollernowie* – niemiecka dynastia, której przedstawiciele panowali w krajach niemieckich (m.in. w Brandenburgii i w Prusach), jako cesarze niemieccy (1871–1918) oraz w Rumunii (1869–1947). [przypis edytorski]

<sup>180</sup> *chimera* – tu: urojenie, coś nierealnego, ułuda. [przypis edytorski]

<sup>181</sup> *bachanalia* – ekstatyczne święta na cześć Bachusa, rzym. boga wina. [przypis edytorski]

<sup>182</sup> *wiedzieć* – tu: znać. [przypis edytorski]

tworzyć siły, po tej czy tamtej stronie. Nikt nie ma odwagi mówić wszystkiego do końca, stawiać kropek nad i. Walka indywidualizmu ze społeczeństwem, a właściwie na odwrót, objawia się też w powieści: bohaterem przestaje być człowiek – staje się nim masa, dotychczasowe tło, i powieść na tym też kark skręci i skończy się, bo ilość możliwości zwięza się przez to aż do powtarzania wszystkiego w kółko. W naszych czasach życie po raz pierwszy przegania literaturę – ale nie sztukę. A w ogóle ten rozdźwięk między sztuką a społeczeństwem – mała dygresja: powieść nie jest dziełem sztuki; nie działa bezpośrednio swoją konstrukcją – musiał wzrastać, bo im więcej życie się mechanizuje, tym więcej ezoteryczną<sup>183</sup> w perwersji staje się sztuka, mimo że jest funkcją ogólnego stanu. Na próżno chcieli walczyć z tym futuryści. Z jednej strony doskonała maszyna, z drugiej aformalna, akonstrukcyjna w granicy miazga komplikacji jako wynik nienasyconia formą i garstka dekadentów potrzebujących tego narkotyku.

Łohoyski nudził się śmiertelnie, a ten mówił dalej, wypuszczając długo trzymany chaos myślowy.

– Tym, czym nas teraz karmią, nikt długo żyć nie będzie, a my czekamy ciągle na „wielkie słowo”, to przez wielkie S – romantyczne nałogi! To słowo umarło jako objawienie społeczne czy narodowe. Nieświadomi twórcy przyszłej rzeczywistości rozwiążą to, ale nie ci, którzy dziś udają władców sami przed sobą, pod maską niby ogólnoludzkich umiarkowanych poglądów, tej letniej wody, od której rzygają już wszystkie zdrowe natury...

– I ty, i tobie podobni, którzy nie są wcale zdrowi. Chce się wam katastrofy dlatego tylko, aby skończyć w interesujący sposób – przerwał mu ze złością Łohoyski. – Wiesz, jakie robisz na mnie wrażenie: oto człowieka, który bojąc się być zarżniętym podczas rewolucji, zaczyna zmieniać poglądy. A obserwuje się przy tym, czy kłamstwo, które popełnia, nie jest już zbyt wyraźne i czy niepotrzebnie nie zabrnął zanadto już na lewo, kiedy mniejszym przesunięciem i tak by życie uratował.

– Przysięgam ci, że nie. A zresztą jest to sprzeczne z tym, co mówiłeś poprzednio.

– Wiem, mówiłem w przenośni.

– Psychiczenie może jest coś takiego, staram uratować się za jaką bądź cenę, ale w imię czego, nie wiem – bydlęcy instynkt.

Ogarnął go straszliwy niesmak. Cała ta rozmowa wydała mu się nieznośnym nonsensem. Wstręt rozszerzał się, obejmując coraz to nowe obszary: Łohoyskiego, Zosię, wszystkie problemy, życie całe. Wyrwać się stąd, uciec, zapomnieć. Poczuł, że uciec musiałby od siebie, i zrozumiał, że skazany jest na dożywotnie więzienie sam w sobie: odczuwał siebie jako więźnia i jego klatkę jednocześnie. Męka bez granic trwała – w imię czego?

Nagle zapaliły się dwie lampy: jedna u sufitu, druga przy łóżku, z zielonym kloszem. Szara godzina szpitalna była skończona. Wir mętnych pojęć unoszący się nad szarą, zdechłą rzeczywistością opadł. Atanazy odetchnął: wszystko rozwiąże samo życie – trzeba dać się nieść prądowi i wyrzec się raz na zawsze komponowania zdarzeń; to była najtrudniejsza rzecz do wykonania. Nowy problem, postawiony tak po prostu, pogodził go z istnieniem. Niech wszystko płynie samo – zobaczymy, co będzie. Zdanie to od tej chwili stało się jego dewizą. Łohoyski milczał, pęczniąc od środka od niewyraźnych zamiarów. Rozmowa z Atanazym sprężyła w nim na nowo chęć użycia. Postanowił być „turystą wśród ruin” – niczym więcej. Zwiedzać świat zewnętrzny i wewnętrzny w sposób najbardziej interesujący i intensywny, choćby przyszło umrzeć od znanych i nieznanymi mu dotąd narkotyków. Wszystko dla chwili, nic dla przyszłości – kokaina, nie kokaina – obojętne. Nie miał nic do stracenia, o umysł swój nie dbał, pierwsze nasyconie życiem miał już poza sobą, tak zwane „dziecinne ideały” były prawie w zaniku. Poczuł rozkoszną swobodę i nonszalancję. Tylko ten Atanazy... Ale i to się zrobi. Z nim właśnie zwiedzić te nieznanne obszary uczuć i stanów. Atanazy

---

<sup>183</sup> ezoteryczny – dostępny tylko dla wtajemniczonych. [przypis edytorski]

próbował znowu mówić. Chciał pokryć słowami pustkę uciekającej chwili, ale nie mógł. Łatwo to powiedzieć: „poddac się prądowi”, ale co zrobić, kiedy prądu nie ma?

– Gdybyś wiedział, co to za męczarnia mieć ten apetyt na wszystko – ten najwyższy, nie chęć użycia – i nie móc... Wszystkim chciałbym być, wszystko przeżyć, połączyć w sobie najdalsze sprzeczności, aż pękłbym wreszcie nadziany sam na siebie jak na pal.

– Jesteś śmieszny. To, o czym mówisz, jest właśnie źródłem artystycznej twórczości, tak mówi Ziezio Smorski.

– Ty nie wybierasz, ty żresz wszystko, co ci samo w ręce wpadnie, jak świnia, twoje apetyty są niższego rzędu, to nie jest metafizyczne nienasycenie. Ja wiem, że takie zjawiska jak my, ludzie bez miejsca, były we wszystkich epokach, ale dziś specjalnie trudno jest w tej formie przeżyć siebie w sposób istotny. Czasem marzę o jakimś salonie z osiemnastego wieku: bredziłbym wtedy o filozofii w sposób niczym nieukrócony...

– O ile nie byłbyś nędznym pacholkiem jakiegoś wielkiego pana, a nie salonowym nadobniem<sup>184</sup>. Pamiętaj, że nie jesteś arystokratą, tylko – ale mniejsza o to – wtedy byłbyś na innym miejscu niż teraz. Za cenę mdłej demokracji, jak to pogardliwie nazywasz, mówisz w ogóle ze mną jak równy z równym i masz czas na twoje roztrząsania. Bo przecież nie jesteś ponadklasowym wielkim myślicielem, który mógł wyleźć i z plebsu nawet na szczyty swojego czasu.

Łohoyski pierwszy raz, na tle umowy poprzedniej, ośmielał się mówić Atanazemu „takie rzeczy”. Czynił to programowo prawie, instynktem inwersji<sup>185</sup> odczuwając, że w ten sposób oddziała na jego psychiczny masochizm, zwracając go w tę stronę, w którą zwrócić pragnął, to jest ku swojej osobie. Za tymi *trucami*<sup>186</sup> dopiero zarysowywała się idea najwyższej, „pełnej” przyjaźni.

– A ja nie jestem demokratą i w tym jest moja wyższość, mogłem być komunistą, to inna rzecz, ale moja amplituda wahań jest szersza i dlatego to nie ma u mnie miejsca na analizę wątpliwej wartości, jak u ciebie.

– Zapominasz, że jesteś wyjątkiem w twojej sferze – zagadał tę sprawę Atanazy.

„Ten Jędrus wcale nie jest tak głupi, jak myślałem. Teraz zajechał mnie w sam duchowy pępek. Ma rację bestia – pomyślał w międzyczasie. W innej epoce przesunąłbym się na inne miejsce w hierarchii społecznej, pozostając w tej klasie, w której jestem. Kwestia rasy nie jest jeszcze czystym snobizmem w naszych czasach. To zaczyna mi się podobać. Trzeba być szczerym wobec siebie”.

Pocisk trafił. Był to pierwszy wyłom. Złość Atanazego na Łohoyskiego przybrała powierzchownie formę z lekka erotycznego poddania się.

– À propos cykliczności nie rozumiem jednej rzeczy – zagadywał dalej Atanazy – czemu Spengler<sup>187</sup>, któremu trzeba przyznać wiele racji w jego historycznych syntezach, wyłączywszy matematykę i malarstwo, nie widzi tego, że mimo cykliczności właśnie wszystko posuwa się stale w jednym tylko kierunku i że proces uspołecznienia jest nieodwracalny. Jest to cykloida<sup>188</sup> nakreślona na paraboli<sup>189</sup>: szczytem jej jest, o ile chodzi o indywidualum, osiemnasty wiek – od rewolucji francuskiej przyczepność społeczna przerastać zaczyna siłę jednostki i przyjście każdego następnego wielkiego człowieka jest coraz trudniejsze. Na organizującej się masie nie wyrastają silne osobowości, tylko jej narzędzia, które...

<sup>184</sup> *nadobniś* (daw.) – człowiek nadobny, pełen powabu, wdzięku. [przypis edytorski]

<sup>185</sup> *inwersja* (z łac. *inversio*: odwrócenie) – zmiana zwykłego układu na odwrotny. [przypis edytorski]

<sup>186</sup> *truc* (fr.) – trik, sztuczka stosowana w celu osiągnięcia jakiegoś szczególnego efektu. [przypis edytorski]

<sup>187</sup> *Spengler, Oswald* (1880–1936) – niemiecki filozof i historiozof, autor bestsellerowej książki *Zmierzch Zachodu* (1917), przewidującej upadek cywilizacji europejskiej. [przypis edytorski]

<sup>188</sup> *cykloida* (mat.) – krzywa płaska, jaką zatacza punkt okręgu toczącego się po prostej. [przypis edytorski]

<sup>189</sup> *parabola* (mat.) – krzywa płaska będąca zbiorem punktów jednakowo odległych od stałej prostej (kierownicy paraboli) i od stałego punktu (ogniska paraboli). [przypis edytorski]

– Dosyć już. Nudzi mnie ta bezsilność pojęciowa. Co mi z tego, że uświadomię sobie trudności, kiedy nie dosięgnę nigdy ostatecznego zrozumienia. I ty także. Zostawmy to innym, których specjalnością jest myślenie. Dla nas już jest za późno.

– Otóż to. To jest ten przeklęty dzisiejszy antyintelektualizm, wpływ dobrze zrozumianego Bergsona, źle zrozumianego Spenglera, pragmatyzmu i pluralizmu. Ja zgadzam się, że przerost intelektu jest jednym z symptomów upadku, ale cóż na to poradzić, że żyjemy w takiej chwili, w której ten intelekt jest naszą jedyną wartością. Jemu to zawdzięczamy nawet blagierską teorię intuicji. Zbliża się okres panowania kobiet, którym teoria intuicji daje olbrzymią broń w ręce. Dlatego to wybitni mężczyźni zaczynają się formalnie organizować w związki samowystarczające – to jest wstrętna kapitulacja: tylko przy pomocy intelektu można jeszcze opóźnić upadek najwyższych wartości...

– Wiem, wiem – przerwał z wyraźnym gniewem Łohoyski. (Opór Atanazego doprowadzał go do wściekłości). – Ale nie ty jesteś tym mózgiem pierwszej klasy, który to rozstrzygnie. Życie samo w sobie...

– Ja też wiem, czym dla ciebie jest życie samo w sobie: narkotyki i najgorsza perwersja, a nawet więcej niż perwersja, a potem szpital wariatów. My nie mamy na to sił, aby używać życia, tak jak używali go dawni ludzie, i cierpieć tak jak oni – mówię o całej ludzkości. Mówi się o przeroście serca, o zaniku żołądka, a nie o skutkach psychicznych narkotyków, które w miniaturze każdy z początku nawet zaobserwować może i wiedzieć, co go czeka. W tym kierunku powinna iść propaganda...

– Nudny jesteś z tym zabieraniem głosu we wszystkich sprawach z takim autorytetem jakbyś...

– Tazio ma rację – przerwała mu Zosia.

– Dla pani Tazio ma we wszystkim rację, bo pani się w nim kocha. Ale niech pani uważa, żeby mu nie zmarnować życia. Jak się urwie z łańcucha, będzie z nim gorzej...

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «Литрес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на Литрес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.